

ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLIII.

ROK XI.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1886.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Września 1886 r.



STRONNICTWA W PARLAMENTARYZMIE NIEMIECKIM.

Parlamentaryzm niemiecki nosi cechę w wysokim stopniu kalejdoskopową. Na żadném polu jedność niemiecka mniéj nie zrobiła postępów niż na parlamentarném. Każde z państw i państewek, należących do rzeszy cesarstwa, ma swój sejm i swoje stronnictwa parlamentarne. Wszystkie one bardzo ważne i ciekawe dla partykularza; dla szerokiego świata i uwagi jego—są bez znaczenia, bo wpływ ich sięga niedaleko. W całym szeregu niemieckich ciał parlamentarnych, są tylko dwa, które mają europejskie znaczenie i europejski wpływ, to jest sejm pruski i parlament niemiecki. One téż jedynie nas zajmować mogą.

A jeżeli dopiero co pomienionym ciałom politycznym przypisujemy znaczenie europejskie, zgóry zastrzedz należy, że jest to znaczenie *sui generis*, w każdym razie bardzo umiarkowane. Albowiem parlamentaryzm niemiecki nie jest parlamentaryzmem na seryo, jest on raczéj formą parlamentaryzmu z nader anemiczną istotą. I takim ma pozostać, wedle zdania wielkiego męża, który od r. 1862 panuje nad Niemcami. Niejednokrotnie on wypowiedział zdanie, że parlamentaryzm nigdy w Niemczech nie osiągnie panowania, a „większości parlamentarne wcale mu nie imponują." Uległy sejm pruski znajduje u niego więcéj łaski póki jest uległym.

Jeżeli pierwszy urzędnik państwa w ten sposób wyrazić się może publicznie, i to właśnie z trybuny parlamentarnéj, o parlamentarnéj instytucyi, toć już właściwie o jéj powadze rozprawiać byłoby rzeczą zbyteczną. I rzeczywiście, bezpośrednio parlamenty niemieckie nie mają zgoła powagi i znaczenia, a inicyatywa ich jest prawie bezskuteczną. Na politykę zagraniczną są zupełnie odcięte od wpływu, a w polityce wewnętrznéj wpływ ten jest przeważnie charakteru

ujemnego. Są rzeczy, których rząd bez przyzwolenia parlamentu i sejmu nie robi, ale niema rzeczy, któreby z woli parlamentu zrobić musiał. Ministrowie nie są odpowiedzialnymi przed reprezentacyą, jeno przed koroną, a frazesowo tylko przyznają się do odpowiedzialności przed „narodem“, opinią, historyą, do odpowiedzialności moralnéj.

Taki charakter parlamentaryzmu w Niemczech pochodzi ztąd, że tu prawa konstytucyjne i reprezentacyi nie tyle są wywalczone co nadane. I Niemcy się tém wprawdzie chełpią, że w r. 1848 wywalczyli „wolność“, aleź zaiste walka ta była dziecińswem wobec tego, co inne narody ofiar ponieść musiały za złoty owoc „wolności.“ Zbyt łatwe nabytki zwykle nie przynoszą zbyt wielkich korzyści. To téż naród niemiecki łatwym sposobem przyszedłszy do parlamentaryzmu, zadawalniać się dziś musi jego formami, z maluczką tylko dawką właściwéj istoty. I zadawalnia się naród, a państwu, w danych stosunkach, dobrze jest z tą wstrzemięźliwością narodu.

Jeżeli więc sam parlamentaryzm niemiecki ma wogóle bardzo ograniczone znaczenie, toć tém mniéj przypisywać go można stronnictwom, w ruchu tegoż parlamentaryzmu działającym. Książę Bismarck niejednokrotnie je pomawiał z trybuny, o chęci i zamiary odzierżenia władzy, ale zarazem chęci te ośmieszać zwykł. O ile więc parlamentaryzm niemiecki ma jedynie znaczenie doradcze, o tyle i stronnictwa w nim mają przeważnie charakter dyskusyjny, nieledwie dyalektyczny, akademiczny, jak kto nazwać zechce.

Nie wynika ztąd jednak, żebyśmy stronnictwom tym odmawiali wszelkiéj powagi. Nie mają one takowéj ostatecznie na rzeczywistéj arenie parlamentarnéj wobec rządu, ale za to tém szerzéj wpływ swój rozlewają na wyborców, prasę i opinią publiczną, która tedy obrabianą bywa na różne strony. A zasady stronnictw nie mogąc w pożądanéj przez nie mierze zaważyć na szali najważniejszych spraw kraju, odbijają się na zdobywaniu wpływu w prowincyach, powiatach, gminach, a zwłaszcza miejskich. Czy ten wsteczny kierunek wpływu stronnictw parlamentarnych przyniesie kiedyś znaczniejsze korzyści dla rozwoju konstytucyonalizmu — przyszłość dopiero okaże. Jak na tymczasem i w téj mierze nie zapowiada się nic wielce dodatniego. Ale jest wrzawa, jest rozpamiętywanie jednéj rzeczy z różnych i przeciwnych stanowisk, na czém się podobno kształci opinia i wyrabia.

A takiego wykształcenia opinia niemiecka bardzo potrzebuje. I to bowiem jest skutkiem zbyt łatwego dojścia do form parlamen-

taryzmu, że opinia ta w swoich odcieniach jest wielce niejasną, a przedewszystkiém nie s z c z e r ą, nie stałą, wedle znanego przysłowia niemieckiego: *Ja Bauer, das ist was anders.* Rozczynowi téj zasady podlega mianowicie liberalizm niemiecki, który zasadę swą wykłada zawsze wedle potrzeby. Najdosadniéj scharakteryzował go sam ks. Bismarck, kiedy powiedział, „że nie lubi wymawiać nazwy liberalistów (stronnictwa niemiecko-postępowego), bo nie lubi powtarzać kłamstwa.“

Bądź-co-bądź, są tedy w parlamentaryzmie niemieckim różne stronnictwa, a naszą rzeczą będzie takowe scharakteryzować.

Zakrój pisma tego nie pozwala na szerokie i dokładne wywody historyczne, jak i kiedy różne stronnictwa powstały, jak się zmieniały, przemieniły, bo o tém napisaćby można księgę.

Zatém, niech się czytelnik spodziewa raczéj pobieżnego szkicu stronnictw wogóle, jak poszczególnéj takowych historyi. Mianowicie téż, o ile to możebném, traktować będziemy w czambuł kierunki stronnicze różnych ciał parlamentarnych.

Jak w każdém ciele parlamentarném, tak i w niemieckich, stronnictwa dzielą się przedewszystkiém na rządowe i opozycyjne. Opozycya u niektórych jest zasadniczą, u innych trwa, póki się rząd do nich nie umizgnie. A ponieważ na czele Niemiec od r. 1862 stoi mąż, który jest zawołanym dyplomatą, niejednokrotnie zdarzały się w życiu parlamentarném wypadki, że zręczny manewr jego zjednywał mu albo rozdwajał stronnictwa bez ustępstw zasadniczych dla kierunku przez takowe przedstawianego. W téj mierze odbył się kiedyś ciekawy turniéj między kanclerzem a naczelnikiem partyi środkowéj (*centrum*=katolików). Ks. Bismarck w zapale walki strofował stronnictwa, że się kłócą między sobą a sprawy obmierzają nie wedle dobra ogółu, jeno wedle partykularnego zapatrywania. Takie stronnictwa kanclerz potępiał w czambuł i twierdził, że one chyba sposobne, żeby zepsować i zniszczyć jego dzieło z roku 1870. Na to mu odpowiedział Windthorst: Nie kto inny jeno kanclerz przecie jest twórcą tych i takich stronnictw, które zrzędu jedne przeciwko drugim zagrywał jakby karty, póki mu to było na rękę. Dziś nie ma prawa za to potępiać swego dzieła. A kiedy jeden z mówców mu przypomniał, że w r. 1876 sąd jego o postępowcach z r. 1866 był łagodniejszym, odpowiedział z podziwienia godną otwartością: „tak jest, ale dziś zdanie moje się zmieniło: jako dyplomata starałem się onych zkaptować, ale widzę, że z niemi niema co robić. Cofam więc moje zdanie z owego czasu.“

Przeciwnicy parlamentaryzmu, z ks. Bismarkiem na czele, charakteryzują stronnictwa, a dziś zwłaszcza stronnictwa nieusłucha-

nego parlamentu, jako zbiory reprezentantów nie *narodu niemieckiego*, lecz przedstawicieli *poszczególnych interesów i interesantów*. Zarzut to ciężki, ale ponieważ ciągle się powtarza, pominąć go w charakterystyce nie można.

Dziś tak rzeczy stoją, że w parlamencie jest większość opozycyjną, a w sejmie rządową, za co sejm nazywają „izbą landratów", czyli rządowych naczelników w powiatach; albowiem ich dużo zasiada w sejmie.

Uprzytomnijmyż sobie teraz najnowszą statystykę wszystkich stronnictw parlamentarnych.

Najprzód tedy w sejmie pruskim stoi na czele frakcya konserwatywna (ze znaczną przymieszką owych landratów) w liczbie 141 członków. Za nią idzie frakcya środkowa czyli *centrum*, stronnictwo katolickie, które razem z „gośćmi" (3) liczy 99 członków. Frakcya narodowo-liberalna ma 70-ciu uczestników; frakcya wolno-konserwatywna z „gośćmi" 60; niemiecka frakcya wolnomyślna liczy 44 członków. Polacy dzierżą 14 krzeseł, Welfowie 3, Duńczycy 2. Ogółem stoi w opozycyi 162 przeciwko 271 głosom większości rządowéj, składającéj się z zachowawców czyli niemiecko-konserwatystów, wolno-konserwatywnych i narodowo-liberalnych.

Inny jest stosunek w parlamencie niemieckim. Tu niemiecko-konserwatywni dzierżą 76 krzeseł; frakcya rzeszy (*Reichspartei*) 28; narodowo-liberalni 50, partya środka 99 i 10 welficcy goście, Polacy 16, niemiecko-wolnomyślni czyli postępowcy 62, demokraci 7, socyalni demokraci 24, Alzato-Lotaryngowie 15, a 8 posłów jest „dzikich", nie należących do żadnéj frakcyi. Przyjaciele rządu mają tylko 154 głosów, a opozycya 235. Do ostatniéj należą: centrum, welfowie, Polacy, niemiecko-wolnomyślni, demokraci, socyalni demokraci i Alzato-Lotaryngowie, a wszyscy razem przez kanclerza i prasę rządową nazywani bywają: nieprzyjaciołmi państwa (*Reichsfeinde*).

Otóż szkielet rzeczy, na którym usnuć mamy obraz nasz w sposób ile możności plastyczny.

Ze wszystkich tych stronnictw z natury rzeczy byłoby dla nas najciekawszém stronnictwo polskie. Jest to liczebnie jedno z małych stronnictw, co nie przeszkadza, żeby nie zajmowało w parlamentaryzmie niemieckim stosunkowo bardzo wyróżniającego się stanowiska. Wypadałoby zatém jak dla nas postawić je na samém czele naszego popisu. Jednakże zważywszy, że czynność parlamentarna frakcyi polskiéj i jéj dzieje dostatecznie są znane naszéj publiczności

czytającéj z pism codziennych, zadowolnić się możemy krótką wzmianką, bo inaczéj, chcąc godnie uczcić dzieje i stanowisko téj frakcyi, należałoby napisać kilkotomową księgę.

Frakcya polska przed wszystkiemi innemi tém się odznacza, że od początku do końca jak stała tak stoi na jedném, niezmienném stanowisku protestu, stoi przy idealistycznéj polityce i związana jest w wystąpieniach absolutną solidarnością. U rządu nie ma zupełnie miru, u innych stronnictw poparcie znajduje tylko częściowo, tak np. u postępowców i demokratów, najczęściéj jednak u potężnego stronnictwa katolickiego, którego przywódca bardzo otwarcie zwykł przemawiać za sprawiedliwością wymagań naszéj frakcyi. Dopiero w najostateczniejszéj fazie walki kościelnéj, odstąpiło centrum swych wieloletnich sprzymierzeńców, ażeby się spełniło dosłownie, co politycy realistyczni oddawna zapowiadali, że koszta tu walki kulturnéj ostatecznie spadną wyłącznie na Polaków. Jak wiadomo, w walce téj każda strona przypisuje sobie zwycięstwo; my jedni w rezultacie należymy do pobitych, chociaż reprezentanci nasi w ciągu całéj walki stali wiernie po stronie praw kościoła. Bądź-co-bądź przyznać należy, że to właśnie stanowisko frakcyi polskiéj, chociaż na zewnątrz nie osiągnęło dodatnich korzyści, to za to na wewnątrz oddziałało w wysokim stopniu na zjednanie dawniéj śpiących mas dla polityki i jéj zadań. Ze strony rządowéj starano się wielokrotnie dyskredytować frakcyą polską, jako wyłączny wyraz szlachty i duchowieństwa. Przed walką „kulturową“ zaprzeczali temu sami posłowie; po walce kościelnéj zaprzecza temu lud przez wszystkie swoje organa w pismach i na zebraniach. Jest to zaiste zdobycz nie mała, a zdobycz ta jest owocem działań i wystąpień naszéj frakcyi sejmowéj i jéj polityki.

Z powyższego już wynika, że aliansów swoich szuka frakcya polska przeważnie u stronnictwa centrum. Do postawienia kwestyi znajduje je także u postępowców i różnych małych odłamków opozycyi. Alianse te dla nas zwykle bywają bez skutku i doniosłości praktycznéj, jednakże bywają konieczne raz z zasady a powtóre w sprawach, które wprawdzie są ogólno państwowego znaczenia, ale właśnie dlatego i nam się we znaki dać mogą dodatnio lub ujemnie. Tak np. wyjątkowe prawodawstwo, które obecnie kwitnie w sejmie pruskim i zwraca się przeciwko nam, jużby się było rozpowszechniło i na parlament, gdyby rząd miał jakiekolwiek widoki pozyskania tamże większości, podobnie usposobionéj jak w sejmie. Wobec takich okoliczności w odosobnieniu zostawać nie można.

Jedynie w sprawach ekonomicznych, ceł i t. p. stronnictwo polskie stawało po stronie wniosków rządowych, ku wielkiemu umar-

twieniu t. zw. postępowców, którym, jak to zobaczymy, zwrot ekonomicznéj polityki kanclerza od wolnego handlu w stronę ceł opiekuńczych, jest bardzo nie na rękę. Głosowali téż Polacy w myśl rządu za ograniczeniem kolporterstwa.

Na czele stronnictw niemieckich wypada nam zająć się wielkiém stronnictwem katolickiém. Stronnictwo to jest właściwie tak dawném jak parlamentaryzm niemiecki. Już w r. 1848 występowało „stronnictwo katolickie“, „frakcya Reichenspergera.“ W miarę jak wpływ katolicyzmu na życie państwowe w Niemczech tracić zaczął różne czynniki zewnętrzne, rósł wewnątrz wielki czynnik parlamentarnéj reprezentacyi tegoż katolicyzmu i organizacya jego. W r. 1866 wyrzucono katolicką Austryą z Niemiec a w r. 1870 otworzyły się w Wersalu politykom katolickim oczy, że interes katolicki, w danych i tworzących się stosunkach, zupełnie liczyć nie może na nowe *brachium seculare* i widoki jego polityki. To téż przy wyborach listopadowych r. 1870 nad Renem i w Westfalii agitacya wyborcza stawiała kandydatom wyraźny warunek, że przystąpią do osobnéj „frakcyi katolickiéj“ że popierać będą niezawisłość kościoła, szkołę wyznaniową a w obec prądu unifikacyjnego staną zachowawczo na podstawie związku północno-niemieckiego. Jako organ tego stronnictwa powstała już wtedy „Germania“ a frakcya katolicka przybrała nazwę „Centrum.“

Mylą się ci, którzy twierdzą, że centrum powstało przez „*Kulturkampf*“. Centrum jest od niego starsze, jeżeli przez „kulturkampf“ rozumiemy wewnętrzną walkę władzy państwowéj z odwiecznemi, państwowemi przywilejami katolicyzmu. Wstępem do téj walki było osłabienie zewnętrznych potęg katolickich (Austrya, Francya, państwo kościelne). To téż już wśród tych wstępnych ciosów na peryferyi, odczuła się potrzeba katolickiéj organizacyi politycznéj w Niemczech na podstawie konstytucyjnéj, a dopiero walka „kulturowa“ potrzebę tę tém więcéj uwydatniła i organizacyi nadała ostateczną spójnię, gdy w r. 1871 (8 lipca) zniesienie katolickiego wydziału w ministerstwie pruskiém dało na trwogę hasło niedwuznaczne. *Videant consules*, powiedzieli sobie wtedy katolicy niemieccy i stanęli mężnie do długoletniéj walki, któréj akt pierwszy właśnie tylko co się skończył—orderem Chrystusa.

W walce téj niemieckie stronnictwo katolickie, ze wszystkich stronnictw wyróżniło się zaletami, które w historyi walk parlamentarnych na zawsze mu zapewniły zaszczytne między zaszczytnemi miejsce. Powiedzieliśmy na wstępie, że parlamentaryzm niemiecki

a zatém i stronnictwa jego są produktem raczej nadania niż walki o konstytucyonalizm. Z pod sądu takiego wyjąć jednak należy centrum. Warownia ta katolicyzmu na podstawie konstytucyonalizmu powstała jako mały szaniec wśród huku gromów i ciosów spadających po szerszéj arenie na potęgi świata katolickiego, stającego do walki z wrastającą niesłychanie potęgą protestantyzmu i nowoczesnego racyonalizmu, a z szańca tego urosła forteca potężna, niezdobyta jeszcze dziś, kiedy pozornie dwa walczące światy w koło niéj dały sobie hasło do zgody czy rozejmu.

Słusznie się chełpi dziś organ „środka“ („Germania“), że w 30-letnim okresie istnienia w pruskim, a w 15-letnim peryodzie istnienia tegoż stronnictwa w niemieckim parlamentaryzmie rzeszy, ono jedno powiedzieć może o sobie, że nie zmieniało zasad, nie frymarczyło niemi, a zmienność jego okazywała się tylko we wzroście siły. Jako piasek lotny przesypują i przesuwają się inne stronnictwa na prawo i na lewo, jedno centrum stoi jak mur zawsze pod tym samym sztandarem wolności kościoła, wolności szkoły, religijności dla ludu, chrześcijaństwa i sprawiedliwości w państwie i dla państwa, pomocy materyalnéj a opieki moralnéj dla robotnika, któremu „wzięto religią.“ Pod względem kościelnym żąda powrotu do stosunków jakie były za Fryderyka Wilhelma IV, a które Wilhelm I, w Królewcu uznał; pod względem szkolnym żąda powrotu do szkoły wyznaniowéj, żąda powrotu wypędzonych zakonów a mianowicie téż Jezuitów, których Fryderyk II, i Katarzyna II, uznawali jako najlepszych nauczycieli ludu, a dziś jakoby jedynie o „Jezuitów“ jeszcze rozbić się może nawa socyalnéj demokracyi.

To są główne i zasadnicze wymagania i cele stronnictwa katolickiego. Wypowiadało takowe przez 15 lat niezmiennie, mniéj lub więcéj natarczywie, stosownie do taktyki dogodnéj w danéj chwili. W jednym tylko punkcie sprzeniewierzyło się swéj zasadzie tj. zasadzie sprawiedliwości w obec wyjątkowych urządzeń, uchwalonych na polu kościelno-politycznem dla dyecezyi, zamieszkałych przez żywioł słowiański. Wierzyć można, że u bardzo wielu ze stronnictwa tego, nie bez szczeréj boleści i ofiary własnego zdania się to stało. Ale się stało.

Tę stałość swą w zasadach, karność, umiejętność taktyczną a przewagę moralną, zawdzięcza centrum, najprzód wogóle jasności zasad katolickich, a następnie wszechstronnéj dzielności swego przywódzcy dra Wintdhorsta, jedynego męża w całych Niemczech, który dorósł takiemu przeciwnikowi, jakim jest ks. Bismark. Cała różnica między nimi, że jeden ma władzę a drugi stoi w opozycyi, ale się nie

lubuje w bezpłodnéj krytyce, jeno wstępnym bojem umie przeciwnikowi zadawać potęgą ducha swego, dotkliwe ciosy. „Mała ekscelencya“—tak nazywają Windthorsta od niskiego wzrostu i urzędu ministeryalnego, który piastował u ongi króla hanowerskiego, przy 75 latach wieku, występuje w walce parlamentarnéj w takiéj gotowości do obrony i zaczepki przeciwnika, z taką trafnością argumentów, w takiéj zgodzie z zasadami, że tylko ten przekonanym być przez niego nie może, kto zgóry przekonanym być nie chce i z roli swéj przekonanym być nie powinien. Każde wystąpienie jego jest pełném znaczenia, nawet kiedy milczy on i jego stronnictwo, nie jest to znakiem bezradności, lecz dobrze obmyślanym manewrem.

Pod takim wodzem występują też szeregi stronnictwa we wszystkich sprawach ważnych w zupełnéj karności. Nie podobna oczywiście, żeby w stronnictwie, liczącém sto głosów i wielu ludzi samodzielnie myślących i sądzących o sprawach, nie miało być różnic zapatrywań. Lecz one nigdy ostro nie wychodzą na jaw. Potężny przeciwnik tego stronnictwa, niejednokrotnie już spekulował na rozbicie onego, na wytworzenie w nim różnic i odcieni, rozsadzających całość. Różnice były i są, ale nie na to, żeby przeciwnik mógł z nich korzystać. Przeciwnik próbował przeróżnych sposobów, żeby bądź steroryzować bądź skaptować potężne stronnictwo, aż krótko przed rozpoczęciem ostatecznych rokowań z „papieżem zamiłowanym w pokoju“ wyrzekł w parlamencie te gniewne słowa: „z temi panami (centrum) pakta są niemożebne, bez nadwyrężenia warunków bytu monarchii pruskiéj.“ Przyznał tém samém, że to stronnictwo jest zasadniczém, że wie czego chce a zatém nigdy się stać nie może z świadomością czy bezwiednie narzędziem w obcych ręku, jak inne stronnictwa, które się formalnie o ten zaszczyt dopraszają. Ile razy centrum, zwłaszcza w prawodawstwie ekonomiczném, poprze rzecz rządu, a panika pada na liberałów, których straszy upiór sojuszu rządu z centrum, pokaże się niebawem, że centrum miało w tém swe osobliwe widoki ekonomiczne i socyalne, a nie frymarczyło zasadą. Odstępuje ono od rządu niejednokrotnie, żeby wywrzéć nań nacisk, ale nie przystępuje doń nigdy—dla szacherki drobnostkowéj.

A przyznać trzeba, że położenie stronnictwa tego bywa częstokroć niesłychanie trudne i drażliwe. Przy lada sposobności rzucają mu w oczy zarzut w r o g o ś c i dla cesarstwa, braku n i e m i e c k i e g o patryotyzmu, dążeń seperatystycznych sprzeciwiających się jedności Niemiec, zależności od potęg kosmopolitycznych w przeciwieństwie do interesu narodowego, zarzut popierania „jawnych“ wrogów państwa i cesarstwa. Wszystkie zarzuty takie umie dzielny przewodnik stronnictwa odeprzéć wywodem, że nie jest przeciwni-

kiem państwa i cesarstwa, ale rządów i ich bieżącéj polityki, pozbawionéj podstaw chrześciaństwa i sprawiedliwości.

A jeżeli w centrum istnieje jasność zasad, celów i karność wzorowa, to z drugiéj strony istnieje też ścisła zgodność wybranych reprezentantów z wyborcami, na których polegając, może ono stać przy swych zasadach i kierunkach. W dosadny sposób uwydatniło się to z r. 1884 na 85 w sławnym owym „skandalu“ o trzeciego dyrektora w ministerstwie spraw zagranicznych, na którego ks. kanclerz zażądał 20.000 marek.

Drobna ta na pozór pozycya budżetowa narobiła w Niemczech więcéj wrzawy niż którakolwiek najważniejsza sprawa stanu. ks. Kanclerz rozprzestrzeniwszy mianowicie przez swą najnowszą politykę kolonialną, czynności urzędu spraw zagranicznych, zapotrzebował nowego naczelnika bióra, którego należało stosunkowo do poufnego stanowiska sowicie opłacić. Opozycya pochwyciła tę sposobność, żeby mu pokazać swą przewagę w sprawach pieniężnych, zwlaszcza że politykę kolonialną kanclerza jedni uważają za chybioną, drudzy za spóźnioną, bo cokolwiek w szerokim świecie pozostało jeszcze niezajętém przez państwa cywilizatorskie, zdaniem znawców nie warte dyplomatycznych, administracyjnych i politycznych zachodów i możliwych nieporozumień z wielkiemi mocarstwami, bądź co bądź nieżyczliwie spoglądającemi na wzrost marynarki niemieckiéj i na powiew flagi niemieckiéj choćby nad pustemi wybrzeżami. Wśród takich okoliczności opozycya parlamentarna postanowiła odmówić swéj odpowiedzialności i w dwukrotném czytaniu budżetu wykreśliła żądanie kanclerza. Do opozycyi w pełnéj sile stanęło i centrum. Afront tém dotkliwszym był dla kanclerza, że osobiście kilkakrotnie przemawiał za swém żądaniem, a właśnie też wtedy zwrócone były oczy całéj Europy na Berlin, gdzie zasiadała komisya międzynarodowa, dla uregulowania posiadłości europejskich nad rzeką Congo. Cóż się tedy dzieje? Ze wszystkich stron „niemieckiéj ojczyzny“ zaczęły się odzywać głosy, wyrazy, adresy „oburzenia“, przeciwko małoduszności parlamentu, przeciwko sknerstwu i niepatryotycznéj „obstrukcyi,“ skierowanéj bądź co bądź przeciwko celom wielkiéj polityki wielkiego męża stanu. Szturm ten z jednéj strony „podkopywał znaczenie parlamentu,“ z drugiéj podniecał namiętności polityczne opozycyi. „Germania“, organ naczelny stronnictwa centrum, nazywał objawy te wybuchami „narodowego szwindlu“ i „narodowego serwilizmu.“ Chodziło o skutek a gdy w r. 1885 d. 5 marca przyszło do ostatecznéj rozprawy, pokazało się, że „szturm“ nie pozostał bez wrażenia. Pozycya żądana przeszła, bo z opozycyi liberalnéj 20 członków przerzuciło się na stronę rządu a z centrum $^1/_3$ członków nie

stawiła się na głosowanie. Reszta obecna głosowała wiernie jak dawniéj, przeciwko wnioskowi rządowemu. Pokazało się więc, że sprawa ta sama przez się drobna, źle była użyta do przeprowadzenia zasadniczéj polityki, pokazało się daléj, że i wśród centrum są żywioły nie spoiste *quand même*.

Przeciwnicy „środka“ pocieszają się téż nadzieją, że z usunięciem walki kościelnéj, usunie się przyczyna bytu tego potężnego stronnictwa. Czy nadzieje te dopiszą, nie można naprzód przesądzać. Jak dziś rzeczy stoją, nie trudno je nazwać przedwczesnemi. Póki żyje dzielny przewodnik „środka“, wszelkie usiłowania rozbicia jego zastępu nie osiągną wielkich skutków. Liczą na Rzym, że ten „zakaże“ centrum, ale Rzym jest lepszym dyplomatą aniżeli przypuszczają. Rzym robi tylko ustępstwa, żeby wejść na drogę powolnych zdobyczy. Liczą na episkopat niemiecki, ale biskupom stronnictwo parlamentarne nie może stać na zawadzie. Liczą na wyborców, ale ci na długi czas jeszcze są dostatecznie „sfanatyzowani“, żeby mieli zapragnąć innéj reprezentacyi swych życzeń polityczno-kościelnych, jak przez dotychczasowe stronnictwo centrum. Nie zanosi się zresztą zupełnie na to, żeby ostateczny wynik walki „kulturowéj“ przypieczętowany został, bezwzględném zwycięstwem Rzymu, więc i do opozycyi nie ustają powody. Na polu szkolnictwa ludowego wszechwładztwo państwa zrobiło owszem postępy z uwzględnieniem raczéj życzeń liberalizmu, nie zaś dążeń katolickich. Blichtrem być się zdaje sporadyczne zamienianie szkół bezwyznaniowych na wyznaniowe w miejscowościach, gdzie bezwyznaniowość zupełnie nie ma racyi bytu. A gdyby okoliczności i wpływy wyższe sprawę szkolną kazały czasowo wykreślić z programu stronnictwa katolickiego, już ono zapisało na wokandę swą sprawę socyalną. Uderza nawet, że naczelnik „środka“ na świeżo odbytém wielkiém zebraniu wyborców w Dortmund, wyliczając przyszłe zadania swego stronnictwa, nie kładł przycisku na walkę o szkołę, jeno na pracę dalszą około utwierdzenia wolności kościoła i dobro pracującego ludu. Mówił wprawdzie w jedném z głównych ognisk ruchu robotniczego w Niemczech. Zapewniał, że nie czas zakładać ręce bezczynnie a organizacya partyi i nadal jest nieodzowną, żeby zdobyć więcéj nad to, co się zdobyło, a nie utracić tego, co się uzyskało.

Póki on żyje, póty i centrum trwać będzie. A potém? Mówią, że niema na świecie dzielności, któraby nie mogła być zastąpioną. Czas to pokaże.

Stronnictwo zachowawcze dzieli się, jak już wspomnieliśmy, na kilka odłamów tak w sejmie jak w parlamencie. Jedno skrzy-

dło ich z organem „*Kreuz Zeitung.*“ reprezentuje wysoką szlachtę i ortodoksów ewangielickich, a zarazem kierunek agraryuszów pod względem ekonomicznym; a drugie skrzydło przez t. zw. wolnokonserwatywnych (*Freiconservative*) styka się z narodowo-liberałami, a reprezentuje głównie biurokracyą i własność ziemską dorobkiewiczów, z organem „*Post.*“

Pod względem politycznym stronnictwo to miało znaczenie do r. 1866. Ale ks. Bismark odwrócił się od niego, albowiem „ono go opuściło,“ tj. w zamiarach jego unifikacyjnych nie okazało dość rewolucyjnéj powolności. Dopiero po odbudowaniu cesarstwa, po epoce „grynderstwa i szwindlu“, stronnictwa te zaczęły znów powracać do niejakiego wpływu a zdobyły go głównie na polu ekonomicznem. Za pomocą „środka“ a głównie z woli rządu, przeprowadziły zwrót polityki handlowéj od wolnego handlu do cel opiekuńczych i popierają dążności rządowe, skierowane ku przejściu do systemu podatków pośrednich, monopolów itp. oraz cały kierunek agraryjny, upatrujący ratunek od upadku dla chromającego rolnictwa w pomocy rządowéj i w ograniczeniu swobód handlu, przemysłu i rzemiosł.

Przeciwników znajduje rząd w stronnictwie tém tylko, jeśli nie jest dosyć powolnym dla wzmocnienia wpływu i niezależności ortodoksyi ewangielickiéj, albo o ile kokietuje z liberałami lub uwzględnia przewagę liberalizmu. W sprawach walki z kościołem szli konserwatyści z rządem, gdy wrzała walka, i dziś idą z nim, gdy pragnie pokoju.

Stronnictwo to odznacza się przed innemi mianowicie brakiem „ludzi,“ prawdziwie imponujących. Pochodzi to ztąd, że wszystkie lepsze siły zajęte są czynną służbą rządową. Wiadoma to rzecz, że państwo pruskie i potęga niemiecka tem głównie stoją, że nie w tak wysokim stopniu tolerują i podnoszą mierność jak inne państwa i społeczeństwa. Służba rządowa pochłania wszystko co się odznacza zdolnością, wiedzą, nauką a z zastępów tych nieliczny tylko odłamek ma tyle wczasu lub otrzymuje pozwolenie, żeby się poświęcić jałowéj, bądź co bądź, pracy parlamentarnéj. Dla tego nawet w stronnictwach rządowych taki brak „ludzi.“ Dla tego téż inicyatywa prawodawcza w 5/5 spoczywa zawsze w ręku rządu, który tylko wyjątkowo uwzględnia wnioski i uchwały z łona ciał prawodawczych bezpośrednio wynikłe.

Dziś w sejmie pruskim stosunek stronnictw jest tego rodzaju, że żywioły zachowawcze i ku konserwatyzmowi się chylące mają większość głosów i przeprowadzają wszystko, co rząd na seryo zechce. Inaczéj jest w parlamencie. Tam zachowawcy czyli rządowcy są w mniejszości. To téż ks. Bismark, który swego czasu tyle nadziei

pokładał na parlamencie, z tajnych i bezpośrednich wyborów wynikłym, dziś jak najmniéj zaufania mu okazuje. W chwili uniesienia powiedział przecież, że jeśli jemu, tj. ks. Bismarkowi, Europa nie zaimponowała, tém mniéj mu imponować może większość parlamentu. Nie mając na zawołanie silnéj większości w parlamencie, zaniedbuje go a jeśli krnąbrne ciało parlamentarne odważy się uchwalić cośkolwiek niezgodnego z polityką rządu, kanclerz wysuwa przed siebie radę związkową, którą w obec parlamentu przedstawia jako „drugą“ a raczéj pierwszą, wyższą prawodawczą izbę i instancyą. Rada ta składa się z pełnomocników wszystkich rządów do cesarskiéj rzeszy należących a zastępuje ks. kanclerzowi zachowawczą większość parlamentu,

Nie można jednakże twierdzić, żeby stronnictwa konserwatywne były bez wpływu. Owszem wpływ ich jest dziś dość znaczny na politykę wewnętrzną dla tego, że rząd tak chce i pragnie obecnie na podstawie zachowawczéj dojść do zupełnego opanowania spraw prawodawczych i parlamentarnych. Zachowawcy uważają się dziś za powołanych do sprawowania rządów, ale powołanie to nie zasadza się na ich potędze w opinii publicznéj, na uznaniu zasad konserwatywnych u wyborców, lecz na skłonności rządu do rządzenia za pomocą żywiołów i zasad, nie tyle zachowawczych co wsteczniczych. Dzisiejszą epokę poprzedzała owa, w któréj ks. Bismark „opuszczony“ przez konserwatystów, widział się zmuszonym do rządzenia i działania za pomocą stronnictw i opinii liberalnych. W epoce téj cała maszynerya prawodawcza nakręconą została na korzyść kapitału pieniężnego i handlu, a na niekorzyść rolnictwa. Dziś pod sztandarem ratunku zagrożonego rolnictwa niemieckiego, dokonywa się reakcya i toczy się zawzięta walka geszefciarskiego liberalizmu z bankrutującymi agraryuszami, a ci właśnie zapisują się do stronnictwa zachowawczego. Z wolą rządu obalono już dawny system wolnego handlu. Dla ratunku pracy narodowéj, zaprowadzono cła opiekuńcze, mianowicie téż na płody rolnicze.

Cła rolnicze stanowią główną kość niezgody między stronnictwem konserwatywném a liberalném czyli raczéj wolnomyślném. Zachowawcy i agraryusze widzą w nich sposób podniesienia cen ziemiopłodów, wolnomyślni upatrują w nich uciążliwy podatek na „biednego człowieka“ (*der arme Mann*). Mimo dwukrotnego ustopniowania tych ceł, ceny ziemiopłodów się nie podniosły, a mimo ich taniości chléb nie staniał. Agraryusze marzą o dalszém podwyższeniu ceł, lub o zakazie przywozu ziemiopłodów z zagranicy; wolnomyślni składają na ustanowienie ceł wszystkie dolegliwości ekonomiczne, trapiące społeczeństwo, należące do cesarstwa Niema końca wza-

jemnym zarzutom a żadna strona nie daje za wygraną. Mianowicie też zachowawcy nie ustają w projektach nowych ceł, w podwyższaniu dawnych i w obmyślaniu utrudnień dla swobodnego rozwoju ruchu handlowego, mianowicie na giełdzie. Oni to dążą do wywrócenia złotéj waluty, onego czasu z kolosalnym zyskiem przeforsowanéj przez berlińskich giełdowiczów i ich „liberalnych działaczy.“ Oni na każdém polu wypowiadają wojnę „pośrednictwu handlowemu,“ wychodząc z téj zasady, że producent powinien sobie podać rękę z konsumentem ponad głowami pośredników, bez pracy władających towarem i jego cenami. Wszystko to projektuje lub wykonywuje się w „interesie zagrożonego rolnictwa“ i klas posiadających, zasiedziałych a narażonych na rugi subhastacyjne.

Wątpliwą jednak jest rzeczą, czy środki użyte w téj mierze, doprowadzą do zamierzonego celu. Panowie agraryusze nie mają między sobą „głów,“ któreby ruchem tym pokierować umiały odpowiednio. W zacietrzewieniu swém widzą zbawienie swoje, a więc jednéj klasy społecznéj (rolniczéj), w podcinaniu sił żywotnych drugiéj klasy, pośredników handlowych; w sztucznem ograniczaniu produkcyi i swobodnéj pracy. Zakazy te zemszczą się niewątpliwie i już się mszczą ekonomicznie. Tak np. dochody z upaństwowionych kolei znacznie się obniżyły przez zmniejszenie przywozu z powodu ceł opiekuńczych.

W całym ruchu tym najosobliwszém jest zjawisko, że stronnictwa zachowawcze idą ręka w rękę z rządem, ale nie odwrotnie. Rząd tylko popiera przeważnie te dążności reakcyjne, które mu otwierają nie tylko szerokie pole wpływu, ale i znaczne korzyści skarbowe. A zatém przeprowadzono już upaństwowienie kolei żelaznych, cła, opodatkowanie giełdy itd. Dążył wszelkiemi siłami do zaprowadzenia monopolu na tytoń a gdy takowy przepadł w parlamencie za sprawą „środka“ i liberałów, zamierzał zmonopolizować okowitę, co się także nie udało. Natomiast zupełnie się nie śpieszy z zamierzonem przez reakcyą obaleniem ordynacyi procederowéj i zaprowadzeniem cechów, dawnych egzaminów rzemieślniczych itp., bo to dla skarbu są rzeczy obojętne. Dla tego sprawa ta śpi, chociaż konserwatyzm pragnąłby ją załatwić, celem zjednania sobie samodzielnych sfer rzemieślniczych, które wzdychają za ograniczeniem wolnéj konkurencyi na polu pracy zarobkowéj. Czy to wszystko będzie miało skutek pożądany?

Państwa i społeczeństwa nowożytne są na tak pochyłéj drodze, że jakieś uboczne i cząstkowe hamowania, badaj czy zdołają złemu zaradzić. Są państwa z monopolami i bez monopolów, a równa w nich i coraz większa bieda, są państwa wolnohandlowe i z cłami

opiekuńczemi i t. d. i t. d., a nie chroni ich ani jedno ani drugie od coraz większego zaprzepaszczania się w opłakane stosunki. Zdaje się tedy, że przyczyna złego leży gdzieindziéj— w punkcie, na który dotąd bardzo skąpo zwraca się uwagę.

Złe leży prawdopodobnie w tém, że ludzkość nie robi postępów na drodze moralnéj, a państwa prowadzą gospodarstwo pozbawione wszelkich zasad ekonomicznych. Ludzkość coraz więcéj umie i potrafi, ale coraz mniéj ma serca i przymiotów duszy. Państwa coraz potężniejsze na zewnątrz, ale na wewnątrz upadają ekonomicznie, albowiem żyją bez rachunku. One jedne a niestety za niemi i gminy sądzą mieć ten przywiléj, że im wolno dochody obmierzać wedle wydatków a nie odwrotnie, jak uczy najpospolitsza nauka ekonomii politycznéj. Jednostka czy społeczność wydająca więcéj jak zarabia lub zarobić może, musi upaść. Miałożby gospodarstwo państwowe być wyjęte z pod tego prawidła? A jak gospodarstwo państwowe, tak wysoce nieekonomiczne, oddziaływa na społeczeństwo, widzimy właśnie na powszechném położeniu krytyczném społeczeństw w danéem położeniu bytujących.

Z tego punktu widzenia się zapatrując, wzruszyć tylko można ramionami nad wszelkiemi środkami obrony i ochrony, obmyślanemi w ciałach prawodawczych lub stronnictwach, zwłaszcza tak krótkowidzących, jakiemi są stronnictwa zachowawcze w parlamentaryzmie niemieckim.

Przypada nam teraz z kolei przyjrzéć się odwrotnéj stronie medalu. Po tamtéj były zachowawcze, po téj liberalne stronnictwa i frakcye, a głównie dwa odcienia, wielce od siebie odróżnione: stronnictwo narodowo liberalne i stronnictwo wolnomyślne czyli postępowe, a dziś nazywające się niemiecko-wolnomyślném (*deutsch-freisinnig*).

Stronnictwo narodowo-liberalne było kiedyś najpotężniejszém ze wszystkich. Lecz i urosło w potęgę i wziętość nie z siebie i z narodu, nie z zasad prawdziwie narodowych i istotnie liberalnych, lecz urosło dla geszeftu i przez geszeft z téj okoliczności, że wobec ruchu unifikacyjnego, zachowawcy „odstąpili“ kanclerza, a liberalni nastręczyli mu się ochoczo do spraw jego polityki jako powolne narzędzie. Ta epoka potęgi narodowego liberalizmu z łaski kanclerskiéj trwała od r. 1867—1878.

Dla szczegółowéj charakterystyki powiedzmyż zgóry: była to epoka oszukańczego gryndersiwa, epoka rozpasania walki „kulturowéj“, epoka upadku rolnictwa i przemysłu niemieckiego, a skierowania wszystkich korzyści dla giełdy i jéj adeptów wielkich i małych.

O tych czasach powiedział niedawno ks. kanclerz: „Żyłem z temi panami w bardzo dobrém porozumieniu, póki im się nie uwidziało jeść z nami (z rządem) z jednéj miski. To nie uchodziło i nie uchodzi. Ale gotów jestem każdego czasu odnowić stosunki ze wszystkimi narodowo-liberalnymi, którzy nie przeszli do postępowców, byle tylko ci panowie takiego odnowienia stosunków zapragnęli.“

Znaczy to tyle, że kiedy „murzyn spełnił swój obowiązek“, a zażądał w nagrodę dla siebie teki ministeryalnéj, powiedziano mu: „możesz sobie odejść“ — i rozpoczęła się reakcya konserwatywna, t. j. ks. kanclerz odwrócił się od liberałów a przechylił się do stronnictw zachowawczych. Zwrot kanclerza taki wywołał skutek, że kiedy się r. 1877 rozbiły rokowania (szczere czy nieszczere) z Benigsenem, jednym z głównych przywódców nacyonal-liberałów, o wstąpienie do ministeryum, stronnictwo się także rozbiło i nastała tu secesya. Jedna część nacyonal-liberałów postanowiła wytrwale czekać przy swym ministeryalnym sztandarze na przywrócenie łaski kanclerskiéj; druga, secesyoniści, zerwała z kanclerzem zupełnie i zrobiła zwrot ku nienawidzonym przez niego postępowcom, a prowodyrowie główni, jak Benigsen i Lasker wycofali się z otwartego życia politycznego.

Taki stan rozbicia i niepewności trwał aż do r. 1884, kiedy się dokonało połączenie secesyonistów z postępowcami, za przybraniem nazwy stronnictwa n i e m i e c k o - w o l n o m y ś l n e g o.

Wtedy resztka potężnego kiedyś stronnictwa liberałów, w 42-ch zebrała się naprzód w Heidelbergu (1884) i ustanowiła ściślejszy program, który następnie na zebraniu berlińskiém pod wodzą Benigsena zatwierdzonym został. Mówiono, że się dla tego prowodyra znów otwierały jakieś ministeryalne widoki, a ks. kanclerz wobec oczyszczonego z postępowych żywiołów zastępu znów przypomniał, że stronnictwu temu dozgonną zachowa wdzięczność, za pomoc, któréj od niego doznały „rządy związkowe“ w „utwierdzeniu cesarskiéj rzeszy na bezpieczniejszéj podstawie.“

Program ten, a zatém program obowiązujący dziś stronnictwo nacyonal-liberałów, postawił następujące postulaty:

Zwalczanie zachcianek wsteczniczych, — oczywiście jest to ozdobne piórko liberalizmu, zatknięte na biret zatajonego ministeryalizmu. Daléj idzie zachowanie tajnego głosowania na posłów do parlamentu; utrzymanie potężnéj siły zbrojnéj; popieranie zewnętrznéj polityki kanclerza i jego wielkich usiłowań p o k o j o w y c h; naprawa stosunków społecznych z inicyatywy rządu; zamknięcie prawodawstwa celnego, nie wykluczając jednak potrzebnych rewizyi; pomoc dla rolnictwa; opodatkowanie giełdy, okowity i cukru;

rewizya prawa o zamieszkałości (*Unterstützungswohnsitz*), jednakże z zachowaniem swobodnego przesiedlania się. Wogóle zaś ma być zadaniem stronnictwa, żeby pod sztandarem narodowym szukać porozumienia raczéj zawsze z ks. kanclerzem, niż z postępowcami, „których nieustająca, doktrynerska negacya do niczego nie prowadzi.“

Z takim programem stronnictwo nacyonal-liberałów ma pretensyą do zajmowania „prawdziwie środkowego“ stanowiska. Mówią oni, że są prawdziwymi narodowcami, bo popierają przedewszystkiém narodową, unifikacyjną dążność rządu (kanclerza), że daléj są prawdziwie liberalnymi, bo się rządzą umiarkowaniem, które gdzie potrzeba, występuje przeciwko zachciankom wstecznicz ym, ale też z zasad owych umie robić ofiarę dla wyższych narodowych (kanclerskich) celów.

Taka połowiczność i chwiejność, w żadnym wypadku nieobliczona, nie zjednywa stronnictwu temu przyjaciół wśród reszty żywiołów parlamentarnych. Najściślejszym jest ich stosunek do wolnokonserwatywnych, którzy tak samo wedle potrzeby i zrozumienia chwilowego, są raz bardziéj zachowawczy, to znów niby skłaniają się do liberalizmu. Znienawidzonymi są nacyonal-liberały w obozie „środka“ i w obozie postępowców czyli dziś niemiecko-wolnomyślnych. Windthorst powiedział o nich, że noszą liberalizm na ustach, a w rzeczy saméj są najgorszymi tyranami. Postępowcy dyskredytują ich na każdym kroku jako hipokrytów, ubierających się w togę interesów narodowych, pod którą się chowa bliższa ciała koszula spekulacyi, oczekująca na liberyą rządową i sposobność wyzyskiwania środków państwowych dla finansistów i liwerantów. Zachowawcy zapomnieć im nie mogą „liberalnego“ prawodawstwa, które Niemcy uszczęśliwiło swobodą przesiedlania (*Freizügigkeit*), wolnością procederu, lichwy, giełdy, a bardzo wątpliwéj wartości ustawami: subhastacyjną, obliczoną na wywłaszczanie zasiedziałych żywiołów, hypoteczną, obliczoną na korzyść kapitalistów, opiekuńczą, nie dającą prawdziwéj opieki i konkursową, która przebiegłość chroni od grozy prawa, a dobroduszność oddaje na pastwę takowéj.

Dawne stronnictwo postępowe nosi dziś, jak wyżéj zaznaczyliśmy, nazwę niemiecko-wolnomyślnego. Niewtajemniczonego w szczegóły życia konstytucyjnego w Niemczech, a szczególnie też w sam charakter niemiecki, zadziwiać musi osobliwość i sztuczna składnia nazw stronnictw parlamentarnych. Mieliśmy już niemiecko-konserwatywnych, wolno-konserwatywnych, narodowo-liberalnych, teraz mamy niemiecko-wolnomyślnych.

Nazwa ta jest produktem bardzo subtelnie obmyślanéj konkurencyi ze stronnictwem narodowo-liberalném, którego nazwa dla przeciętnego wyborcy bądź-co-bądź jest ponętną, bo zawiera w sobie i „naród“ i „wolność“, czyli „liberalizm.“ Trzeba więc było wymyślić jeszcze coś bardziéj pociągającego. Więc w czasie szowinizmu germańskiego, bardzo słusznie zamiast „narodowo“, położono „niemiecko“, a zamiast „liberał“ położono rodzime „*freisinnig*“ i teraz ul ten czeka, czy pszczoły ludu doń się wprowadzą.

Nie możemy tu przechodzić z rzędu wszystkich zmian i przetworów, jakie się w łonie stronnictwa tego dokonywały, zanim się wytworzyło takiém, jakie dziś jest. Mówiąc o nacyonal-liberałach, zaznaczyliśmy już główne dane historyczne. Nie będziemy się zatém powtarzali i przejdziemy wprost do charakterystyki tego, co jest istotą w stronnictwie niemiecko-wolnomyślném.

Stronnictwo niemiecko-wolnomyślnych jest przedewszystkiém wyrazem opozycyi przeciwko rządowi. Jest ono też z większych stronnictw jedynem, które nie może miéć widoków na pozyskanie łask kanclerskich i stać się narzędziem polityki. Wprawdzie i o centrum powiedział ks. Bismark, że z niém w zgodzie żyć nie można bez zapisania mu duszy swéj, ale przynajmniéj wyraził niejednokrotnie życzenie, żeby z niém żyć w zgodzie i targować się o ustępstwa. Z postępowcami zgodę uważa za niemożebną. Przyznal się, że jako „dyplomata“ i onych próbował brać na lep, ale się przekonał, że z nimi „niema rzeczy“ i odtąd nienawidzi ich gorzéj niż socyalistów, a stawia ich w rzędzie najgorszych nieprzyjaciół cesarstwa. Uważa ich po prostu za republikanów, którzyby dziś gotowi obalić monarchią pruską i cesarstwo niemieckie. Zapowiedział niejednokrotnie, że do ostatniego tchu walczyć będzie przeciwko dążnościom tak niebezpiecznych burzycieli.

Jest to naturalnie taktyczna insynuacya, bo naprawdę chyba stronnictwo postępowe i niemiecko-wolnomyślne nie marzy o celach tak wielce oddalonych od rzeczywistości. Tak śmiałemi nie są poloty najpozorniejszych orłów niemieckich, żeby chciały naśladować Francuzów. Niemcy wogóle mają sympatye i aspiracye republikańskie póki są w szkole, a duchem żyją w Atenach i Rzymie. W życiu potém reminiscencye wychowania klasycznego utrzymują w téj mierze pewne skłonności platoniczne, jednak bez zamiaru praktycznych następstw. Po za ludźmi przewrotu, którzy sami nie wiedzą czego chcą, na palcach zapewne policzyć by można w Niemczech rzeczywistych republikanów, których ks. Bismark upatruje w stronnictwie postępowem. Nie o republice oni marzą, ale o rządach konstytucyjnych, jakie ma Anglia.

„Nie zjednoczenia chcieliśmy samego w r. 1871 — rzekł kiedyś wobec takich zarzutów Richter, jeden z przodowników stronnictwa — ale chcieliśmy zarazem wolności; nie chcieliśmy samego cesarza niemieckiego, ale i niemieckiego parlamentu, któryby miał znaczenie i powagę.“

Jak się na tę sprawę zapatruje ks. Bismark, już wyłuszczyliśmy. Nie jest on przeciwnym „prawidłowo wykonywanemu współdziałaniu parlamentarnemu, nawet współdziałanie takie uważa za „potrzebne i użyteczne“; ale panowanie parlamentarne uważa za „szkodliwe i niemożebne.“ Co zaś stronnictwa prawią o „wolności“, rozumiéć przez to należy raczéj „władzę i panowanie“, do których daremnie w Niemczech wzdychać będą.

Zdaje się, że ks. Bismark ma słuszność w takiém przewidywaniu przyszłości, bo ostatnie wybory wykazały znaczne cofnięcie się żywiołu niemiecko-wolnomyślnego na korzyść dwuznacznych nacyonal-liberałów i ich programu heidelberskiego. Może się więc ks. kanclerz cieszyć nadzieją, że z czasem „naród go zrozumie“ i wybierze bardziéj jednolite żywioły do sejmu i parlamentu, a ustanie wtedy gorszący go nieobyczaj bytu i walki właściwie bezpodstawnych stronnictw, które kanclerz, gdyby mógł, „zakazałby pod surową karą.“ Sam jednak wątpi on o osiągnięciu takiego celu. Chyba że młodsza generacya, wzrosła od i po wielkim r. 1871, lepiéj zrozumie ducha czasu i politykę kanclerską, a wszedłszy na arenę polityczną „ramionami wzruszać będzie nad przebrzmiałą swarliwością 12 frakcyi parlamentarnych.“

Wszystko złe, które kanclerz instytucyom parlamentarnym przypisuje, stosuje się przedewszystkiém do frakcyi dawniéj postępowéj a dziś niemiecko-wolnomyślnéj. Ona przez zasadniczą opozycyą swą ośmiela zewnętrznych nieprzyjaciół Niemiec, ona krzyżuje zbawienne zamysły rządu, ona wchodzi w sojusze „nienaturalne“ z centrum i innymi nieprzyjaciołmi rzeszy, ona podkopuje wielkie dzieło r. 1871. Za nią też głównie pokutować musi cały parlament, bo mimo tylu uchwał swoich, nie może od rady związkowéj i korony uzyskać dla członków swoich upragnionych dyet, a nawet wolna dotąd jazda na kolejach posłom ukrócona została, jako kara za krnąbrność i opozycyjność, przyczém też przecięte zostały nadużycia wolnéj jazdy parlamentarnéj do prywatnych interesów. Byli tacy ojcowie ojczyzny, co w jednéj kadencyi ujeździli 17000 kilometrów.

Nabywszy w powyższy sposób poglądu na istotę i dążenia postępowców z zapatrywań ich przeciwników, zobaczmyż teraz, jakiemi są takowe wedle jawnego programu.

Przedewszystkiém żądają oni prawodawczéj organizacyi odpowiedzialnego ministeryum rzeszy, rocznego budżetu dochodów i rozchodów, wolności rzeczywistéj dla mowy, wyborów, prasy i stowarzyszeń, utrzymania wyborów bezpośrednich i tajemnych, dyet dla posłów do parlamentu, prawodawczego uregulowania stosunku między państwem a kościołem. Daléj chcą, żeby porzucono i zwalczono system socyalizmu państwowego, żeby zdjęto cła i akcyzy z najpotrzebniejszych potrzeb życia, żeby w wojsku utwierdzono nietylko ogólny obowiązek do służby, ale skrócono czas służby czynnéj. Na każdy peryod prawodawczy ustanawiać się ma z woli parlamentu czynny stan armii. Wszystko to z wyrazem wierności dla cesarza w państwie związkowém.

Powiedzmy wprost, że żaden z tych postulatów nie ma widoków na urzeczywistnienie, z wyjątkiem istniejącego już głosowania tajnego, które zdaje się potrosze być zagrożonem, bo omyliło kanclerza w jego rachubach. O czynnéj zgoła przewadze stronnictwa wolnomyślnego nie może byc mowy. Ono samo o tém nie marzy. „Nie dla siebie ubiegamy się o władzę — zawołał Richter, odpowiadając na odnośne zaczepki kanclerza—ale dla naszych myśli i zasad." Nawet dyet użyczyć rząd nie chce i nęka posłów długiemi i częstemi sesyami, chcąc im obrzydzić parlamentarkę ciężkiemi jak dla wielu ofiarami pieniężnemi. Zgodziłby się ostatecznie na dyety, ale nie bez zupełnéj odmiany prawodawstwa i regulaminu wyborczego. Taka była jego odpowiedź na siedm razy w parlamencie zapadłą uchwałę, że dyety posłom przysługiwać mają.

Za tę oszczędność polityczną mszczą się na kanclerzu wolnomyślni najdosadniejszą krytyką jego budżetów, wymagań budżetowych i projektów finansowych. Nad każdym etatem pastwi się w długich wywodach specyalista budżetowy, Richter, zapowiadając rzeszy przy dalszéj gospodarce, jak dotychczasowa, nieuniknioną ruinę finansową. Naigrawa się ze wszystkich „reform podatkowych." Reformy te ograniczają się wedle niego na obmyślaniu nowych podatków.

Lecz krytyka ta, jak zwykle krytyka, nie może się poszczycić znaczniejszą miarą dodatnich korzyści i zdobyczy. Jest bezpłodną, a kanclerz raczéj każdemu innemu stronnictwu zrobi ustępstwo, lecz nie wolnomyślnym postępowcom. Oszczędność, mówi, jest u nich tylko maską upornéj opozycyi. W tak ważnéj np. sprawie ceł zbożowych i na bydło, wolnomyślni nic nie wskórali, a stronnictwo „środka" prawdziwie po mistrzowsku przeprowadziło swoję *lex Huene*, wedle któréj za podwyższeniem ceł oddało głosy swe tylko pod tym warunkiem, że sumy z podwyższenia ceł na Prusy przypadające, rozdzielone zostaną na korzyść związków komunalnych.

Uchwała ta stała się prawem. Jedna z niewielu, z inicyatywy stronnictw radzie związkowéj do utwierdzenia podanych i zatwierdzonych.

Zresztą zaznaczyć należy, że w sprawie ceł zdania zbytnio były podzielone, aby karność stronnictw mogła być zachowaną i przeprowadzoną. Wcale téż tego nie usiłowano. Większości układały się kaleidoskopowo z różnych odłamów stronnictw i utworzył się z nich tu „wolny związek ekonomiczny.“ Ten cła przeprowadził. Przeciw cłom głosowali wolnomyślni, partya ludowa (*Volkspartei*) i socyaliści.

Ilekroć tedy wolnomyślni chcą się pochwalić dodatnią zdobyczą pracy swéj parlamentarnéj, muszą się uciekać na pole walki kościelnéj, a tam zapisują na swoje konto zdobycze szkół bezwyznaniowych, małżeństw cywilnych, ograniczenie kongregacyi, prawo o dozorze szkoły, prawo zabezpieczające jednostkę od następstw duchownéj dyscypliny, prawo o starokatolikach, o urzędach duchownych i t. p.

Zresztą wobec walki kościelnéj, stronnictwo wolnomyślne okazywało dwie maski, zwłaszcza w ostatnim czasie. Jedna część, z Haenelem na czele, okazywała niechęć dla dążności i działań stronnictwa katolickiego, druga pod przewodnictwem Richtera stawiała się na stanowisku wyższéj sprawiedliwości. Richter przemawiał niejednokrotnie za rewizyą praw majowych, za zniesieniem prawa banicyjnego na duchownych, nawet za zniesieniem t. zw. prawa obroczznego dla dyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiéj i kolońskiéj, a ile razy rząd zażądał praw dyskrecyonalnych na załatwianie szczegółów walki „kulturowéj“, wolnomyślni byli temu przeciwni, wywodząc, że sprawy te załatwić się powinny drogą prawodawstwa konstytucyjnego, nie zaś dobréj woli lub samowoli rządu.

Przyznać trzeba stronnictwu wolnomyślnemu, że dąży bądź-cobądź do prawidłowego rozwoju w konstytucyonalizmie niemieckim. Czy w dążeniach tych znajdzie poparcie u wyborców i w narodzie, czas musi rozstrzygnąć. Tymczasem nie bardzo się na to zanosi. Jak już zaznaczyliśmy, ostatnie wybory wypadły dla wolnomyślnych bardzo niepomyślnie. Kto zna charakter niemiecki, przypuszczać może, że i przyszłe nie przyniosą lepszych korzyści, jeżeli aureola rządów kanclerskich zdoła się utrzymać. Wprawdzie w kraju niezadowolnienie się wzmaga w różnych sferach ludu, zagrożonych mianowicie w zarobkowości przez różne fiskalne projekta, zmierzające do zagarnięcia zarobków na rzecz rządu. Katolicy nie dowierzają pokojowi kościelnemu, wrogowie kościoła katolickiego rozgoryczeni istotnemi czy rzekomemi ustępstwami dla Rzymu. Kosz-

towna zabawka w politykę kolonialną budzi wszędzie uzasadnione obawy. Jedni z niéj wróżą wydatki, których nigdy zysk nie pokryje, inni (Windthorst) lękają się groźnych zawikłań międzynarodowych. Coraz obfitsze *prawodawstwo wyjątkowe*, podkopuje wiarę w stałość stosunków prawnych. Coraz większy upadek ekonomiczny podkopuje wiarę w błogosławieństwa wielkości niemieckiéj. Ale wszystkie te groźne objawy z trudem zdołają „niemieckiego Michałka“ (*deutsche Michel*) zamienić w politycznego bohatera, któryby nawet w lojalny, konstytucyjny sposób upomniéć miał się seryo o pokierowanie rządów i spraw kraju na inne, lepsze tory. Objawy takie u Niemców, zamiast pobudzać do opozycyi, zniewalają do tém większéj uległości i poddania się „sile większéj.“ Zwłaszcza téż, póki żelazny kanclerz rozporządza losami Niemiec a póki mu się noga nie pośliźgnie, o postępach konstytucyonalizmu w Prusiech i Niemczech, mogą sobie niemiecko-wolnomyślni marzyć, ale rzeczywistości upragnionéj nie zobaczą.

Pozostaje nam jeszcze teraz chyba pomówić o politycznéj muzyce przyszłości, reprezentowanéj przez socyalistów. Przy ostatnich wyborach doprowadzili oni do pokaźnéj stosunkowo liczby 24 posłów. Aż blady lęk padł na wszystkich politycznych strachajłów, którzy w fakcie tym upatrują zapowiedź zbliżającéj się burzy socyalnéj, stokroć gorszéj od przewrotu spowodowanego rewolucyą r. 1789. Ks. Bismark zaś powitał ich w parlamencie, ku wielkiemu zdziwieniu przestraszonego świata, wyrazem szczeréj czy udanéj uciechy. Dobrze, rzekł mniéj więcéj, że zastęp stronnictwa tego wzrósł. Będą mogli teraz stawiać samodzielne wnioski, a wraz się przekona świat i przekonają wyborcy socyalistyczni, że to czysty blichtr i ułuda. Chciałbym, gdyby to było w méj mocy, oddać im jednę prowincyą w entrepryzę; dopieroż byliby w ambarasie, gdyby im przyszło w praktyce urządzać to, o czém tak szeroko rozprawiają w teoryi.

Zresztą nie zwykł ks. Bismark sprawy społecznéj zbywać żarcikami a nieraz wypowiedział zdanie, że w socyalizmie tkwi zdrowe jądro prawdy. A państwo nawet skazane jest wedle niego, na to, żeby poniekąd uprawiało socyalizm państwowy.

Ten tedy socyalizm państwowy nazywa się urzędowo poprawą doli robotnika a poprawy téj spodziewa się kanclerz z trzech kierunków swojéj, rządu i sejmów działalności. Przez cła nabyć ma praca narodowa opieki przed wyzyskiwaniem ze strony zagranicy: przemysł się ma podnieść a robocizna polepszyć.

Ale wolnomyślni i socyaliści odpowiadają na to, że owszem cła w niczém się nie przyczyniają do ochrony interesów robotnika, bo podrażają potrzeby życia i wszystkie towary. Drugim środkiem antysocyalistycznym ma być lepszy rozkład podatków, co bardzo pięknie brzmi, ale trudno to przeprowadzić nawet przy dobréj woli, bo wzrastające z dnia na dzień potrzeby państwa, a mianowicie wydziału wojny, szkoły, polityki kolonialnéj, itd., zmuszają rząd do obmyślania przedewszystkiém nowych i obfitszych źródeł dochodu. Niektóre ulgi w opodatkowaniu najbiedniejszych klas robotniczych od podatków bezpośrednich są iluzoryczne, bo ściąganie tych podatków z ostatecznéj biedy, połączone było z kosztami i trudnościami przewyższającemi zysk z podatkowego plonu. Ubytek dochodu zaś równoważy się dochodem z podatków bezpośrednich, które każdy najbiedniejszy konsument opłaca przez spożywanie oclonych towarów lub przez cło podrożałych, jak twierdzą socyaliści i wolnomyślni. Trzecim nareszcie środkiem poprawienia doli robotnika ma być bezpośrednia opieka nad nim na wypadek choroby lub nieszczęśliwego wypadku, ukracającego jego siłę i możność do pracy. W téj mierze z ramienia prawodawstwa i rządu ustanowiono powszechne kasy chorych i zabezpieczenie od nieszczęsnych wypadków. Odejmując robotnikowi część troski o byt właśnie wtedy, gdy w zarobkowości jest zagrożonym, przypuszczano, że go się odwróci od utopistów. Instytucye te jeszcze są za świeże, żeby o ich doniosłości pod względem zwalczania socyalizmu, orzec można coś stanowczego. Są to niewątpliwie instytucye dobroczynne, ale że obmyślane zostały przy zielonym stole, już dziś wykazują dużo słabych stron. Biurokracya z góry niemi zawładnęła i odejmuję mi ciepło filantropijne, a między robotnikami wyrabia się nowy proceder, wyzyskiwania ewentualności w prawie nieprzewidzianych.

Na ukoronowanie dzieła antysocyalistycznego i z woli samejże korony, „narodowi przywróconą być ma religia,“ bo słusznie postęp socyalizmu upatrują w postępie zdziczałości obyczajów i bezbożności. Nie widać jednak, żeby do tego przywrócenia religii zabierano się systematycznie i gruntownie. Dużo znaczy przywrócenie swobodniejszego duszpasterstwa, przez zakończenie walki kościelnéj z pozostałością tysiącznych wątpliwości. Wolnomyślni się obawiają, że jeżeli rząd wejdzie szczerzéj na drogę ustępstw kościelnych, gotów przystać na zniesienie szkół symultannych tj. bezwyznaniowych, które uważają sobie za główną zdobycz rzeczonéj walki, podczas gdy centrum w przywróceniu szkół podzielonych wedle wyznań, jak dawniéj bywało, upatruje jedyną rękojmię przywrócenia takiego wy-

chowania ludowego, o którém powiedzieć by można, że ludowi przywróci religią. Tymczasem na to jeszcze dziś wcale się nie zanosi.

Jakież wobec powyżéj wymienionéj akcyi antysocyalistycznéj rządu, zajmują stanowisko sami socyaliści i ich reprezentanci w parlamencie?

Otóż przedewszystkiem nie wierzą w szczerość zamiarów rządu. Socialista v. Volmar powiedział to wręcz z trybuny, że rząd nie ma ani dobréj woli ani siły po temu, żeby stosunki społeczne uregulować ku zadowolnieniu robotników. Wszystko co dotąd zrobił ma być blichtrem i półśrodkowym lepem, na który się robotnicy schwytać nie pozwolą. Prawdziwe jego zamiary jak szydło z miecha wychodzą z prawa przeciwko socyalistom w r. 1878 ukutego, którego istotą jest gwałtowna represya. Prawo to przyznaje radzie związkowéj moc ustanawiania t. zw. małego stanu oblężenia w miejscowościach, rzekomo zagrożonych przez agitacyą socyalistyczną. Prawo to upoważnia policyę do zakazu zborów socyalistycznych i wydalenia natychmiastowego agitatorów lub podejrzanych o agitacye. Prawo to należy do rzędu ulubionych teraz przez rząd praw wyjątkowych, a ustanawia się tylko na kilka lat, zaczém się odnawia wedle potrzeby. Zacięte przytém wiodą się spory. Przy ostatniém mianowicie odnowieniu prawa (1884) znów się na ostre spotykały wszystkie przeciwieństwa. Socyalista Bebel wywodził, że rząd spodziewał się przez surowe prawo wyjątkowe zgnieść „krzykliwą“ agitacyą socyalistyczną i załagodzić wszelkie różnice, zakłócające spokój społeczny między chlebodawcami a robotnikami. Tymczasem wykonywanie prawa tego zaostrzyło tylko rozgoryczenie, a organizacyi socyalistycznéj nie przerwało, raczéj ją pogłębiło. U socyalistów wzrosła nienawiść, ale téż i ofiarność się podwoiła, bo prześladowania ludzi wiążą. Jesteśmy czém byliśmy a pozostaniemy czém jesteśmy. Tak zakończył Bebel, reprezentujący najskrajniejszy odłam stronnictwa przewrotu. On to wydał dzieło pod tytułem: Stanowisko kobiety, w którém wywodzi, że cały dotychczasowy rozwój ludzkości w państwie, małżeństwie, religii, w stosunku chlebodawcy do pracownika, jest jednym wielkim obłędem a zarazem wielką zbrodnią. Stosunki naszego waryackiego zapatrywania na świat, są tak bezdennie zaprzepaszczone, że żadna reforma odmienić i poprawić ich nie może; jedynie z przewrotu ogólnego wyniknąć może świat nowy, ratujący ludzkość od zagłady. A w nowém państwie przyszłości pana Bebla, niema ani własności, ani urzędu, niema małżeństwa, ani rodziny, niema boga ani ojczyzny,

Wobec objawienia takich zasad przez jednego z głównych matadorów stronnictwa socyalistów w parlamencie, nie trudno było przekonać wszelkie więcéj zachowawcze żywioły o potrzebie ściślejszego nadzoru nad działalnością socyalistów. Nawet część wolnomyślnych, których kanclerz zwykł przedstawiać jako żywioł niebezpieczniejszy niż socyaliści i nihiliści, głosowała za prawem wyjątkowém przeciwko socyalistom, a Windthorst oświadczył się oczywiście przeciwko zasadom Bebla, ale zarazem zręczne dał cięcie wszelkiemu anty-religijnemu kierunkowi nauk. „Oczywiście — rzekł—że zwalczać należy nauki takiéj książki, ale równém prawem zasługuje na zwalczanie wiele innych książek, np. dzieła profesorów, którzy głoszą gołosłowny materyalizm, przeczą prawdom chrześciańtwa, zbawienia i życia wiecznego.“ Windthorst i jego stronnictwo wypowiada przy każdéj sposobności twierdzenie, że socyalizm jest produktem nowożytnego ateizmu.

Prawo przeciwko socyalistom jest groźnym środkiem w ręku rządu sprężystego, jakim jest pruski. Nie przerwało ono ruchu socyalistycznego, ale go wielce utrudniło, odejmując mu możność publicznego działania na massy, które się dawniéj odbywało „z cynizmem“ pod osłoną prawa o zebraniach i stowarzyszeniach. Już sam fakt, że po wydaniu prawa socyaliści w znacznie zwiększonéj liczbie weszli do parlamentu, poświadcza, że siła ich, mimo prawa, zamiast upadać, rośnie; a że tajne roboty nie ustają, poświadcza ów w r. 1883 zamierzony piekielny zamach na Niederwaldzie.

Niederwald jest to lesiste wzgórze, położone nad Renem między dolinami, w których się rodzą dwa najprzedniejsze wina reńskie: Rüdesheimer i Stasmannshaeuser. Punkt ten, położony wyniośle i z widokami przepysznemi, upatrzono na postawienie pomnika dla „Germanii na czatach nad Renem“ (*die Wacht am Rhein*). Odsłonięcie pomnika tego, mającego być groźbą dla odwetowéj Francyi, a zarazem apoteozą czynów z r. 1870 i 71. połączyć zamierzano z wielką uroczystością narodową, w któréj uczestniczyć miał cesarz i następca tronu z wielkimi orszakami dostojników państwa i rzeszy. Otóż socyaliści postanowili użyć téj sposobności i takiego zgromadzenia, żeby rozpocząć swoje dzieło radykalnego przewrotu. Wszystko razem, pomnik, cesarza z synem, ministrów i cały orszak chcieli dynamitem wysadzić w powietrze. I zaiste udało im się podłożyć minę, a że zamach się nie udał, zawdzięczają interesowani tylko téj okoliczności, że lont zapalny zamokł, czyli jak inna wersya niesie, że jeden z wtajemniczonych zdradził piekielne przedsięwzięcie.

Wobec takich objawów nie może mieć znaczenia zaręczanie socyalistycznego posła Hasenclevera i Guttenbergera, że ich, t. j.

parlamentarne stronnictwo nie ma żadnéj styczności z anarchistami i że tylko na prawnéj i pokojowéj drodze pragnie ono przeprowadzić reformę społeczną.

Jak dotąd, socyaliści parlamentarni nie postawili jeszcze organicznego wniosku, obejmującego całość ich żądań i zapatrywań, mimo że ich kanclerz do tego powoływał. Wniosek taki trudno téż postawić ludziom, którzy sami sobie nie umieją zdać sprawy z tego, czego chcą. Chcą przewrotu, ale jak i co zbudować na ruinach, jest dla nich samych zagadką. To téż jak na dziś, występują przeważnie jako opozycyjni harcownicy z poszczególnemi zaczepkami i żądaniami.

Główny nacisk kładą na żądanie zmniejszenia siły zbrojnéj. Niewiadomo czy instynktowo, czy świadomie kładą taki nacisk na ten punkt, albowiem bądź-co-bądź, wielka i zorganizowana siła zbrojna jest główną opoką „porządku“, o którą się rozbijać muszą zamiary przewrotu. Świeżo się to uwidoczniło w rozruchach belgijskich. Technika wojenna dziś jest tak sztuczną i tak fachowo-wyłączną, że ladajaka choćby największa masa nie może jéj sprostać. Sto tysięcy iglicówek lub t. p. broni, oddanych w ręce najzapaleńszéj tłuszczy, jeszcze niczego nie dokażą, jeśli takowa rozporządzać nie będzie sztucznie wyrobioną a odpowiednią do broni amunicyą. Choćby prochu i kul było podostatkiem, jeszcze ani jedna strzelba nie wystrzeli i żaden laik, jak bywało ongi, naboju stosownego nie sfabrykuje. Dla tego téż po dzisiejsze czasy żadna rewolucya nie może mieć osobliwszych szans, jeżli nie będzie przedewszystkiém rewolucyą wojskową, ogarniającą zarazem całą administracyą wojenną. Pesymiści wprawdzie twierdzą, że socyalizm się szerzy w „ludowéj“ armii niemieckiéj. Czegoś niby nakształt tego i rząd się już obawiał, a rząd pruski z obowiązku jest niesłychanym pesymistą. Odbyła się tedy, jakoby przed rokiem, o jednym czasie w całéj armii monstrualna rewizya, szukano śladów agitacyi socyalistycznéj po wszystkich koszarach i t. p., ale czy i o ile podejrzenia się sprawdziły, o tém publiczność naturalnie niczego się nie dowiedziała. Samo się przez się rozumie, że żądanie socyalistów, odnoszące się do zmniejszenia siły zbrojnéj, tak ze względu na bezpieczeństwo wewnętrzne, jak i na stosunki zagraniczne, nie mogło i nie może mieć najmniejszego powodzenia.

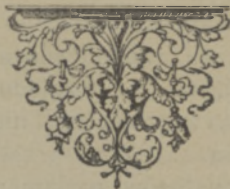
Zresztą żądania socyalistów parlamentarnych, o ile się głośno odzywają, odnoszą się zwykle tylko do stosunków robotniczych. Żądają oni naznaczenia normalnego dnia roboczego na 10 godzin pracy, odnośnie 8 w sobotę. Żądają zakazu roboty niedzielnéj, pozostawiając izbom roboczym ustanawianie wyjątków. Żądają

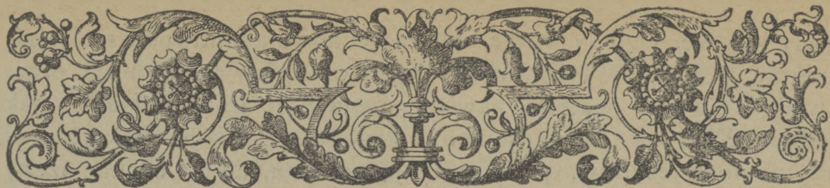
zakazu roboty fabrycznéj dla dzieci niżéj 14 lat, zaprowadzenia jednolitéj ordynacyi robotniczéj dla fabryk.

Takim żądaniom mniéj lub więcéj nie można odmówić tytułu słuszności. Jest i w tém pewna konsekwencya, jeśli żądają, aby stosunki te uregulowane zostały przez porozumienie międzynarodowe, ale właśnie w tém sęk, że interesa międzynarodowe są nazbyt konkurencyjne, żeby o takiém uregulowaniu nawet marzyć można. Dane są zbyt nierówne, a, jak wiadomo, w polityce międzynarodowéj nie robi się ustępstw bez przymusu lub kompensaty. Otóż to, mówią socyaliści, jest niezdrowie, choroba świata, któréj wyleczyć nie można—bez przewrotu. Nie obliczają się z tém, że kosmopolityzm na długie czasy jeszcze pozostać musi mrzonką wobec potęg niekosmopolitycznych.

Niechaj nam wolno będzie pominąć całą resztę drobiu stronnictw parlamentarnych, jaka się objawia na arenie parlamentarnego życia niemieckiego. Owych Duńczyków, Alzatczyków, partyi ludowéj, demokratów i t. p. Są to drobne odłamy i odcienie, mogące w danym razie nabyć znaczenia, ale w bieżących sprawach go nie mają. Wobec przewagi rządu i kierującego jego władzą bohatera, nie mają stanowczego znaczenia owe wielkie stronnictwa, które zcharakteryzować usiłowaliśmy, cóż dopiero inne drobiazgi. Życie konstytucyjne w Niemczech, nie można powiedzieć, żeby było zupełnie blichtrem, ale po części przedstawia dopiero formy, w które istota może z czasem się wleje, ryczałtem czy kroplami, to zależy od historycznego rozwoju, narodom przeznaczonego. W Niemczech rozwój ten jak był, tak zapewne i będzie bardzo powolnym.

Dr. W. Ł.





MIŁOŚĆ W OPAŁACH.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW KROACYI.

IV. **W Wiedniu.**

Rozmowa pomiędzy hrabiną Zofią a hrabiną Anną Katarzyną, luboć w sobie nic oficyalnego nie miała, luboć nosiła na sobie charakter prostéj pomiędzy dwiema bratowemi gawędki wieczornéj, potrąciła jednak o Wiedeń—o Wiedeń oficyalny—o ów Wiedeń, co posiadał tajemnice swoje szczególne i swoje ognisko.

Wiedeń oficyalny ogniskował w sobie w momencie owym syn niewesołéj pamięci Ferdynanda III, Leopold I.

W Leopoldzie I, gdyby go kto przypadkiem spotkał i nie wiedział, że głowę jego zdobi koron kilka, nikt by się nie domyślił—monarchy. Postawa jego nie miała w sobie monarszego nic: ani powagi, ani okazałości, ani tego nawet wdzięku pospolitego, jakiego natura śmiertelnikom rzadko kiedy odmawia. Natura, zdaje się, wysiliła się na wydanie człowieka, w którym każdy z rysów oblicza przedstawiał się w karykaturze, całość zaś stanowiła naigrawanie się z twierdzenia, że człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo boskie. Nie wiadomo przeto na czyj obraz i na czyje podobieństwo stworzonym był Leopold I. Uważać go chyba należy za unikat w rodzaju swoim; na tronie zaś stał się unikatem w momencie, w którym z jednéj strony sąsiadował z takim, jak Ludwik XIV—„królem słońcem“, z drugiéj z takim, jak Jan Sobieski, człowiekiem pięknym i wspaniałym. W nieodznaczającym się wdziękami rodzie Habsburgów nawet, on odznaczał się brzydotą niezrównaną. Twarz pokoszlawioną i powyginaną charakteryzowała szczególnie charakterystyczna rodu oznaka—warga dolna, która u tego potomka Karola V, przybrała rozmiary ogromne i obwisała tak, że mu zakrywała większą

brody połowę. Ogólny wyraz oblicza cechowała senliwość, senliwość pozorna, w duszy bowiem monarchy tego kipiały namiętności, przejawiające się pod postacią zawiści i nienawiści. I on miał siebie, jak Ludwik XIV, za „króla słońce“ i słoneczność swoję praktykował przy pomocy jezuitów, podpowiadających mu, co ma czynić, ażeby się blask onéj nie przyćmił.

Zrzeczenie się dostojeństw przez Mikołaja Zrińskiego zastanowiło cesarza, biegłego w astrologii, alchemii, muzyce i teologii.

— Co to znaczy?..

Radził się gwiazd—gwiazdy mu nie udzieliły odpowiedzi żadnéj; szukał w tyglach rozwiązania zagadki—tygle zagadki nie rozwiązały; kazał sobie grać i przy dźwiękach muzyki dumał, dumał tak długo póki mu na myśl nie przyszło wyspowiadać się u ojca Müllera. Wyspowiadał się, mszy wysłuchał, ciało i krew pańską przykładnie spożył i wezwał ojca Müllera do gabinetu, zaopatrzonego w klęcznik, krucyfiks, stołki, dywany, kobierce na podłodze, firanki w oknach, obrazy poświęcane na ścianach i stoły z przyborami do pisania. Ojciec Müller, człek siwy i suchy, wszedł z głową schyloną i dłoniami na piersiach złożonemi. Wszedł, kroków kilka od progu postąpił i w postawie pokornéj stanął.

— Zbliż się, ojcze wielebny...—odezwał się cesarz.

Spowiednik jeszcze kroków kilka uczynił i bardziéj jeszcze się nachylił.

— Powiadasz więc...—zaczął Leopold I.

— Powiadam, najjaśniejszy panie, że władza daną ci jest od Pana dla utwierdzania i pomnażania chwały pańskiéj...

— A zatém...

— Kto władzę twoję zapoznaje, gwałci wolę Pana...

— Zrini przeto...

— Zapoznał władzę twoję, zrzekając się nadanego mu przez ciebie stanowiska... Dopuścił się nie dającego się usprawiedliwić zuchwalstwa...

— Gdybyśmy o celu, w jakim to uczynił, wiedzieli...

— Nie może być czystym zamiar z zuchwalstwem względem nadanéj ci od Boga władzy połączony...

Po chwili milczenia dodał:

— Święta teologia uczy, że się grzeszy myślą, mową i uczynkiem... Uczynek zdradza mowę, mowa myśl... Jakże zbrodniczą musi być myśl, która się wyraziła uczynkiem zuchwalstwa!..

— Zbrodnicza myśl...—rzekł cesarz sam do siebie.

Nastała chwila milczenia. Leopoldowi warga dolna ruszała się jakby co w ustach przeżuwał. Po chwili odezwał się:

— Zuchwalstwo, nieposłuszeństwo, bunt płyną ze źródła jednego... tak?..—zapytał.

— Tak, najjaśniejszy panie...

— Zrini więc winien buntu w intencyi?..

— Winien, najjaśniejszy panie...

— Jest tą owcą parszywą, którą z trzody wyrzucić, tym członkiem jadem zarażonym, który wedle pisma odciąć należy?..

— Jest owcą parszywą, jest członkiem zarażonym, najjaśniejszy panie...

— Grzeszy?...

— Pychą... Włada nim szatan ten sam, w którego władaniu znajdował się Jerzy Zrini, wróg kościoła i Boga...

Cesarz głowę schylił, oczy przymrużył i w zamyślenie się pogrążył. Ojciec Müller przez ten czas, zawsze w postawie pokory głębokiéj, mówił:

— Graf Mikołaj, spadkobierca Jerzego, odziedziczył po nim majątki i wraz z niemi środki nieczyste... Nie obraca środków tych na chwałę bożą... Czynią go one możnym i wpływowym, a tém szkodliwszym, że się osłania pozorami, zawracającémi umysły gminu... Przyświeca złudną marą patryotyzmu, podkopującego wyrok boży, który dla ziemi wyznacza jednego pasterza i jedną owczarnię. Zriniady każde niemal słowo jest złém ziarném, które chwasty wyda... Występując przeciwko sługom twoim wiernym, występuje przeciwko tobie, najjaśniejszy panie, dzierżącemu władzę od Boga... Pamflet na hrabiego Montekukulego jest dziełem wyszłém z podszeptu szatana...

Cesarz słuchał. W chwili téj oczy podniósł, na ojca Müllera spojrzał i rzekł:

— Kodeksy...

— Kodeksy, najjaśniejszy panie, pisane przez ludzi, zajmują się jeno stroną zewnętrzną, nie wchodząc w istotę duchową zbrodni, nie są więc wystarczające w razach pewnych... Święta inkwizycya kodeksów się nie radziła; że zaś do niéj uciekać się obecnie, dzięki przewadze złego, nie wypada, więc pomazańcom bożym należy posługiwać się wszelakiemi sposobami, jakie Bóg, władzę im dając, w ręku ich złożył...

— Owcę parszywą wyrzucić... członek jadem zarażony odciąć...—bąknął cesarz, na ojca Müllera patrząc.

Ojciec jezuita oczy zamknął i głowę pochylił.

— Sądzić i ukarać...—rzekł Leopold I.

— Szatan jest zręczny i przebiegły...—odparł ojciec Müller. Sądy służą dla niego do naigrawania się z władzy przez Boga posta-

nowionéj, zwłaszcza—dodał—sądy świeckie... Sąd, rzecz po ludzku jeno biorąc, na hrabi Zrinim winy nie znajdzie... Bóg zbrodniarzy takich piorunem karze, a jeżeli ramie swoje powstrzymuje, to dla tego, ażeby zastąpiło je ramie, któremu On władzy swojéj udzielić raczył...

— Czyż się my—zapytał cesarz—omylić nie możemy?

— Możesz, najjaśniejszy panie, ale jako człowiek, nie zaś, jako pomazaniec boży... Gdy poddanego twego życia pozbawiasz, odsyłasz go od trybunału swego do trybunału sędziego najwyższego, który winowajcę uniewinnić może, ale nie może cię pociągać do odpowiedzialności za to, żeś się omylił.. Władza twoja ziemska z Boga idzie i tu, na ziemi, gdy zwłaszcza ściga zamachy i intencye przeciwko kościołowi świętemu, gdy chwasty wyrywa i ziarna złe niszczy, nieomylną jest... Omyłki twoje tu—dodał z giestem oratorskim, prostując się—Bóg sprostuje tam...

Rzekłszy to, znów się pokornie pochylił.

Cesarz, pomilczawszy i pomyślawszy przez chwilę, dał ręką ojcu Müllerowi znak, że się oddalić może i dodał:

— Niech do nas przyjdzie baron Hocher...

Baron Hocher pełnił funkcyą najwyższego kanclerza nadwornego, należał do składu rady przybocznéj cesarza i posiadał zaufanie jego.

Rada przyboczna radziła, nie nad tém atoli co, ale nad tém jak zrobić. Odwoływał się do niéj cesarz tak w sprawach porządkowych, jakotéż w politycznych, w tych ostatnich jednak zasięgał pierwéj zdania spowiednika swego, który nie był doradcą jedynym, ale raczéj inspiratorem poufnym. Co on radził, to znajdowało poparcie ze strony kilku innych jeszcze osobistości, noszących habity zakonne, a mianowicie: jezuity Menegatti, kapucyna Sinelli, franciszkanina Spinola. Przez nich natchniony, radcom świeckim zadanie dawał i rozwiązywać je nakazywał. W materyach jednak natury delikatnéj do rady się nie odwoływał zgoła: wzywał do siebie którego z dostojników wysokich i objawiał mu wolę swoję. We względzie tym dwór wiedeński trzymał się ściśle wzorów Filipa II i był ogniskiem tajemnic stanu, których depozytaryusze, głębocy a ostrożni, całe usiłowanie swoje wkładali w to, ażeby zadość uczynić woli monarszéj, którą często nawet odgadywać musieli. Zauszników, w pospolitém wyrazu tego znaczenia, przy Leopoldzie I nie było. Otaczali osobę jego mężowie stanu; ci piastowali tajemnice stanu, odnoszące się do nich bądź zbiorowo, bądź też osobiście. Jedne znali wszyscy, co do składu rady wchodzili; inne znane były wyłącznie dostojnikowi, którego cesarz na depozytaryusza i na wykonawcę wybrał.

Wybór tym razem padł na barona Hochera.

Ojciec Müller, otrzymawszy rozkaz wezwania barona, począł się, nie zmieniając pozycyi współzgiętéj, w jakiéj był wszedł, z komnaty cesarskiéj wycofywać. Cofał się tyłem tak długo, póki się nie przesunął przez ciężką, drzwi osłaniającą portierę. Za portierą dopiero wyprostował się, drzwi sobie otworzył i, przeszedłszy pomiędzy dwoma gwardzistami cesarskimi, którzy niby dwa posągi przy drzwiach na warcie stali, poszedł daléj, postękując z cicha i krzyż dłonią sobie naciskając, jak czynić zwykł człowiek doznający bólu w okolicach kości pacierzowéj. Przechodził mimo posterunków, czuwających w pobliżu gabinetu cesarskiego, mimo ludzi, co w oznakach funkcyi, jakie pełnili, w gotowości na pierwsze monarchy zawołanie stali. Ci mu się kłaniali i w rękę go całowali, a on nad głowami ich krzyżyki palcem w powietrzu kreślił. Z szambelanów jeden do niego przemówił:

— Na krzyże, ojcze wielebny, cierpisz...

— Starość. Lata, które na grzbiecie dźwigam, na krzyżu mi ciążą... Cierpiéć przestanę, gdy się do trumny położę...

— Dajże, Boże—zawołał dworak—żeby to nastąpiło jak najpóźniéj!..

— Nastąpi to, kiedy mnie Bóg do siebie z ziemi powoła...

— Bóg nie zechce chyba powoływać prędko kapłana, który jak ty, ojcze wielebny, z takim pożytkiem na ziemi mu służysz...

— Wola Jego... wola Jego...—odpowiedział jezuita i oddalił się od szambelana, odprowadzającego go okiem, w wyrazie którego nie świeciło tylko co wypowiedziane życzenie.

Po odejściu spowiednika Leopold I z siedzenia się podniósł, do klęcznika podszedł, na kolana się osunął, przeżegnał się i, dłonie złożywszy, w modlitwie utonął. Modlił się myślą, podnosząc od czasu do czasu oczy na zawieszony nad klęcznikiem wizerunek rozpiętego na krzyżu Chrystusa, a w oczach jego świecił wyraz pokory i skruchy głębokiéj. W kruszeniu się tém mocarza przed tym, co cierniową koronę nosił i męczeństwem dla ludzkości drogę nową otworzył, było coś poruszającego. Zachodził tu kontrast, który się odbijał jeszcze i na obliczu cesarza. Oblicze to skrucha wykrzywiała i łamała, nadając onemu wyraz politowanie wzbudzający. Brzydota zmieniała się w potworność, która się przedstawiała, jakby piętno, wyciśnięte celem podania istoty ludzkiéj na urągowisko, jakby krzywda przez naturę w swawoli człowiekowi wyrządzona.

Cesarz modlił się — wstał i, na dywanie usiadłszy, jął pod nosem szeptać modlitwę, czy téż mówić sam do siebie. Był to wówczas człowiek młody, nie liczący więcéj, jak lat dwadzieścia cztery.

Niestety, młodość nie kwitła na jego twarzy, nie grała w jego duszy. Zwarzyła ją przedwcześnie ta krzywda, jaką mu natura wyrządziła. Minowała go zazdrość. Zazdrościł bliźnim świeżości, kształtów, krasy, któréj nie posiadał, a zazdrościł tém mocniéj i tém bardziéj, że bliźni owi byli to poddani jego — poddani, którzy nie tylko podobniejsi aniżeli on do ludzi byli, ale odważali się inaczéj, aniżeli on, pan ich i władca im pozwala, myśléć. „Giąć karki harde!“ — wydawało się mu, że na tém jego zadanie monarsze polega.

— „Giąć karki harde!“—szeptał mu głos wewnętrzny, a głosowi temu wtórowali jednogłośnie ci wszyscy, pod których kierownictwo sumienie swoje oddał.

Cesarz niedługo na nadejście kanclerza czekał. Szambelan służbowy przez wpół uchyloną portierę zameldował i baron w pończochach i trzewikach, w odzieży kolan sięgającéj i z przodu szamerowaniem wąskiem przyozdobionéj, we fryzurze, któréj pukle na ramiona i plecy mu spadały, z kapeluszem pod pachą wszedł i od progu wpółzgięty naprzód się ku cesarzowi posuwał. Doszedłszy na odległość, dopuszczającą wymiany wyrazów, zatrzymał się, lecz się nie prostował. W postawie jego w obec cesarza a w postawie ojca Müllera różnica zachodziła ta jeno, że ojciec ręce na piersiach złożone trzymał, on zaś je wzdłuż ciała wyciągnął. Na piersiach bieliły się mu sute fontazie haftowane od krawatu, na rękach mankiety; na nogach kamieniami drogiemi połyskiwały klamry złote. Zatrzymał się i na przemówienie cesarza czekał.

Leopold I namyślał się. Wreszcie zapytanie rzucił:

— Jakie z Kroacyi wiadomości?

— Wojska waszéj cesarskiéj mości poobsadzały grody i przyczyniają się do utrzymywania porządku i spokoju, wedle twego, najjaśniejszy panie, najmiłościwszego rozkazania...

— Dowodzi tam?..

— Graf Herberstein...

— Usposobienie narodu?..

— Nienajlepsze, najjaśniejszy panie...

— Z powodu?.

— Podania się bana do dymisyi...

— Czy zaszły nowe wypadki jakie?..

— Zgromadzania się po miastach plemiczów, którzy hałasy czynią...

— O co? — zapytał cesarz.

— Zawsze, jakiem miał już zaszczyt donieść poprzednio waszéj cesarskiéj mości, o pokój vasvasarski, z którym łączą dymisyą bana...

— Nakazaliśmy tłómaczyć, że dymisyi téj ban winien...

— Nakaz ten depeszą cyfrowaną rozesłany został wszystkim komendantom w Kroacyi i na Pomorzu...

— I cóż?

— Wedle raportów sądząc, nie widać, ażeby on wywierał skutek pożądany...

— Czemu?..

— Dla tego, jak przypuszczać należy, że jest zanadto świeży i nie miał jeszcze czasu do umysłów przeniknąć....

— Dla tego, — odrzekł cesarz — że wpływ Zrinich wpływowi rozkazu naszego na przeszkodzie stoi...

Poprawiony w sposób ten kanclerz, głowę na znak uznania pochylił.

— Jakże się oni zachowują?..

— Milcząco, najjaśniejszy panie... Raporta we względzie tym nie podają skazówki pozytywnéj żadnéj..

— Nie urządzają zjazdów?.. nie podróżują?..

— Graf Piotr na wesele księcia Frangopana do Wenecyi z grafinią jeździł, bawił na zamku trsackim, bawił następnie na zamku ozalijskim, do Czakowca wkońcu pojechał i obecnie tam przebywa...

— A graf Mikołaj?

— Z Czakowca się nie ruszał...

— Dogląda go tam?..

— Graf Mikołaj Erdödi.

— Erdödi głowa ciasna, a przytém pomiędzy nim a Zrinimi stosunki są natężone..

— Jest z nim grafinia...

— A...—odezwał się cesarz z akcentem uznania. Więc i jakże?

— Graf Mikołaj w bibliotece swojéj pracuje...

— Pamflet nowy przeciwko tobie może, baronie, pisze — odrzekł cesarz z przekąsu akcentem.

— Najjaśniejszy panie, silny przywiązaniem bezgranicznėm do tronu i do świętéj osoby waszéj cesarskiéj mości, ze spokojem zniosę ciosy, jakie by na mnie spadły...

— O tém nie wątpimy zgoła, ale téż nie życzymy sobie, ażeby na wierne sługi nasze ciosy spadały...

— Łaskawość i miłościwość waszéj cesarskiéj mości tak są wielkie, że słów na podziękowanie mi brak...

— Nie słychać, czy czego Zriniowie nie zamierzają? — zapytał cesarz, podziękowanie kanclerza mimo uszów puszczając.

— Nie słychać, najjaśniejszy panie... przynajmniéj: nie zamierzają nic ważnego...

— A nieważnego?

— Graf Mikołaj rozesłał zaprosiny na uczty i biesiady do zamku czakowackiego...

— Hm? — mruknął cesarz — uczty i biesiady...

— Nie obejdzie się bez łowów zapewne — dodał ban.

— Bez łowów się nie obejdzie... uhm...—i po chwili, jakby sam do siebie mówił, bąknął: — Graf Mikołaj Zrini ukrywa zamiary występne....

Wyrzekłszy słowa te, na barona z wyrazem zapytania w oczach spojrzał.

— Najjaśniejszy panie — odrzekł baron.

— Stanowiska wysokiego i władzy nie rzuca się dla niczego....

Zamilkł i po chwili dalej ciągnął:

— Dostojny przodek nasz, Karol V, tronu się zrzekł dla ciszy klasztornéj, modlitwy i przygotowania się na drogę wieczności... Graf pójść mógł za tym przykładem świetnym i wzniosłym, że zaś nie poszedł, ale przeciwnie, oddaje się pracy podejrzanéj i uciechom świeckim, że względem nas zuchwalstwo okazał, niewątpliwie przeto, jeżeli już nie knowa, to się z knowaniem przeciwko nam w głębi myśli swoich nosi...

— Niewątpliwie — potwierdził kanclerz, odpowiadając na wejrzenie, jakie na niego cesarz zwrócił.

— Więc... złe, jakie by stąd wyniknąć mogło, uprzedzić należy, usuwając tego, co być musi sprawcą onego... Rozumiesz, baronie?...

— Rozumiem, najjaśniejszy panie — odrzekł kanclerz głosem, w głębi którego słyszeć się dawało lekkie drżenie.

— To dobrze... Nie wiesz—zapytał po chwili—kto z magnatów przybędzie w gościnę na zamek do Czakowca?..

Kanclerz, w celu zapewne usposobienia cesarza dla hrabiego Mikołaja łaskawie, wymieniać począł osobistości, na których nie ciążyło podejrzenie żadne; wymieniał następnie jawnych i wyraźnych tronu stronników. Cesarza jednak to niezadowolniało. Dopytywał się o innych tak, że przyciśnięty wkońcu do muru niejako baron, wymienił:

— Arcybiskup Lippay...

Cesarz brwi ściągnął.

— Książe Rakoczy.

— O... — cesarz na to.

— Hrabia Wesseleni...

Cesarz się nie odezwał.

— Hrabia Nadašdy...

— Ten prędzéj późniéj wpadnie w otchłań...

— Tökeli...

— Tökeli jest na miejscu swojém „na radzie, gdzie się schadzają grzesznicy“...

— Hrabia Piotr Zrini...

— To brat..

— Książe Franciszek Frangopano.

— Kto więcéj?..

— Gdy dodam jeszcze barona Tottenbacha, to już będą najjaśniejszy panie wszyscy, o których raporty zawiadomiły... Jeżeli nazwisko jakie z pamięci mi wypadło, wasza cesarska mość wybaczyć mi wspaniałomyślnie raczy....

— Bylebyś sprawił, ażeby z pamięci rychło wypadło nazwisko grafa Mikołaja Zriniego...

— Wola waszéj cesarskiéj mości spełnioną zostanie...

Nastało milczenie dłuższe nieco, które przerwał cesarz:

— Odejść możesz, baronie... Oby Najwyższy czuwał nad tobą...

Kanclerz się do ziemi pochylił, uginając kolano prawe, cofać się tyłem począł i nie wyprostował się, aż portyera zasłoniła przed oczami jego widok osoby cesarskiéj. Drzwi sobie otworzył, przeszedł pomiędzy dwoma stojącemi na warcie żołnierzami i mijał posterunki służby dworskiéj. Idąc kulał zlekka, krzywił się i za krzyż się trzymał. Na spotkanie jego wychodzili rozmaitego rodzaju urzędnicy, którzy mu niskie składali pokłony. Daléj nieco wysypali się paziowie, młode chłopcy; z pomiędzy nich jeden wujem go zwał. Ten ostatni zadał mu zapytanie:

— Chory jesteś, wuju?

— Nigdy zdrowszy nie byłem...

— Czemużeś się skrzywił i za krzyż się trzymasz?

— Krzyż mnie trochę boli.

— Starość... lata... co?..

— Nie, mój kochany... Lata mnie tak bardzo nie przygniatają jeszcze, ale...

Nie dokończył. Zresztą tłómaczyć nie potrzebował racyi bólu w krzyżach paziom, którzy do służby wprawiani, doznawali bolesnych wyprowadzania kości pacierzowéj z położenia normalnego następstw. Gimnastyka jednak tego rodzaju wynagradza się sowicie.

Cesarz po odejściu kanclerza znów się do klęcznika udał i znów się do Boga modlitwą zwrócił.

W czasie, kiedy się ten następca cezarów rzymskich modlił, w dali odezwały się tony muzyki, które do komnaty wpływały łagodne i rzewne i dźwięczały w sposób taki, jakby je echa niosły. Cesarz na klęczkach oczy podniósł i wsłuchał się. Tony płynęły— melodya do duszy wprost się wlewająca uderzała o słuch falami

akordów, które zmieniały się, przemijały i znów wracały, z siłą raz słabnącą i konającą niby, znów wzmagającą się w potęgę rozkoszy eterycznéj. Oblicze monarchy wypogodniało; rysy onego rozjaśnił półuśmiech, który je uszlachetnił i wyrazem łagodności upięknił. Widać było, że człowiek ten brzydki odczuwał w sercu każde drgnięcie tonów i duszą się na nich kładł — i na falach ich się kołysał — i z niemi w dal płynął. Klęczał, o pulpit się ręką oparł i słuchał — słuchał. Słuchał wówczas jeszcze, kiedy muzyka ucichła. Tony w nim, w całém jestestwie jego grały.

Leopold I-szy był szczególnym muzyki miłośnikiem.

Powszechném jest zdanie, że muzyka łagodzi. Nie sprawdzało się to na nim. Łagodniał dla muzyki jednak tylko—dla niéj topniał; pod wpływem jéj atoli nie przekreślił wyroku śmierci ani jednego. Tkliwym był dla siebie; czuł rozkosz własną; ale nie odczuwał cierpień tych bliźnich, co poddanymi jego byli.

V. Księżna Julia.

W Czakowcu spodziewany gości zjazd liczny sprawił ruch niezwykły. Do zamku, jakby mu oblężenie zagrażało, zwożono siana, obroki i prowizye. Fury obładowane wjeżdżały, opróżnione odjeżdżały. Napełniano zsypy i zasieki, spichrze i piwnice, reparowano piece, przyrządzano kuchnie. Służba się szykowała. Z zamków, które do Zrińskich należały, przybywali hajducy i pajucy i dla dodawania blasku wystąpieniom—huzary. Dobosze, trębacze i piszczalnicy sprawiali wrzawę, wprawiając się w wygrywanie na dzień dobry i na dobranoc. Sprowadzona aż z za Presburga banda cygańska próbowała instrumentów i przećwiczała się w sztukach do tańców. Sprowadzeni aż z Wenecyi harfiarze i pieśniarze sposobili się do zbierania aplauzów i dukatów. Słowem, zamek rozbrzmiewał przygotowaniami rodzaju wszelakiego, odbywającemi się pod dozorem marszałka dworu, przy udziale służby licznéj a za rozkazem grafa Mikołaja, który chciał, ażeby usunięcie się jego od spraw publicznych zaznaczyło się honeste.

— Niech będzie w bród wszystkiego — zalecał.

Zalecenie to nie było może myśli ukrytéj, w zakres polityczny wkraczającéj pozbawione. Wedle przysłowia polskiego, „czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą.“ W gronie ludzi, mających do zamku napłynąć, spodziewani byli i goście z za Karpat — goście tacy właśnie, co wieści roznoszą i za wieściami chodzą. Szlachta z Węgier północnych pozostawała w stosunkach ze szlachtą polską; na

dworach panów węgierskich i polskich, mających siebie za upoważnionych do prowadzenia na rękę własną polityki potentatów, przebywali rezydenci świeccy lub duchowni, którzy sprawowali funkcyą posłów zwyczajnych i nadzwyczajnych, stałych i czasowych. Posłowie tego rodzaju nie opuszczali dworów panów znaczniejszych po téj i po tamtéj stronie Karpat, i jeżeli następstw nie sprowadzali innych, to wieści nosili. Zaniesienie przeto o dostatkach i hojności Zrińskich do Polski wieści, odpowiadało może widokom grafa Mikołaja.

Z gości najpierwszymi, co do zamku zawitali, byli: młodzi księstwo, czyli markizostwo Franciszkostwo Frangopano. Tytuł markizów Frangopanom nadawały posiadłości włoskie. Podróż wypadła im pomyślnie, luboć nie bez znużenia, które szczególnie uczuć się dało młodéj księżnie, przywykłéj do przenoszenia się z miejsca na miejsce w lektyce lub gondoli. Góry przejeżdżać musiała konno. Bawiło ją to i nużyło, mimo że jéj na wygodach podróżnych nie zbywało. Landara, w któréj przyjechała, była komnatą przenośną— mieszkało się w niéj niby w chałupie, na noclegach zaś, gdy takowe wypadały w miejscowościach, pozbawionych przygotowanego dla wędrowców pomieszczenia, rozpinano namiot, pod którym młoda pani spędzała noc rozkosznie. Dłuższe w Ozalii i Zagrzebiu przestanki niemało się do zachowania w czerstwości sił przyczyniły. Mimo to wszystko księżna, gdy z pojazdu u wnijścia do zamku w Czakowcu wysiadła, przedstawiala postacią swoją powój, który przebył szturm burzy, co go biła i targała deszczem i wichrami.

A powój sobą przypominała ona. Słuszna, wiotka, wydawała się rośliną delikatną, przebraną za niewiastę i przybraną w uroki niezwykłe. Wyglądała jakby zmięta — co jéj wdzięków nie ujmowało zgoła, przeciwnie: uwagę na niéj tém mocniéj zatrzymywało. Krewnym, powinowatym i domownikom, co na spotkanie jéj wybiegli, przedstawiła się z włosem w lekkim nieładzie, splecionym w warkocz, który się z pod siatki jedwabnéj wydostał i przez ramie grubym czarnym splotem na pierś spływał. Uderzało to od pierwszego oka rzutu. Buntowniczy ów warkocz był niejako przewodnikiem, czy ukazicielem tak postaci całéj, jakotéż onéj części składowych, których analiza poszczegółowa odbywała się w umyśle widza z szybkością błyskawiczną i wytrwarzała zachwyt. Analiza bo ta wykazała: oczy czarne palące, czoło jasne, rysy oblicza jakby skreślone dłonią powietrzną i omalowane pęzlem z promienia, kształty postaci jakby wytoczone z pianki stwardniałéj. Młoda księżna była zachwycająco piękna. Hrabiów Mikołaja i Piotra, hrabiny Zofię i Annę-Katarzynę, hrabiankę, hrabiów młodych widok jéj w osłupienie nie-

mal chwilowe wprawił. Każdy i każda doznali w odniesieniu do niéj spółczucia, które jest ofiarności rodzicem i do składania hołdów podnieca. Małżonka Franciszka Frangopano jawiła się im, jako przedstawicielka tego „piękna odwiecznego“, dla którego ludzie walki dziejowe staczali i krew hojnie leli. Wrażenie, jakie ona wywarła, tém było silniejsze, że postać jéj stanęła wobec wychowańców muz: hrabia Mikołaj i hrabia Piotr, jakotéż książe małżonek jéj, byli to — poeci. Poeci i rycerze. Wiek paladynów przeminął już wprawdzie; nie przemijał jednak urok wdzięków niewieścich, oddziaływających szczególnie na poetów.

Osłupienie krótko trwało. Wyszedł z niego najpierwszy gospodarz domu. Hrabia Mikołaj złożył księżnéj pokłon i przemówił do niéj temi słowy:

— Witaj w progach domu mego, markizo dostojna... Szczęśliwym się czuję, oglądając oblicze twoje...

Słowa te głosiły prawdę szczerą. Księżna odpowiedziała na nie uśmiechem czarującym, i hrabiemu w oczy patrząc, głosem, w głębi którego śpiewność włoska brzmiała, odrzekła:

— Witaj, hrabio... Ziszcza się wreszcie gorące pragnienie moje oglądania człowieka, którego sława świat napełnia... Dumą mnie to napełnia, że człowiek taki jest powinowatym moim:

Hrabia się w milczeniu skłonił i ustąpił miejsca innym, co się do niéj z powitaniami garnęli. Z kolei przystąpił hrabia Piotr, po nim hrabiowie młodsi, wreszcie hrabiny i hrabianka. Hrabia Piotr przedstawiał jéj tych i te, których ona nie znała. Witała wszystkich uprzejmie i łaskawie i przy powitaniu hrabianki, dłoń jéj w dłoniach swoich zatrzymała dłużéj nieco i z wyrazem zadowolenia w oczach, w oczy jéj patrzała.

— Brataneczka moja taką jest, jakąm ją wyobrażała sobie — odezwała się. Postacią swoją ujmy nie czyni ani ojcu, ani matce... Życzę ci męża tak pięknego, jak piękną sama jesteś...

Hrabianka na podziękowanie wujence w ramie ją pocałowała; obecni uśmiechali się i po wyrazów parę rzucali; z obecnych jeden tylko sposępniał, ale nikt na posępność jego nie zważał, był to bowiem ów żołnierz młody, co na szczycie baszty o wili opowiadał. Wciśnięty w tłum domowników stał, przypatrywał się i słuchał. I życzenie usłyszawszy, sposępniał.

Powitania odbywały się na ganku zamkowym, zakończyły się i po zakończeniu goście i gospodarstwo do wnętrza zamku weszli. Ponieważ przybycie księstwa oznajmił kuryer, na przyjęcie ich przeto wszystko się znajdowało w pogotowiu. Po podróży należał się im przedewszystkiém posiłek. Gospodarstwo wprowadzili ich do

komnaty oddzielnéj, w któréj na kominie gorzał ogień suty a po środku stał stół nakryty. Powitania powtórzyły się w gronie rodzinném z przypuszczeniem do onego tylko—z osób obcych—księdza Marka, dla pobłogosławienia jadła, które dla podróżnych przysposobiono. Przedewszystkiém wystąpiła na stół polewka winna korzeniami i jajami zaprawna, wniesiona w wazie srebrnéj, z któréj hrabina Zofia czerpała ją i wlewała do kubków wyzłacanych. Księżna pokosztowala jeno. Książe do dna wypił. Nastąpił gulasz. Gdy z naczynia, w ktorém danie to wniesiono, zdjęto nakrywę, rozeszła się w powietrzu woń apetyt budząca. Apetyt jednak pięknéj pani trzymany był na uwięzi. Znów tylko pokosztowała.

— Dostojna powinowata łaską nas swoją nie zaszczya...—odezwała się gospodyni domu z akcentem żalu w głosie.,. Nie smakuje jéj jadło nasze.

— Żona moja—odrzekł markiz żartobliwie—żywi się wonią i rosą kwiatów...

— Nie zawadziłoby pożywienie bardziéj nieco substancyonalne...—wtrącił hrabia Mikołaj.

— O, ja jadła nie odpycham!..—odparła markiza—w chwili téj jednak... pociągu nie czuję...

Kosztowała atoli. Że zaś dań zmieniło się dużo, więc, gdy każdego skosztowała, posiliła się dostatecznie. Na rachunek posiłku poszły rzeczy takie, jak skrzydełko kurczęcia w paprykaszu, połowa piersi bażanta pieczonego, ułamek pasztetu ze zwierzyny i parę jeszcze specyałów kuchni węgierskiéj. Nie tknęła jeno wieprzowiny z kapustą, ale to jéj krzywdy nie sprawiło, tém bardziéj, że wypiła tokaju wytrawnego kieliszek spory i spożyła wetów trochę. Przy jedzeniu toczyła się o podróży rozmowa. Markiz opowiadał w sposób humorystyczny o wypadkach, jakie się zdarzyły i w skutek opowiadania jego zapanowała wesołość, która się rozwinęła bardziéj jeszcze przy kominie, gdy towarzystwo obsiadło w półkole ognisko, palące się płomieniem szerokim i wonnym. Franciszkowi pomagał w płodzeniu dowcipów krewny jego bliski, Orfeusz Frangopano, który markizostwu towarzyszył i osobą swoją przedstawiał typ kawalera włoskiego. Czas upływał miło. Panie do łez się śmiały i wesołość ogólna byłaby zapewne do końca dotrwała, gdyby usposobienia tego nie zamąciło powiedzenie jedno. Ktoś wspomniał o gościach spodziewanych.

— Szkoda, że się ich nie doczekamy...—odezwał się markiz.

— A to?..—zapytał ze zdziwieniem hrabia Mikołaj

— Wypoczniemy u was dni parę i pojedziemy do Wiednia...

— Skąd-że ci się wzięło to postanowienie nagłe?..

— Z powietrza się nie zwiało...

— Wezwanie?..

— Formalne... Nadeszło na wyjezdném tak, że czasu nie było zawiadomić i uprzedzić was o tém... Jego cesarska mość za złe mi bierze, żem mu wnet po zawarciu ślubów małżeńskich homagium nie złożył... Z tém, jak wiecie, śpieszyć się trzeba...

— Różnica parutygodniowa stanowi nie wiele...—odezwała się hrabina Mikołajowa.

— Dla nas, ale nie dla sfer wysokich, w obec których ze zwłoki tłómaczyć się potrzeba...

— Tłómaczenie takie proste...—odrzekła hrabina.

— Jakie?..—zapytał markiz.

— Odpowiesz: U powinowatego w gościnie bawiłem...

— Mnie zaś po odpowiedzi téj zadadzą pytanie: „I dla gościny zaniedbałeś dopełnienia względem cesarza i króla powinności?..“ Na punkcie tym w Wiedniu panuje drażliwość ogromna...

Hrabia Mikołaj brwi zmarszczył i dodał:

— Drażliwość przez ojców Müllerów uprawiana...

— Właśnie téż... Ba, gdyby nie to!.. Pozostajemy pod dozorem ścisłym a podejrzliwym...

— I brzydkim...—wtrącił Orfeusz Frangopano.

— Nie odzywaj się z tém głośno...—ostrzegł go hrabia Piotr półżartem.

— Jesteśmy tu przecie sami swoi...—odparł kawaler Orfeusz. Chyba że tu ściany mają uszy...

— Uszy ścian zamku czakowackiego, jeżeli co słyszą, to wiadomości wszelkie dla siebie zachowują... Nieme są... Ale jest ktoś, co posiada słuch bystry, z Wiednia do kończyn krajów monarchii sięgający i obdarzon jest ustami, które szepcą...

— Obdarzon jest oraz ramionami, które ciosy z tyłu zadają...—dorzucił markiz.

Markiza głos zabrała:

— To co o Wiedniu słyszę jest w stanie odważniejszą aniżeli ja istotę przerazić...

— Przesada...—podchwyciła hrabina Piotrowa—wszystko to, bratowo droga, przesada... Nie przerażaj się... Na dworze panuje etykieta surowa, mimo to jednak cesarz łaskawym być umie... Zresztą czyżby niełaskawym być mógł, gdy mu się taka, jak was dwoje, para przedstawi?..

Wszyscy prawdę słów ostatnich jednogłośnie uznali.

— Hołd piękności składają jezuici nawet...—odezwał się hrabia Mikołaj.

W dalszym rozmowy ciągu pokazało się, że wezwanie do Wiednia markiza Frangopana pod pozorem, jakoby cesarz domagał się od małżeństwa młodego homagium, ma na celu powierzenie mu czynności politycznéj w Wenecyi. Był to domysł wprawdzie, lecz domysł opierający się na danych, tyczących się stosunków państwowych. Sprawami politycznemi w rzeczypospolitéj weneckiéj zawiadowały rody, z któremi księżna blisko spokrewnioną lub spowinowaconą była. Pokrewieństwa węzły potęgowała piękność, któréj dyplomaci wytrawni nie wypuszczają z rachunków. Młodego cesarza otaczali najwytrawniejsi, jak sobie jeno wyobrazić można, działacze dyplomatyczni—działacze, których specyalność polegała na głębokiéj serc ludzkich i słabości takowych znajomości. Serca ludzkie i piękność niewieścia: cóż to za materyał pyszny do budowania gmachów politycznych!

Materyał ten, zanim przypuszczalne onego zużytkowanie nastąpić mogło w Wiedniu, zużytkowanym został na miejscu—w Czakowcu.

Nad tém, że księstwo Franciszkostwo nie mogą w zamku na zjazd gości czekać i zjazdowi obecnością swoją blasku dodać, ubolewali wszyscy z wyjątkiem hrabiny Piotrowéj. Hrabina milczała. Na obliczu jéj czytać się dawało zamyślenie, w które się pogrążała od czasu do czasu i które uwagę jéj odrywało od rozmowy ogólnéj, toczącéj się przy kominie. Rozmowa znów ton humorystyczny przybrała. Kawaler Orfeusz dowcipami strzelał. Śmiano się. Ona jedna w śmiechu udziału nie brała, głowę spuściła i z pod oka to na bratowę, to znów na córkę spoglądała.

Posiedzenie przy kominie zajęło wieczór cały i byłoby się zapewne przeciągnęło w noc, gdyby hrabina Mikołajowa nie przypomniała sobie, że, jako gospodyni domu, troszczyć się powinna nie tylko o nakarmienie gości, ale także o dostarczenie im po trudach podróżnych spoczynku. Przypomniała sobie o tém w porę—około godziny dziewiątéj i, korzystając z chwilowéj w gawędce przerwy, wystąpiła z oznajmieniem.

— Dobrze nam tu, ale dostojnéj księżnéj lepiéj będzie w pościeli... Podróżnym spoczynek się należy...

Oznajmienie to znalazło poparcie najprzód hrabiego Mikołaja, następnie wszystkich. Sprzeciwiała się onemu tylko księżna Julia.

— Znużoną się nadzwyczajnie nie czuję...—rzekła. Gdybym jednak jaknajmocniéj znużoną była, totakmi tu dobrze i wesoło, iżbym o potrzebie spoczynku zapomniała...

— Mnie atoli o niéj zapominać nie wolno...—odparła hrabina Zofia,

W chwilę późniéj pojawiła się służba ze świecznikami i gospodarstwo rozprowadzać poczęło gości po przeznaczonych dla nich komnatach gościnnych. Z mężczyznami odeszli mężczyzni; księżnéj towarzyszyły panie: hrabiny obie i hrabianka. Doprowadziły ją do komnaty zaopatrzonéj we wszystko, co do wygód należy. Szerokie łoże osłaniała pościel cieniuchna, odbijająca białością śnieżystą od karmazynowych kotar, przyozdobionych frenzlami i kutasami złocistemi. Barwa kołdry harmonizowała z barwą osłon zewnętrznych. Materace i poduszki napełniały puchy erdredońskie, sprężyste a delikatne. Podłogę okrywał kobierzec miękki.

— Czy nie brak tu czego?..—zapytała hrabina Zofia i, obejrzawszy komnatę i łoże, znów zapytała:—Czy ci na czém zbywać nie będzie, księżno dostojna?..

— Na niczém... na niczém...—zapewniała zapytana.

— Wybaczysz mi, gdybyś braku jakiego doznała?..

— Hrabino droga!..—odrzekła księżna.

— Wybacz i... dobranoc ci...

Nastąpiły uściski. Ostatnia księżnéj dobranoc oddała hrabina Anna Katarzyna, która na odchodném zamówiła się do niéj na najpierwszy dzieńdobry.

— Spodziewam się—słowa jéj—że cię w łóżku jeszcze zastanę...

— Wstajecie tu rano?..—zagabnęła księżna.

— Na cóż to pytanie!..—odparła hrabina Zofia.

— Chciałabym się do zwyczajów domu zastosować...

— Stosować się będziemy do zwyczajów twoich, gościu drogi... Śpij, jak długo powieki sen ci sklejać będzie, gdy się zaś obudzisz, spoczywaj... wynadgrodź sobie trudy, któryches doznała i przysposób się do trudów, jakie na ciebie czekają...

— O obudzeniu się swojém jutro daj mi przez kameryerę znać.. dodała hrabina Piotrowa.

Księżna pozostała z kameryerą i wnet siebie rozbierać kazała. Zgrabna włoszka ręką wprawną rozpinała i zdejmowała z niéj różne części odzieży, ogalacała ją z obsłon zewnętrznych i odsłaniała jéj kształty, których pod takowemi domyślać się jeno można było. Dzięki czynności téj, piękna pani stanęła na chwilkę, jako posąg grecki. Chwila ta krótko trwała. Posągowe jéj kształty znikły pod draperyą bielizny nocnéj, w któréj księżna usiadła przed zwierciadłem i przy blasku świec jarzących przypatrywała się odbiciu postaci własnéj. Kameryera przez ten czas włosy jéj na noc układała—czesała, splatała, zwijała i czekała na zagajenie téj rozmowy, jaka się zazwyczaj przy okazyi podobnéj toczy. Rozmowa zawiązać się musiała i zawiązała się

— Więc i jakże, Franczesko?..—zapytała księżna od niechenia.

— Nic nowego, ani osobliwego...—odpowiedziała kameryera.

— Widziałaś dwór niewieści hrabiny?..

— Widziałam, jasna pani...

— I cóż?..

— Piękności pospolite, przypominające te, co na placu św. Marka kwiaty i owoce sprzedają...

— A hrabianka?..

— Piękna, nie piękniejsza jednak od ciebie...

— Niewiasty piękniejsze znajdą się w Wiedniu..

— Nie przypuszczam...

— Na pewne... Tylem o wiedenkach słyszała!..

— Niemki, słowianki, węgierki: nie sposób, ażeby pomiędzy niémi znaleść się mogła piękność od najjpiękniejszéj z włoszek piękniejsza...

— A jeżeli się znajdzie...—odezwała się księżna z akcentem, który zlekka odbrzmiewał troską.

— Byłby to chyba cud... Gdyby jednak cud podobny zdarzył się, toćby świat o nim wiedział...

Pochlebstwo to przyjęła księżna, jak rzecz słusznie jéj należną. Kameryera jéj włosy ułożyła i księżna, uzupełniwszy toaletę nocną, usunęła się przed obrazem Matki bożéj na kolana. Modlitwa nie zabrała czasu dużo. Po modlitwie w komnacie zapanowała cisza,—w jednym z kątów gorzała lampka nocna a za kotarami z pośrodka puchów i bielizny haftowanéj wyglądała głowa niewieścia, która śród tych puchów i bielizny tworzyła obrazek zachwycający. Obrazek ów, snem znieruchomiony i przez nikogo nieoglądany, pozostawał do rana. Promienie słoneczne wywarły na niego wpływ drażniący. Powieki się rozwarły, ramię się nad głowę podniosło, usta ziewnięcie wydały, dzwonek odezwał się dźwiękiem srebrzystym i przy łożu stanęła Franczeska.

Księżna się w obecności kameryery wyciągnęła.

— Ach!..—przeciągle wydarło się z jéj piersi, z któréj się osunęły osłony.

— Jasnéj pani spało się?..—zapytała Franczeska.

— Dosyć dobrze...

— Śniło się?..

— A... O sny mnie nie pytaj... O! sny moje...

— Założyłabym się, że za tło służył im dwór cesarski...

— Może...—odrzekła księżna z uśmiechem.

— Hrabina Piotrowa—zaczęła kameryera—poleciła mi, ażebym jéj znać dała, jak skoro się jasna pani obudzi...

— Ano!.. byłabym o tém zapomniała... Przyprzątnij że tu nieco i poproś hrabinę...

Przyprzątnięcie tyczyło się szczególnie osoby pięknéj pani. Franczeska włosy jéj i okrycie ułożyła w sposób taki, ażeby piękność jéj uwydatniała się tém dokładniéj, do łóżka krzesła przysunęła, odeszła i po odejściu jéj niebawem do komnaty wkroczyła hrabina.

— Dzień dobry ci, bratowo droga...

— Dzień dobry, hrabino kochana...

— Zażyłaś spoczynku pod dachem naszym?..

— Zupełnego a rozkosznego...—odrzekła księżna.

— Uzupełniajże go, mnie zaś pozwól przy sobie usiąść i widokiem twoim oczy karmiąc, pomówić z tobą o rzeczach, co mi na sercu leżą..

— Proszę ciebie... proszę.. —odezwała się księżna wpół się z pościeli wychylając i giestem na krzesło wskazując.

— Uprzedzam cię że nie będą to rzeczy zabawne, że zatém nie... zainteresują ciebie...

— Jakżeby to, co ci na sercu leży interesować mnie nie miało!..

— Sprawy... kłopoty pospolite...—rzekła hrabina.

— Żeby jak najpospolitsze!..

— Tyczące się rodziny naszéj...

— Czyż ja do rodziny nie należę?..

— To też to jedno ośmiela mnie do mówienia z tobą, bratowo dostojna..

— Mów... mów... słucham...—zachęcała księżna:

— Zacznę od oświadczenia ci—zaczęła hrabina—że mnie wiadomość o rychłym twoim do Wiednia odjeździe uradowała... Wszystkich ona zasmuciła.. Zasmuciłabym się była i ja, gdyby nie to, że widok twój natchnął mi myśl powierzenia ci dwóch, losy hrabiego, moje i dzieci naszych obchodzących, spraw...

— Bylebym się jeno przydać mogła...—odparła księżna z giestem, oznaczającym gotowość słuchania.

— Dla mnie to wątpliwości nie podlega... Stworzoną jesteś do rozkazywania i nie znajdzie się chyba w Wiedniu nikt, ktoby życzeniom twoim zadość uczynić nie usiłował...

— O cóż chodzi?..—zapytała młoda kobieta.

— Chodzi o naprawienie popełnionego przez hrabiego Mikołaja błędu...

Hrabina wyłożyła rzecz ze szczegółami i zakończyła wykład propozycyą formalną kołatania w Wiedniu o godność bana dla hrabiego Piotra.

— Czyż ja tego dokażę?..—zawołała księżna.

— Nikt łatwiéj, jak ty, bratowo droga... Sprawa ta oprze się o ciebie sama, bądź więc jeno przygotowana na popieranie jéj życzeniem swojém...

— Ależ—odparła—popierać ją będę jak najgorliwiéj...

— Druga zaś sprawa—zaczęła hrabina—nasunąć ci się może przypadkowo... Tyczy się ona związku małżeńskiego pomiędzy naszą Heleną a młodym Rakoczim...

— A?..—odezwała się księżna.

— Zamiarowi temu, tajemnicą jeszcze osłoniętemu, dwór, Rakoczim niechętny i do Zrinich zniechęcony, z pewnością opierać się będzie... Sprawę tę powierzam ci, bratowo dostojna, w takim tylko razie, gdyby tajemnica na jaw wyszła... Inaczéj... nie dotykaj jéj...

— O jakżebym rada spełnić należycie polecenia twoje, hrabino!..—zawołała księżna.

— Zechciéj jeno...

— O! zechcę, chcę, pragnę: hrabiego banem zamianować, Helenę za mąż wydać... Gdy dwóch tych rzeczy dokażę, pocznę mieć o sobie wyobrażenie wysokie...

Wychyliła się z łóżka półciałem. Hrabina się podniosła. Dwie panie spoił na chwilę uścisk serdeczny.

VI. **Przysposabianie gruntu.**

Księstwo, czyli markizostwo Frangopano na pozajutrz po przybyciu swoim Czakowac opuścić mieli. Zabawili więc dzień jeden cały. W dniu tym hrabia Mikołaj, który uległ czarowi, jaki wywierała księżna na wszystkich, wysilał się na wynajdowanie dla niéj rozrywek. Przed południem wystąpiła załoga zamkowa, pieszacy i jazda, i odbywała ćwiczenia na wygonie w odzieży nowéj, w uzbrojeniu od słońca połyskującém. Widowisko powiodło się świetnie. Huzary, którzy zachodzili w masie i rozsypką, wywiązali się z zadania ku zadowolnieniu powszechnemu. Pandury nie mniéj na pochwałę zasłużyli. Hrabia przedstawiał księżnéj starszyznę, z któréj każdego pochwalił; gdy zaś kolej na jednego z oficerów młodych nadeszła, nazwał go:

— Stefan Jowanowicz...—i dodał:—O nim niech waszéj książęcéj mości Piotr rozpowie, ten bowiem pod jego służył rozkazami...

Hrabia Piotr podchwycił:

— O nim byłoby do rozpowiadania nie mało, dość jednak będzie, gdy następujące przytoczę zdarzenie... Służył razem z ojcem swoim, walecznym Wukiem Jowanowiczem, który sztandar nosił...

W boju Wukowi turcy sztandar wraz z życiem wydarli, Stefan im go odebrał i po odebraniu dopiero ojcu oddał posługę ostatnią...

— Dzielny... dzielny wojak...—rzekła księżna i wszyscy za nią słowa te chórem powtórzyli.

Hrabianka przypatrywała się oficerowi młodemu, przypominając sobie, że on jéj o wili na szczycie baszty prawił. Nie wypadało jéj pochwały powtórzyć—milczała, wejrzeniem atoli podkreślała wyrazy, które jéj stryjowie i wujowie, stryjenki i wujenki powtarzały.

— Dzielny wojak...—w duchu sobie mówiła i dodała:—dla tego może, że głos wili słyszał...

Do obiadu w sali rycerskiéj podanego zasiadło grono liczne, złożone nie z domowników wyłącznie, oprócz bowiem gości z Trsatu znajdowało się osób kilka z sąsiedztwa, między innemi hrabiostwo Erdödi. Hrabina dzieliła z księżną miejsce pierwsze. Dwie te damy zajmowały siedzenia naczelne; obok jednéj siedziała hrabina Anna Katarzyna, obok drugiéj hrabina Zofia, daléj mężczyzni wedle starszeństwa po jednéj i niewiasty po drugiéj stołu stronie. Hrabianka się ku szaremu końcowi usunęła tak, że siedzenie jéj naprzeciwko młodego oficera wypadło. Pozdrowiła go uśmiechem uprzejmym i przez czas obiadu spoglądała na niego często. Byłaby go może zaczepiła i rozmowę z nim zawiązała, ale rozmawianie możliwém jeno było z siedzącemi obok sąsiadkami z powodu muzyki, która z galeryi przygrywała. Dla tego i przy końcu stołu poczestnym zabawiano się nie tyle rozmową, co jadłem. Księżna zamieniła z hrabiną Erdödi kilka zaledwie frazesów ogólnikowych, do których treści dostarczyła pogoda; hrabina zaś Anna Katarzyna uprzejmość szczególną okazywała hrabiemu Erdödi, co, jak się zdaje, hrabinę małżonkę jego drażniło nieco. Rozdrażnienie zdradzały spojrzenia niby sztylety, wysuwane z uśmiechów, jak z pochwy i ciskane z ukosa w stronę, w któréj hrabina Anna Katarzyna toczyła głuszoną przez muzykę z kapetanem Warazdynu rozmowę.

Muzyka ucichła, gdy nadeszła pora na wnoszenie toastów.

Toasty rozpoczął gospodarz domu i wniósł dwa jeden po drugim: pierwszy „*pro rege nostro*!“, drugi za zdrowie księżny Franciszkowéj Frangopano. Za pierwszym obecni wstali, jednogłośnie *vivat*! krzyknęli, na podwórzu trzykrotnie moździerz huknął, muzyka przygrawką się odezwała i—na tém koniec. Przemowa hrabiego była krótka i uroczysta—ta sama, którą zwykle przy okazyach podobnych wygłaszał. Wyuczył się i powtarzał. Gdy jednak przyszła koléj na drugą, wymowa jego przystroiła się w kwiaty retoryki, strzeliła porównaniami i metaforami, przywołała na pomoc mitologią i Iliadę, odwołała się do świadectwa historyi i zaznaczyła się tém, że dostoj-

ny mówca mylił się: zamiast „księżna Julia“ mówił „Aspazya“ i zamiast „Aspazya“—„księżna Julia.“ Z omyłek tych tłómaczył się. Miał, jak powiadał, głowę nabitą Peryklesem i temi przysługami, jakie mu oddawała niewiasta, która, acz nie z Aten rodem, była natchnieniem męża, co Aten wielkość i sławę podniósł. W sposób ten i w księcia ugodził, przyrównując go pośrednio do Peryklesa. Mowa ta sprawiła wrażenie wielkie. Słuchacze i słuchaczki przerywali ją kilkakrotnie i, kiedy do spełnienia kielicha przyszło, sprawili wrzawę zagłuszającą muzykę i moździerze. Gdy wrzawa ucichła, wnet jeden z gości, niejaki Franciszek Bukowacki, człek dużéj dłoni, odważnego serca, niespokojnego umysłu, ale wielkiego do rodu Zrińskich przywiązania, z miejsca się głosem doniosłym odezwał:

— Zaprawdę!... w czasach tych Peryklesa nam potrzeba...

W ciągu mowy hrabia Mikołaj wyraził żal z powodu, że księstwo obecnością swoją nie uświetnią zjazdu gości spodziewanych. Z racyi téj hrabia Erdödi zapytał hrabiny Anny Katarzyny:

— Odjeżdżają więc nieodwołalnie?..

— Odjeżdżają...—odpowiedziała.

— Rychło?..

— Jutro...

— O?.. Rzeczy się osobliwie zbiegły, i ja bowiem odjeżdżam jutro...

— Dokąd?..—zapytała hrabina.

— W tęż samę drogę... do Wiednia...

— Nie słyszeliśmy o zamiarze twoim, hrabio...

— Ja sam o nim nie wiedziałem wczora jeszcze..

— Więc cię powołano chyba?..

— Ze względów służbowych...—odrzekł.

— Co za szkoda!..—odparła. Będzie cię nam brakło w gronie gości, gdy ci się zjadą...

— Brak osoby mojéj przykrości nie sprawi...

— Nie powiadaj tego, hrabio...—odrzekła hrabina Anna Katarzyna. Nie powiadaj tego...—powtórzyła z naciskiem. Niechęci do ciebie nie było nigdy i, co się mnie tyczy, jesteś gościem zawsze mile widzianym i... pożądanym...

— Dziękuję wam, najłaskawsza pani...—odpowiedział hrabia.

— Dla tego też—ciągnęła—nieobecność twoja przykrość mi sprawi...

— Nieobecność moja—podchwycił—potrwa, o ile wnioskować mogę, nie długo... Goście nie zjadą się jak za dni kilka...

— Za tydzień...—wtrąciła.

— I zabawią dni kilka...

— Zapewne...

— O... więc powrócę, jak się zdaje, nie przypuszczam bowiem, ażeby pobyt mój w Wiedniu przeciągnąć się miał nad dni parę...

— Braterstwo moi będą mieli miłego w podróży towarzysza....

— Niestety—odparł. Podróż moja i podróż ich zlać się w jedno nie mogą... Pojadę szybko, a tém szybciéj, że chcąc wezwaniu łaskawemu hrabiego Mikołaja na ucztę dzisiejszą zadość uczynić, zwlókłem wyjazd o dzień jeden... Sztafeta nadeszła wczora i dziś powinienem był w podróży już być... Kazałem na drodze konie rozstawić: jak wiatr popędzę...

Rozmowę tę przerwał toast wniesiony przez markiza. Markiz pił zdrowie gospodarstwa domu i w przemowie, jaką wygłosił, odpowiadał hrabiemu Mikołajowi w imieniu markizy i we własném. Za temat posłużył mu Perykles, stronę ludu trzymający i praw jego broniący. Odwracał przyrównanie do niego od osoby swojéj.

— Cóż ja?—prawił—cóż ja? Co ja dla ludu zrobić mogę?.. Dać mu pieśni kilka, nic więcéj... Ludowi innych aniżeli ja mężów potrzeba, mężów, co epopeje piszą i tworzą, co w osobie jednéj łączą przymioty Homera i Agamemnona, nie potrzebując się odwoływać do rad Nestora... Takich ludowi mężów potrzeba... Korona świętego Szczepana męża takiego posiada... Oto on! — zawołał, na hrabiego Mikołaja z giestem oratorskim palcem wskazując.

Przy ruchu tym wszyscy naraz jeden za stołem powstali. Muzyka zabrzmiała, moździerze huknęły, wiwaty się odezwały — ucieszyła się i hrabina Anna Katarzyna, do hrabiego Erdödiego mowę zwracając, półgłosem zapytała :

— Nie prawda, że hrabia Mikołaj wielki popełnił błąd, baństwa się zrzekając?

— Uhm... tak... zapewne... — odpowiedział. Kto wie atoli... Błędy niekiedy popełniają się umyślnie, w celu dopięcia zamiaru pewnego....

— Jakiż zamiar miéć może człowiek, co się w księgach zagrzebał?...

— Nie wiem... uhm?... Pokaże się to późniéj...

— Na „późniéj“ lata czekać potrzeba, a z latami człowiek w układy wchodzić nie może... Według mnie, hrabia popełnił błąd wielki, a tém większy, że od spraw się usuwając, nie postarał się o to, ażeby stolicę bańską zajął ktoś, coby go zastąpić mógł...

— Któż by go zastąpić mógł?—zapytał hrabia Erdödi.

Oczy hrabiny zamigotały, jak się to zdarzać zwykło ludziom, gdy mają wyrzec słowo, o którém nie pewni są, jak przez słuchaczy przyjętém zostanie.

— Któż-by? — odpowiedziała.

— Zastąpić by go mógł chyba hrabia Piotr...

— Nie wiem — odrzekła i z pośpiechem dodała: — Ktokolwiek jednak, pomyśléć o tém należało...

Po chwilce zapytała:

— Czy myślisz, hrabio, że hrabia Piotr zadaniu by odpowiedział?..

— Czemu nie?.. Czasy teraz nastały takie, że się zadanie bańskie ułatwiło....

— Ale się utrudnić może...

— Może... Z tém wszystkiém jednak... hrabia Piotr... uhm?.. podołałby w razach trudnych nawet... To głowa...

— Hrabia tak myślisz?

— O... tak... To rzecz wątpliwości niepodlegająca..

— Z wielu ust słyszałem zdanie to o mężu moim....

— Taką jest opinia powszechna...

— Któréj atoli nie uwzględnia kamera.

— To zależy, najłaskawsza pani... W Wiedniu decyduje nieraz jedno przez kogoś w porę wymówione słówko...

— O... — zaczęła hrabina, lecz nie dokończyła.

W myśli jéj strzeliło obligowanie Erdödiego o wymawianie na rzecz hrabiego Piotra słówek, powstrzymała się jednak. Serce jéj żywszém w piersi ruszyło tentnem. Obawa ją przejęła. Lękała się pośpiechem zbytnim sprawę popsuć, odłożyła więc rzecz tę na późniéj tém bardziéj, że na razie uważała za wystarczające to, iż pozyskała bratową. Pozyskanie bratowéj pociągało za sobą pozyskanie brata. Sprawa więc, w mniemaniu jéj, znajdowała się na drodze dobréj. Od Erdödiego dowiedziała się, że znajdzie ona poparcie opinii powszechnéj, któréj się kapetan Warazdynu nie sprzeciwia. Wystarczało to na tymczasem i dla tego radą była, że toast przez Bukowackiego na cześć hrabiego Piotra wniesiony rozmowę dalszą przerwał. Toast ów i jéj się tyczył, Bukowacki bowiem pił zdrowie nie tylko jéj męża i jéj, ale także syna ich Jana Antoniego, córki Heleny i córki Aurelii, nie liczącéj wówczas lat więcéj, jak pięć. Gdy o córkach prawił, na Helenie się zatrzymał i wodze fantazyi oratorskiéj popuścił. Materyału miał obficie, a znalazł takowy w przyrównaniu hrabianki do nimfy, nie starożytnéj atoli, ale téj, co mieszka w górach i lasach ojczystych—do wili.

— Dostojna panna jest—mówił—wilą naszą, która znaczy więcéj, aniżeli nimfa jaka starożytna... Tamte się opiekowały źródłami, drzewami, kamieniami, jedne się z satyrami przedrzeźniały, drugie za Dyaną się włóczyły... Nasza czuwa nad krainą całą, pieśnią nas

pociesza, junakom męstwa dodaje... Kiedym pannę najdostojniejszą na koniu widział, wydało się mi, jakbym oglądał Palladę w osobie jéj własnéj... *A terem tiszeń!* — zaklął. Gdyby taka skinęła jeno na mnie, ażebym sam jeden skoczył na tysiąc turków albo szwabów, byłbym, *terem tiszeń!* psem, gdybym nie skoczył... Wnoszę więc i piję — tu puhar do góry podniósł — zdrowie grafa, zdrowie grafki, zdrowie grafiąt wszystkich, a pomiędzy niémi wili naszéj!.. Vivant!..

Gromko i ochoczo na toast ten odpowiedziano, pomimo że w przemówieniu Bukowackiego zabrzmiała nuta obrażająca przekonania hrabiostwa Erdödich. Nuta owa dzwoniła na pohybel szwabom; oni zaś się ze szwabami przyjaźnili. Wiedziano o tém i skłonność tę przypisywano hrabinie. Ona jednak obrazy po sobie nie okazała — przeciwnie, do hrabianki się uśmiechnęła i przyjaźnie ku niéj głową skinęła.

Nastąpiły potém toasty inne i wraz z niemi przyszedł moment, w którym damy już przy stole pozostawać nie mogły. Hrabina Mikołajowa dała hasło, wstając i z hrabiną Erdödi pod ramię wynosząc się do komnaty bawialnéj, z któréj podwoje otwierały się na okolumnadowany, na ogród wyprowadzający balkon. Czyste, świeże jesienne powietrze wpływało przez pootwierane drzwi i okna, wabiąc na przedstawiające się w splątaniu piaskiem i żwirem wysypane ulice i aleje, które to się ukazywały, to znikały po za krzewami i drzewami, trawnikami i kląbami. Po drzewach, krzewach i trawnikach przeszedł podmuch jesieni. Mieniły się one barwami żółtemi i czerwonemi, odbijającemi na tle ciemnéj zieleni, przetykanéj kolorem słomianych roślin uschniętych. Tu i owdzie widzieć się dawały krzaki, wyglądające tak, jakby je natura w korale przystroiła. Słońce znajdowało się w drugiéj drogi swojéj dziennéj połowie i świeciło tym blaskiem łagodnym, co oczu nie olśniewa, szerząc, jako ognisko, ciepło słodkie i ożywcze. Powietrze, ciepłem tém nawskróś przejęte, wywabiło na ogród biesiadnice wszystkie. Ulice i aleje zapełniły się damami. Potworzyły się grupy i pary wedle wieków. Były tam dziewczęta niedolatki—te biegały; panny starsze poważnie się przechadzały; panie ławki pozajmowały i toczyły rozmowy, których treść snuła się około zwyczajów i zdarzeń dworskich, interesujących żywo niewiasty, co takie wysokie zajmowały stanowiska. Dwór francuski ton dawał. Rozchodziły się o nim powieści, które chciwie powtarzano i które przyozdabiano dodatkami, zaostrzającemi ciekawość i potęgującemi zajęcie. Przyczyniła się do tego polityka, żywo interesująca sfery wyższe społeczeństwa. Polityka i zdarzenia dworskie tak się splatały, że nierzadko odróżnić ich nie było można, a obchodziły białogłowy dla tego już samego, że dwa

najważniejsze podówczas w Europie trony, stojące jeden w Paryżu, drugi w Wiedniu, zajmowali dwaj ludzie młodzi, z których jeden zasłynął był już na polu romansowości, drugi zaś stanowił we względzie tym ciekawą i do rozwiązania trudną zagadkę. A wiązały ich pokrewieństwa i powinowactwa. Ludwik XIV był synem austryaczki i austryaczkę miał za małżonkę. Na podstawie tej snuły się bez końca domysły i przypuszczenia.

Młodą księżnę, mającą się na dworze prezentować, zajmowało to żywo. Trzy hrabiny, z któremi w styczność weszła, służyły jéj za źródło informacyi cennych. We względzie tym odznaczała się szczególnie hrabina Erdödi. Gdy panie okrążywszy raz bardzo powolnie trawnik, wystawioną na słońce ławeczkę zajęły, ona głos zabrała i rozpowiadać poczęła. Rozpowiadała z gestem—sprawiało to jéj zadowolnienie wyraźne, przy okazyi téj bowiem wykazywała stosunki, jakie posiadała w sferach najwyższych. Wymieniała co chwila nazwiska arystokratyczne. Księżna słuchała i zapytania od czasu do czasu zadawała. Zapytała wreszcie:

— Czemu się najjaśniejszy pan nie żeni?...

— A .. — odrzekła z miną tajemniczą.

— Pora już... lat dwadzieścia cztery...

— Ślubował ponoś—odezwała się hrabina Zofia.

— Tak powiadają — odparła hrabina Erdödi. Nieboszczyk cesarz przeznaczył go do stanu duchownego i byłby był sukienkę oblókł, gdyby nie śmierć brata, który był już królem czeskim, węgierskim i rzymskim i cesarza nieboszczyka do grobu poprzedził... Ale najjaśniejszy pan ślubów nie dokonywał...

— A gdyby i dokonał — podchwyciła hrabina Anna Katarzyna.

— Nie dokonywał — powtórzyła hrabina Erdödi z akcentem świadomości niewątpliwéj.

— Andrzéj Batory był biskupem i kardynałem... Jan Kazimierz, król polski, paliusz na koronę zmienił i za małżonkę bratową własną pojął... Śluby panujących nie obowiązują.

Hrabina Erdödi uśmiechnęła się z wyrazem politowania.

— Jak których—odrzekła. Nasz najjaśniejszy pan dotrzymałby, gdyby był ślubował... Ale nie...

— Więc by się już oddawna ożenić powinien...

Hrabina Erdödi ramionami ruszyła, wykonywując giest, który tłómaczyć było można rozmaicie. Giest ów oznaczać mógł, że ona o racyi wiedziała i że nie wiedziała.

— Zapewne mu coś przeszkadza — wtrąciła księżna.

— Cóżby przeszkadzać mogło?

— Miłość młodociana...

— Ach! — wykrzyknęła hrabina tonem protestu stanowczego. Miłość?.. gdzie téż!.. To człowiek — poprawiła się — to monarcha nieskazitelny...

— Ale młody...

— Dusza czysta w ciele...

Zająknęła się. Powiedzieć chciała: „w ciele pięknêm"; lecz zmiarkowała snadź, że piękność tę księżna niebawem ogladać będzie. Dodała więc:

— Dusza czysta, piękna... anielska... na rozkosze ziemskie obojętna.

Opowiadała dalej o zamiłowaniu cesarza w muzyce, malarstwie, teologii, astrologii i przestrzeganiu etykiety dworskiéj.

— To dusza nie dla ziemskiego stworzona świata...

— I podawała szczegóły, zaznaczające etykietę, na dworze panującą. Prawiła o audyencyach i recepcyach, o mistrzu ceremonii i przedstawianiu się cesarzowi kobiet. To ostatnie rozbudzało zajęcie szczególne.

— Najjaśniejszy pan—słowa hrabiny Erdödi—nie patrzy się na przedstawiające mu damy..

— Jezus Marya!—wykrzyknęła piękna księżna.

— Nie patrzy się — powtórzyła.

— Jakże to być może?... Przecież i damom daje do ucałowania rękę?..

— Ale się na nie nie patrzy...

— Jakże to być może? — powtórzyła księżna, która zapewne o własném w chwili téj myślała przedstawieniu.

— Ułatwia to ta etykieta, która na dworze wiedeńskim jest taka sama, jak w Madrycie... Dama się zbliża, przyklęka i mieć powinna oczy spuszczone; podnosi się, do wyciągniętéj najjaśniejszego pana ręki podchodzi, pocałunek na niéj składa i patrzy jeno na rękę najjaśniejszą...; pocałunek składa i cofa się...

— A najjaśniejszy pan?..

— Najjaśniejszy pan rękę podawać raczy...

— Cóż on przez ten czas z oczami swojemi robi?..

— Trzymać je raczy spuszczone...

Nie przystawało to do przekonania księżny. Manipulacya podobna wydała się jej rodzajem ciuciubabki, w któréj spuszczanie oczów zastępowało zawiązywanie takowych. Zrozumieć tęgo nie umiała.

— Więc—zaczęła—więc... naprzykład ja przedstawiam się najjaśniejszemu panu...

— Wchodzisz miłościwość wasza z małżonkiem swoim pod dyrekcyą mistrza ceremonii, który melduje, wpuszcza i stawia... wchodzisz i stajesz w oczekiwaniu na najłaskawsze wezwanie...

— Najjaśniejszy pan wzywając, spojrzeć przecie musi...

— Wcale nie musi... Od tego obok niego stoi jeżeli nie kanclerz, to który z wysokich urzędników dworskich... Ten patrzy zamiast wysokości jego cesarza i wzywa, oznajmując, czy do złożenia hołdu zdaleka, czyli téż do dostąpienia łaski najwyższéj ucałowania najdostojniejszéj ręki... O tém zresztą zawiadomienie udziela się z góry, wraz z odpowiedzią na żądanie audyencyi...

— I ja wchodząc... patrzę..

— A księżno!—zawołała. Byłoby to przeciwko etykiecie przekroczenie, któreby nieochybnie pociągnęło za sobą następstwa...

— Jam się przedstawiała doży...

— Co doża, to nie cesarz...

— Przedstawiałam się ojcu świętemu w sukni czerwonéj i zasłonie, ale zasłonę miałam podniesioną i patrzałam na oblicze świątobliwe...

— Etykieta odmienna... Na każdym dworze inaczéj, ale na dworze austryackim oczy spuszczać potrzeba koniecznie...

— A na recepcyach? — zapytała księżna.

— Témbardziéj... Na recepcyach najjaśniejszy pan niekiedy siedzenie zajmować raczy, niekiedy zaszczyca obecnych, śród nich się przechadzając najłaskawiéj... W pierwszym razie uszanowanie nie pozwala na najjaśniejszego pana oczów jak na śmiertelnika zwyczajnego podnosić, w drugim, ceremonia nakazuje schylać się za zbliżeniem najdostojniejszéj jego osoby i nie przybierać postawy stojącéj, aż przejdzie najmiłościwiéj...

— Są to zwyczaje wielce uciążliwe.

— Ale bardzo ważne... Przez nie majestat monarszy wykazuje się we wspaniałości całej... Kiedym miała ten zaszczyt, żem się najjaśniejszemu panu przedstawiała, wyszłam niby ze świątyni i teraz, gdy sobie chwilę tę przypominam, przejmuje mnie drżenie świątobliwe...

— Dawnoż to było?..

— Lat temu dwa — odparła Oh!

— Cesarz był młodziutki taki — zauważyła księżna.

— Ale powagi pełen...

— I nie widziałaś go, hrabino?

— Widziéć widziałam ..

— Mimo spuszczonych oczów?..

— Głowę schylając, podnosiłam powieki, i w sposób ten miałam szczęście przelotnie oglądać oblicze najdostojniejsze... Kiedy sobie o tém wspomnę...—dodała, oczy do góry wznosząc.

Hrabiny Zofia i Anna Katarzyna przedstawiały się cesarzowi także i także przez rózgi ceremoniału przechodziły. Pierwsza przyznała się, że tak się zastraszyła, iż najjaśniejszego pana nie widziała. Druga postąpiła sobie, jak hrabina Erdödi; głowę schylając, powieki podnosiła.

— Oglądalam...—mówiła—o! oglądałam...

— I jakieżeś wrażenie, dostojna krewna, wyniosła?..—zagabnęła księżna.

— Wrażenie...—uhm... ot...—odpowiedziała zapytana, szukając w głowie wyrazów, które by trafnie i przystojnie rzecz odmalowały. Wrażenie... – dodała.

Tłómaczyć się atoli nie mogła, w téj bowiem chwili od strony balkonu ukazał się hrabia Erdödi i, dawszy żonie skinieniem głowy znak, jął się żegnać z gospodynią domu, hrabiną Piotrową i księżną Frangopano.

VII. **Przeczucie**.

Markizowi Frangopano nie koniecznie to było na rękę, że opuszczać musiał Czakowac w wigilią zjazdu przyjaciół eks-bana. Zjazd ów nie miał wprawdzie nosić na sobie charakteru politycznego żadnego; że atoli pomiędzy gośćmi spodziewanemi znajdował się nie jeden mąż stanu, nie jeden człek polityczny. było więc do przewidzenia, że śród uczt i zabaw polityka się na stół wytoczy. Z racyi téj markiz byłby chętnie pozostał. Względy jednak ważne nie pozwalały podróży do Wiednia ani odkładać, ani nawet zwlekać. Wiadomo było powszechnie, że w Wiedniu kwitła podejrzliwość, wydająca smutne dla tych, ku którym się zwracała, owoce. Markizostwo wystawiać się na nią nie mogli z powodu, że wiązały ich stosunki rodzinne z Wenecyą, do której cesarstwo niemieckie nigdy serca nie miało. Pomiędzy państwem jedném a państwem drugiém tkwił oścień: Adrjatyk; wybrzeża onego i tonie stanowiły raz jawną, znów domniemalną kość niezgody, wszyscy przeto, co z Wenecyą w styczności pozostawali, podpadali z góry podejrzeniu. Dla tego też Franciszek Frangopano, jak skoro do wiadomości jego doszła wola cesarska, tycząca się przedstawienia jego wraz z małżonką na dworze, nie miał chwili czasu do stracenia, zwłaszcza zaś na zabawy, a do tego zabawy takie, które ze strony swojéj być musiały w Wiedniu podejrzane. Rad nie rad przeto, w dniu trzecim pobytu opuścił progi gościnne i pociągnął do stolicy.

Część ta podróży, mimo że się odbywała łatwiéj i prędzéj, zabrała jednak czasu dni kilka. Na szczęście pogoda stale sprzyjała; razy parę zachmurzała się, lecz wiatr chmury zganiał i młodéj pani słonko jesienne przyświecało w podążaniu do celu, którego była wielce ciekawa i o którym często, to z mężem, to z krewnym męża, hrabią Orfeuszem, mówiła.

— Ciekawam tego cesarza, na którego się patrzéć nie wolno...

Takim był ogólny rozmów jéj punkt wychodni. Dawał on pretekst do żartów, w których hr. Orfeusz był niewyczerpany, a które polegały głównie na tém, że dowodził, jako cesarz Leopold jest dla płci pięknéj osobistością wielce niebezpieczną,

— Brak mu na wdziękach...—protestowała księżna...

— Wdzięki są rzeczą względną...—tłómaczył. Upodobanie zależy od... od... od ..

— Od czego?..—pytała.

— Bywa dziwacznem... Zachciewa się niekiedy... gwiazdki z nieba...

-- Przecież zachodzi niejaka pomiędzy gwiazdką a człowiekiem różnica...

— Taka sama, jak pomiędzy człowiekiem a cesarzem...

Rozmowy w guście tym toczone znamionowały ciekawość młodéj kobiety, rozbudzoną w stopniu wysokim. Natężenie onéj wzmagało się w miarę, jak się podróżnicy nasi do Wiednia zbliżali. Etap ostatni wypadł im w Wiener Neustadt. Zajechali do gospody wcześnie a to dla tego, ażeby, dawszy ludziom i koniom wypoczynek należyty, nazajutrz do stolicy jednym zdążyć ciągiem.

Wiener Neustadt, czyli *Beczskie Nowe Miasto*, jak gród ów nazywali słowianie, leży u stóp wzgórzy, które tworzą łańcuch i od zachodu w klamrę niejako biorą kotlinę, zawierającą się w kącie, jaki w miejscu tém formuje Dunaj z Litawą. Łańcuch ten, stanowiący jakby podmurowanie dopierających doń odskoków Alp Noryckich i Austryackich, nazywa się Lasem wiedeńskim. Pomiędzy Litawą a Dunajem wymykają się z łona jego rzeczułki, dzięki którym góry łamią się w wąwozy i urwiska, wyglądające w dali perspektywicznéj przepięknie. Wytwarzają się z tego krajobrazy, na które oko z zadowolnieniem się zwraca. Krajobrazy te zafrapowały podróżnych naszych, gdy do Nowego Miasta wjeżdżali, tém bardziéj że i miasteczko same przedstawiało się pod postacią pejzażu, nakreślonego na tle widoków dalszych. Składały się na takowy malowniczo rozrzucone budowle, mianowicie zaś kościoły, klasztor i zamek. Patrząc na ten ostatni, którego siwe mury harmonizowały z tonem jesiennym, księżna odezwała się:

— Prześliczny obraz...

Książę spojrzał i nic nie odpowiedział.

— Cesarz, w malarstwie rozmiłowany, powinienby kazać obraz ten, tak jak się w chwili téj przedstawia, skopiować...—dodała.

— I uzupełnić rusztowaniem...—odparł.

Słowa to na młodą kobietę wywarły wrażenie przykre. Na męża okiem rzuciła i zapytała:

— Czemuż to?..

— Przed zamkiem odbywają się niekiedy egzekucye zbrodniarzy stanu...—odpowiedział.

— O Boże...—westchnęła i, jakby dla uspokojenia siebie, dodała:—Ale... cóż to nas obchodzi?..

— Zbrodniarzem stanu zostać można niechcący...

Księżna zamilkła, zadumała się i wkrótce potém kolasa zatrzymała się przed gospodą, przez jadącego przodem kuryera upatrzoną i na przyjęcie gości dostojnych przygotowaną.

Przed gospodą, gdy z pojazdu wysiadała, wydała okrzyk, co się jéj mimowolnie z piersi wydarł.

— Ach!... o?..

Był to okrzyk zadziwienia, do którego powód dał widok niespodziany jegomościa w odzieży podróżnéj, podchodzącego ku niéj w postawie ugrzecznionéj.

— Witam łaskawość waszą...—były wyrazy, któremi jegomość ów księżną powitał.

Zwrócił się następnie z powitaniem do markiza i do hrabiego Orfeusza.

— Wracasz już, chyba hrabio?..—zapytał markiz.

— Tak rychło?..—dodała księżna.

— Jeździłem gwoli służby...—odrzekł.

— Cóż w Wiedniu słychać?..—zagabnął książe.

— Hm?..—odparł—jak zwykle: i dużo i mało... Kto uszy nastawia, słyszy dużo; kto, jak ja, na ciekawość nie choruje, wiek przeżyć i o niczém nie wiedziéć może...

Gdy on to mówił, księżna do gospody wchodziła i, na progu się zwróciwszy, do spotkanego jegomości przemówiła:

— Liczę, na to, że wyświadczysz nam hrabio ten zaszczyt i podzielisz z nami posiłek podróżny...

— Bardzo łaskawości waszéj dziękuję...—odpowiedział. Posiliłem się już...

— Więc dla towarzystwa z nami...

— Z towarzystwa tak miłego i tak dla mnie zaszczytnego korzystać bym nie omieszkał, gdyby mnie sprawy służbowe nie nagli-

ły... Czekam jeno na konie, które za chwilę gotowe będą, i wnet w dalszą ruszę drogę...

Księżna, hrabia Erdödi (on to był bowiem), markiz i hrabia Orfeusz weszli do izby, w której czekał stół na trzy osoby nakryty. Rozmowa toczyła się daléj.

— Dobrze—zaczęła księżna, do hrabiego się zwracając—że i z chwili téj skorzystamy...

— Pani taka łaskawa...

— Kogożeś hrabia w Wiedniu widział?..—zapytała.

— Uhm...—odpowiedział. Osób kilka zaledwie: hofkanclerza Hochera, księcia Ditrichsteina, księcia Lobkowicza...

— A?.. księcia Lobkowicza...—podchwycił markiz.

Hrabia potwierdził i, do księżny mowę zwracając, dodał:

— Wszyscy w Wiedniu przybycia łaskawości waszéj wyglądają...

— Wszyscy?.. Może to powiedziane za wiele...—odrzekła.

— Nie za wiele, jeżeli śród wyglądających na pierwszém miejscu wymienię najjaśniejszego pana, który wszystkich sam jeden wyraża...

Nie było co do odpowiedzenia na to. Księżna wszelako odpowiedziała:

— Czyż najjaśniejszego pana obchodzi osoba moja?..

— Czyżby nie obchodzić mogła!..

— Słyszałeś to hrabia z ust własnych najmiłościwszego pana?..

— Nie...—odpowiedział. Najjaśniejszemu panu przedstawiać się zaszczytu nie miałem... Słyszałem z ust człowieka, który zna najskrytsze cesarza jegomości myśli...

— Zapytać wolno: kto jest człowiekiem tym?..

— Ojciec Müller... Spotkałem się z nim u jego ekscelencyi hofkanclerza... i rozpytywał mnie, tak o łaskawość waszą, jak o dostojność jego markiza...

— Rozpytywał i o mnie?..—wtrącił ten ostatni. Czy można to za dobry uważać znak?..

— Mówił przychylnie, uprzejmie tak, że możecie się, dostojni państwo, spodziewać na dworze przyjęcia jaknajlepszego...

— Byle jeno to się prędko załatwiło...—rzekł markiz.

Erdödi ramionami ścisnął i odrzekł:

— To pewna, że najjaśniejszy pan wrychle dostojność waszą przed oblicze swoje powoła... Wyrozumiałem to ze słów ojca Müllera...

— Kiedy, hrabio, spodziewasz się w Warasdynie stanąć?..—odezwała się księżna.

— Jutro w nocy...

— Tak prędko?..

— Na wiatrach jadę...—odpowiedział tonem żartu.

— Pilno ci być musi...—zauważyła.

— Nie mnie, ale...—tu się zaciął i wyrazu właściwego w myśli szukał.

Księżna dodała:

— Ten pośpiech jednak nie tyczy się zjazdu w Czakowacu...

— Bynajmniéj...—odrzekł ze skwapliwością taką, z jaką odpowiada człowiek, posądzony o zamiar, do którego się przyznać nie chce.

— Do Czakowaca atoli zajrzysz?..

— Nie wiem... może... Zapewne—dodał po chwilce—z gości już zapewne nie zastanę nikogo...

— O! tego ani przypuszczaj... Gościnność hrabiego Mikołaja rozłoży się na tygodni parę...

— Hm...—chrząknął hrabia.

— Pozdrów odemnie hrabinę Zofię i hrabinę Annę Katarzynę i powiedz téj ostatniéj, że dane przez nią zlecenia tkwią mi ustawicznie w myśli i sercu...

W chwili téj przed gospodę zajechały pojazdy—jeden otwarty, drugi kryty i szczelnie osłonięty. Stojący przy oknie hrabia Orfeusz odezwał się:

— Czy to dla was, mości hrabio, te wozy?..

— Zapytany okiem rzucił i odparł:

— A no.. tak...

— Obydwa?..

— Obydwa...

— Uwozicie z Wiednia coś lub kogoś tajemniczego...

Mimo że słowa te cechował akcent żartu, hrabia Erdödi zmieszał się mocno i, celem zamaskowania zmieszania swego, żegnać się jął. Pożegnał się z księżną, z księciem, czyli markizem, z hrabią Orfeuszem i na wychodném usłyszał z ust tego ostatniego uwagę następującą:

— Miałem was w podejrzeniu, mości hrabio...

— O co?..

— O porwanie piękności jakiéj wiedeńskiéj; ale przez uchyloną firankę u mniemanéj téj piękności dostrzegłem brodę, wąsy i minę byczą..

— Przywidzenie...—odrzekł Erdödi, wychodząc.

Wyszedł i gniewnie woźnicy, co na koźle pojazdu krytego siedział, dał znak; woźnica na konie huknął—pojazd się potoczył; do drugiego hrabia wsiadł—i ten ruszył. Wkrótce obie bryczki z oczów

znikły w tumanach kurzawy, uniesione cwałem koni z miejsca w cwał rzuconych.

— Śpieszno mu...—odezwał się hrabia Orfeusz.

— Był do Wiednia powołany...—rzekł markiz.

— Kogoś do Warasdynu wiezie...

— Jakiegoś zapewne szwaba-kapitana...

— Nie zasłaniałby szwaba jednak...

Markiz ramionami ścisnął i odrzekł:

— Od momentu tego pokoju vasvarskiego dzieją się rzeczy zagadkowe... Erdödi.,. ho ho!..—głową pokręcił.

— Może ci się przywidziało, hrabio...—odezwała się księżna, do stołu, na którym jadło postawiono, siadając.

— Cóż się mi przewidzieć miało?..—zapytał hrabia Orfeusz.

— To, że w pojeździe krytym mężczyzna siedział...

-- Może...—odparł hrabia, miejsce zajmując. Oblicze mezkie wpadło mi w oczy przelotnie z po za firanki skórzanéj, ostrożnie uchylonéj...

— Mężczyzna by się ukrywać nie potrzebował...

— W razie takim, pojazd ów uwiózł tajemnicę i zagadkę...

— Którą rozwiąże hrabina Erdödi...

— Wyobrażam sobie—zaczął hrabia—jak się zacny małżonek będzie miał, jeżeli się pokaże, że kluczem do zagadki jest niewierność małżeńska...

— Przypuszczenie to—księżna na to—czyni rzecz interesującą... Warto by się na pewne dowiedzieć, kogo hrabia Erdödi powiózł...

— Ktoś ze służby widzieć musiał...

Rzekłszy to, hrabia Orfeusz do posługacza się zwrócił i zadał mu zapytanie stosowne, na które natychmiast otrzymał odpowiedź:

— Mężczyzni...

— Mężczyzna... jeden?..—rzekł.

— Proszę mi wybaczyć, łaskawy panie: nie jeden, ale dwóch...

— Szwabi... co?.. kapitanowie?..

— Na szwabów wyglądali, ale nie na kapitanów...

— Cóż to za jedni?..

— Wiedzieć nie mogę; zdaje się, że rzeźnicy chyba...

Informacye te nie rozwiązywały zagadki i tém téż bardziéj zaostrzały ciekawość, która jednak niezaspokojoną pozostać musiała. Pewną jeno było rzeczą, że, jeżeli kapitan warazdyński wiózł szwabów, to najprzód, wiózł ich z rozkazu kanclerza, następnie, nie byli to rzeźnicy. Cóż to być mogli za jedni? Na pytanie to odpowiedzi nie było.

Po obiedzie księżna wyjawiła ochotę odbycia krótkiéj po miasteczku przechadzki. Ochota jéj miała dla męża znaczenie rozkazu. Wybrali się więc we troje, przeszli przez ulicę główną, obeszli rynek, wzięli się uliczką w prawo i znaleźli się na jaworami wysadzonéj alei, która prowadziła do zamku.

— Możebyśmy zamek zwiedzili...—odezwała się piękna pani.

— Zamek?..—odparł markiz tonem zakłopotania.

— Ton ów zdziwił księżnę.

— Nie masz ochoty?..—zapytała.

— Jeżeli każesz...

— Będę dla ciebie księżną łaskawą i nie każę... Zanotuję sobie jeno w pamięci dzień dzisiejszy, w którym mnie spotyka druga oto zagadka: jedna, uwożenie tajemnicze dwóch ludzi przez Erdödiego; druga, wstręt małżonka mego do zamku... Tamta pozostała i na zawsze zapewne pozostanie nierozwiązaną; do tej zaś—tu się do markiza zwróciła—klucz dasz mi może...

— Ph?..—odparł markiz. Klucz bym ci dał, gdybym sam posiadał takowy... Od zamku tego zimno jakieś, niby strach, na mnie wieje... Inaczéj ci wstrętu mego wytłómaczyć nie umiem...

— To dziwna... Wiem, żeś nie lękliwy...

— Złożyłem dowody... Jeżeli jednak zamek zwiedzić chcesz, chodźmy...

— A nie...—odparła księżna. Przedewszystkiém mężowi memu przykrości robić nie chcę...

— Chodźmy...—powtórzył markiz tonem nalegania.

— A potém—ciągnęła—wstręt twój mnie się udzielił i nie przekroczyłabym bramy zamkowéj bez obawy, ażeby się za mną brama ta nie zamknęła na wieki...

— Pomimo, że nie ma na niéj napisu dantejskiego?.. —odezwał się hrabia Orfeusz tonem zapytania.

— Słowa „*Lasciate ogni speranza*" zawyłyby w zgrzycie zawiasów.

— Chodźmy...—po raz trzeci powtórzył markiz.

— Nie... za nic...—odparła młoda kobieta. Strach mnie przejmuje... Zimno mi się robi... Uchodźmy co rychléj ztąd... O!..

Wskazała w bok nieco na rozlegający się przed fosą zamkową plac i oczy jej strzeliły wyrazem przerażenia, pomimo że na placu tym przerażającego nie było nic. Służył on za wygon dla mieszkańców Nowego Miasta. Znajdowało się na nim bydła sztuk kilka, które trawę skubały i nierogacizny sztuk kilka, które ziemię ryły. Na jednéj z tych ostatnich sroka siedziała. Wiało stamtąd spokojem sielskim. Mimo to księżna się przeraziła, zwróciła i pośpiesznie uchodzić

poczęła. Na wyobraźnię jéj oddziałało to zapewne, że gdy do miasteczka dojeżdżała, markiz placu tego znaczenie tłómaczył. Uchodziła i szeptała:

— Golgota...

— Piersi jéj ucisk gniótł. Swobodniéj odetchnęła, gdy plac i zamek z oczu straciła.

— O Boże — westchnęła.

Mąż i hrabia zaledwie za nią zdążyć mogli. W ulicy miejskiéj kroku zwolniła, z głębi piersi odetchnęła, pierś sobie dłonią nacisnęła i rzekła:

— Nie pamiętam, ażebym się tak przeraziła kiedy...

— Gra imaginacyi — odrzekł hrabia.

— Zapewne...

— Kuzynka wrażeniom podlega...

— Nigdym nie podlegała równie silnie... A przecie...

— Co? — zapytał.

— W Wenecyi widziałam ścięcie...

— I cóż?..

— Przejęła mnie zgroza, nie taka jednak, jak tu, gdziem widziała siwe mury i plac...

— I srokę — dodał hrabia.

— Sroka? — zapytała zaciekawiona.

— Wierzchem na koniku świętego Antoniego jechała....

— Gdzie?..

— Na placu, na którym do obrazu sielankowego pasterki jeno brakło... Były krowy, cielęta, owce i te stworzenia, których w bukolikach poeci nie opiewają, a które służą przyjaciołom naszym, turkom, za przedmiot prześladowania szczególnie zawziętego...

— Tegom nie uważała...

— Szkoda... widok ten bowiem byłby plac w innym przedstawił świetle....

— W żadnym go już świetle oglądać nie chcę — odrzekła, dłonie niby do obrony podnosząc. I mówić o nim nie chcę...

Hrabia wykonał giest, oznaczający zgodzenie się z wolą księżny i w milczeniu towarzyszył jéj do gospody.

Milczenie zachowywał i markiz.

Rzecz dziwna. Wrażenia tego nie tłómaczyły bliższe, bezpośrednie racye żadne. Zamek służył za więzienie stanu; odbywały się w nim sądy i przed nim egzekucye. Markiz Frangopano na sumieniu swojém nie dźwigał ani w intencyi nawet zbrodni, któraby mu los tych, co do zamku tego trafiali, wróżyła. Był we względzie tym czysty. Mimo to — coś — niby przeczucie odezwało się w nim

i sprawiało uczucie pognębiające. Z uczucia tego sprawy nikomu, ani sobie zdać by nie umiał. Zamek mu w oczach nakształt zmory stanął i przygniatał go niejako. Toż rad był temu, gdy się do gospody dostał. Księżna się na chwilę oddaliła; on przed hrabią Orfeuszem stanął, wyciągnął się, wstrząsnął i rzekł:

— Czas zniszczy może kiedyś gniazda podobne...

— Pozakładają nowe — odparł mu bratanek.

— Mówię o tym czasie, w którym się one niepotrzebnemi staną...

— Chybaby na ziemię powrócił wiek złoty...

— Czemużby powrócić nie miał!.. Rozumie się tego my nie doczekamy, ale... prapra...wnuki nasze doczekają może... Chodzi jeno o wynalezienie takiego pomiędzy ludźmi porozumienia, ażeby jeden drugiego nie krzywdził i jeden drugiemu nie zajrzał... Porozumienie takie istnieje pomiędzy mną a tobą, pomiędzy nami dwoma a Zrinimi Mikołajem i Piotrem, pomiędzy nami i Zrinimi a mieszkańcami miast i włości naszych... Tego dawniéj nie było.. Frangopanowie ze Zrinimi procesowali się wieki całe... i wkońcu wyprocesowali zgodę i porozumienie, które w miarę, jak ludzie do rozumu będą przychodzili, będzie się szerzyło, gruntowało i zamki takie, jak w Nowém Mieście, obalało..

— Piękne rojenie.. Widać, stryju, żeś się poetą urodził... *Poetae nascuntur*...

— Czyż poezya nie przewodniczy i dróg ludziom nie wskazuje?

— Tak, przewodniczy i drogi wskazuje, ale na tronie nie zasiada... Ba, gdyby tém, czém stryj jesteś, był Leopold I... Na nieszczęście żaden poeta ani tronu monarszego, ani nawet stolca dożów weneckich nie zajmował i dla tego to we Francyi wznoszą się Bastylie, w Wenecyi pałace z mostami westchnień, w Austryi zamki nowomiejskie... Bez monarchów zaś, zdaje się, obchodzić nie sposób...

— Gdyby się nawet i obchodzić nie można, toż są monarchowie, co muzom posłuch dają...

— Zdarzają się tu i owdzie od czasu do czasu, bardzo jednak rzadko, ach! jak rzadko... Któryż z nich o złotym wieku dla poddanych swoich myślał?.. Jeden Marek Aureliusz... Na Marku Aureliuszu początek i koniec. Z tych co obecnie panują, któryż się do Marka Aureliusza bodaj zdaleka zbliża?.. Czy nasz Leopold?.. czy Filip IV?.. czy Ludwik XIV?.. czy Jan Kazimierz?.. Poeci śpiewają, a oni... jedni na kwilenie to ani zważają, drudzy—przy dźwięku lutni radzi zasypiają, budzą się i... wyroki śmierci podpisują... Nasz Leopold przecie....

Weszła księżna i hrabia Orfeusz urwał.

— Co... nasz Leopold? — zapytała.

— Mówiliśmy o poezyi — odparł.

— Orfeusz przekonywa mnie—podchwycił markiz — że poezya nie jest na nic przydatna...

— Hrabia bowiem za przydatniejszą zapewne uważa muzykę, którą imiennik jego uprawiał z powodzeniem takiém, że zwierzęta drapieżne zbiegały się i słuchały, a drzewa w takt gałęziami chwiały...

— I w końcu go niewiasty rozszarpały—dodał hrabia. Z tego się pokazuje, że i muzyka nie więcéj od poezyi warta... Zresztą imiennik mój był i muzykiem i poetą... W osobie jego obie te sztuki mają przedstawiciela i przykład.. Poeta muzyk dokazać może jednéj rzeczy: do piekła wejść i z piekła wyjść, ale sam... Orfeusz małżonki własnéj nawet wyprowadzić nie mógł...

— Na co się oglądnął — podchwyciła księżna.

— Sens moralny stąd ten, że poeta oglądać się nie powinien na nic...

— Ale — przerwała — gdym wchodziła w słuch mi wpadło imie cesarza... Cóż za związek pomiędzy Leopoldem pierwszym a poezyą zachodzi?..

— Jam właśnie dowieść stryjowi się starał, że nie zachodzi żaden...

— Zachodzi jednak pomiędzy nim a muzyką...

— Wywierającą na niego—podchwycił hrabia Orfeusz—wpływ taki sam, jak granie imiennika mego na lwy, tygrysy i pantery, co w górach Olympu, Haemusu i Rhodopy przemieszkiwały... Póki grał, póty one słuchały; gdy zaś grać przestał, rozchodziły się i swoje robiły... Słowem, stryju kochany—mowę do markiza zwrócił—wybacz mi, ale... nie poezya chyba wiek złoty na ten padół płaczu i zgrzytania zębami sprowadzi... *Poetae nascuntur*, jak słowiki po lasach śpiewają, bo nie śpiewać nie mogą; ale... śpiewy ich do serca biorą ci jeno, których serca bolą i którzy pociechy potrzebują...; inni—jednėm uchem słuchają, drugiém wypuszczają....

VIII. Z wizytami.

Rozmowa o poezyi, która się pomiędzy podróżnymi naszymi w gospodzie nowomiejskiéj zaimprowizowała, nie była dziełem wypadku. Nie byłaby się zaimprowizowała, gdyby nie to, że markiz Franciszek Frangopano należał do wylęgłéj na gruncie kroackim trójcy poetycznéj, któréj członek każdy był poetą, wojownikiem i mężem stanu. Mikołaj Zrini, Piotr Zrini i Franciszek Frangopano, jako mężowie stanu, mieli widoki i zamiary, jako wojownicy, czoła nadsta-

wiali, jako poeci, oddawali się rojeniom pięknym, wedle których regulowali czynności i intencye swoje. Śród nich panował nastrój poetyczny i nie co innego, jeno nastrój ów natchnął Mikołaja Zriniego myślą wejścia w ślady Stefana Batorego. W sposób ten zamierzył on posadzić poetę na tronie. Do tego to odnosiły się słowa markiza, tyczące się złotego wieku i tych monarchów, co muzom posłuch dają. Był on snadź w zamiary Mikołaja wtajemniczony, a może— domyślał się takowych. Tak czy owak, markiz nie odpowiadał nastrojowi, jaki w Wiedniu panował.

W Wiedniu kuryer przodem wyprawiony przygotował dla księstwa pomieszkanie, odpowiadające stanowisku wysokiemu, jakie w społeczeństwie i towarzystwie zajmowali. Hotele, na wzór dzisiejszych, w czasie owym nie istniały. Istniały gospody niekoniecznie wygodne i służące za przytulisko ludziom kondycyi rozmaitéj. Magnaci i dostojnicy państwowi stawali bądź u przyjaciół, bądź po klasztorach, bądź téż po wynajmowanych domach prywatnych, na cel ten umyślnie przyrządzonych. Księstwo w domu prywatnym stanęli i na rozporządzenie swoje mieli pokoi kilka, pomieszczenie dla służby, stajnie i wozownie. Hrabia Orfeusz chciał w gospodzie nieopodal zamieszkać z tém, żeby na obiady i wieczerze do stryjostwa dochodzić. Razem z nimi uważał, mieszkać mu nie wypadało. Markiz atoli nie pozwolił na to. Znalazło się pomieszczenie i dla bratanka, który był stryjecznym od stryjecznych.

Instalacya księstwa odbyła się z całym wielkopańskim szykiem, poprzedzonym wjazdem. Wjazd rozpoczął się już od Mödling, a w potęgę w końcu wzmógł się z téj racyi, że pomiędzy Mödling a rogatkami wieczór zapadł i potrzeba było zapalić pochodnie. Pochodnie wieźli huzary. Były to na długich, giętkich tykach zawieszone koszyki druciane, w których gorzały płomieniem kule smolne. Dwa płomienie takie poprzedzało, po dwa z boków towarzyszyło pociągom podróżnym, składającym się z kolasy ogromnéj, która w sześć koni zaprzężona, toczyła się przodem i z pojazdów a wozów kilku, idących za nią jeden za drugim. Przed kolasą biegło dwóch laufrów; za kolasą prowadzono konie wierzchowe oponami osłonięte. Blask płomieni nadawał przedmiotom koloryt osobliwy, który zniewalał przechodniów zatrzymywać się i patrzéć. Laufry krzykiem ostrzegali przejezdnych, ażeby ustępowali z drogi, oznajmując wszem w obec i każdemu z osobna, że :

— Jedzie miłościwość jego książe Trstski, markiz Frangopano z miłościwością jéj księżną!.. Z drogi!.. z drogi!..

Orszak zatrzymał się u rogatki, przy któréj stała warta wojskowa. Żołnierze się uszykowali, dowódca salutował,—orszak wkro-

czył do miasta, przeciągnął przez ulic kilka i zawinął wreszcie do mieszkania, w którém na wstępie powitał księstwo w imieniu gubernatora Wiednia przysłany *ad hoc* z gubernium oficer.

— Jego ekscelencya pozdrawia uprzejmie w murach stolicy wasze książęce moście...

Powitanie to znamionowało grzeczność niezwykłą, na jaką by się gubernator z natchienia własnego nie zdobył. Markiz podziękował i odpowiedział w sposób właściwy. Po odejściu oficera hrabia Orfeusz, który się na etykiecie i zwyczajach wysokich sfer urzędowych znał, odezwał się do księstwa.

— Jak widzę, gotuje się dla państwa moich przyjęcie szykowne... Winszuję...

— Czy i „zazdroszczę"? — zapytał markiz.

— Uhm?... Nie... Uprzejmość dworska ma to do siebie, że się zawsze wobec niéj na baczności miéć należy.... Im większa, tém niebezpieczniejsza...

— Przerażasz mnie, hrabio — odrzekła księżna.

— Niestety... nie przerażać nie mogę, będąc człowiekiem doświadczonym... Jadałem z pieca dworskiego chleb i od chleba tego uciekłem aż do Seni... Milszą mi jest uprzejmość Uskoków, aniżeli uprzejmość gubernatora Wiednia...

— Rzecz gustu...

— Zapewne... Niewątpliwie zamiłowanie odegrywa tu rolę niemałoważną... Zawsze jednak... baczność nie zawadzi... Ostrzegam i do izby mojéj wynoszę się...

Markizowi obcemi nie były ani Wiedeń, ani zwyczaje towarzyskie w stolicy, w której dawniéj bywał i nawet na dworze cesarskim, za życia Ferdynanda III, czas jakiś pozostawał. Do zwyczajów tych zastosował się odrazu. W drugim zaraz dniu przybycia rozpoczął wizyty powitalne, które składał porządkiem hierarchicznym, uczyniwszy wyjątek jedyny na rzecz księcia Lobkowicza, pełniącego w obec majestatu cesarskiego funkcyą protektora rodziny Zrinich i Frangopanów. Nic w tém nie było urzędowego. Protektorat ów miał znaczenie formalne, a pochodził stąd, że rodzinę Lobkowiczów do rodziny Zrinich i Frangopanów zbliżały stosunki zażyłości, sięgające czasów dawnych i pokoleń zgasłych. Lobkowicze z ojca na syna dworu się trzymali; książe Wacław po ojcu odziedziczył dostojeństwo, zbliżające go do osoby cesarskiéj, a zarazem i przychylność względem tych, których ojcowie przyjaźnili się z ojcem jego. Do niego téż markiz udał się najpierwéj. Księstwo pojechali oboje; zatrzymali się jeno przy kościele św. Szczepana. przed ołta-

rzem wielkim pacierz zmówili i gdy następnie przed pałacem Lobkowicza wysiedli, znaleźli tam na wstępie przyjęcie takie, jakby na nich oczekiwano. Gospodarstwo oboje na spotkanie ich pośpieszyli, okazując im uprzejmość wielką.

— Pozdrawiamy was, witamy... — mówiła księżna Lobkowicz, ściskając księżnę Frangopano i oglądając ją od stóp do głowy. Prawda... wszystko prawda, com o tobie, księżno, słyszała...

— Ogadywano mnie przed waszą książęcą mością — odparła młoda kobieta.

— Ogadywano... tak, ale słabo... Powiadano mi, żeś piękna, ale nie powiedziano, żeś najpiękniejsza.

— I słusznie — broniła się markiza.

— Znajduję, że niesłusznie...

Książe, jeden z najmożniejszych panów czeskich, w młodych swoich leciech (czasu wojny trzydziestoletniéj) żołnierz, zajmował obecnie stanowisko radcy tajnego i wchodził do składu rady przybocznéj cesarza. Radził więc, ale we wszystkich, jakie się zdarzały i zdarzać mogły wypadkach, miał jedno i toż samo do wynurzenia zdanie: „Robić to, co się najjaśniejszemu panu podoba i nie robić tego, co się jemu nie podoba.“ Takie zdanie wynurzał. Po za niém atoli miał inne, które chował w duszy tak głęboko, że nikt onego nie znał. Z tém ostatniém się nie zdradzał, luboć postrzegacz uważny i znawca gry fizyognomii ludzkiéj biegły, zauważyć by mógł jak w razach, gdy opinia owa druga w duszy się jego budziła, powieki mu zlekka drżały i źrenice migotały. Zresztą — nie manifestowała się inaczéj opinia jego własna. Na obliczu poważném jaśniała zawsze pogoda, dostrajająca się do tonu towarzystwa, w jakiém się znajdował. Gniewał się nawet pogodnie i zaliczał się do najwierniejszych i najpewniejszych tronu cesarskiego podpór. A lubił ludziom pomagać i przysługi im świadczyć, pod warunkiem atoli, ażeby to upodobaniu cesarskiemu w niczém się nie sprzeciwiało. Taka była reguła ogólna. Że zaś nie ma reguły bez wyjątków, zdarzały się przeto i wyjątki, nie inne jednak, jak takie, które się dokonywać dawały w skrytości absolutnéj. Sam o nich wiedzieć nie chciał i — jeżeli komu na téj drodze krytéj co dobrego zrobił — nie przyznawał się.

W stosunku do Frangopana nie zachodziło nic, coby cesarzowi przykrość jaką sprawiało. Przeciwnie. Markiz na wezwanie cesarskie do Wiednia przybywał, książe przeto nie krępować się mógł w okazywaniu mu uprzejmości.

— Dobrze, żeś się pośpieszył—rzekł do niego, po zakończeniu ceremonii powitania i dodał, zniżając nieco głos: — a jeszcze lepiéj, żeś nie został na zjeździe w Czakowacu...

— Starałem się jaknajrychlej uczynić zadość woli najjaśniejszego pana — odparł markiz.

— To dobrze... to bardzo dobrze...

— Luboć, wyznam: miałem ochotę wielką w Czakowacu pozostać...

— Byłoby źle, gdybyś ochocie téj dogodził...

— To zjazd przyjacielski...

— Przyjaciół Mikołaja Zriniego, który na siebie najjaśniejszego pana rozżalił...

— Mogę ekscelencyi waszéj zaręczyć, że hrabia Mikołaj jest zawsze wiernym cesarza i króla poddanym...

— O tém nie wątpię; ale... ta dymisya niefortunna!.. Czy to się godziło?..

— Sprowadził ją Montecuculi...

— Ach! — rzucił się książe. Co to znaczy!..

— Hrabia Mikołaj rozumiał, że nie może zasiadać w gronie, do którego Montecuculi należy...

— W tém właśnie błąd... błąd występny... Poddany każdy zasiadać powinien w gronie, w którém go wola monarchy posadziła, tak długo, póki go wola ta z grona nie wydali.. Cóż bowiem sprawił?... Oto... łaskę stracił...

Dwa wyrazy ostatnie wymówił tonem takim, jakby obwieszczał największe, jakie człowieka spotkać może nieszczęście. W mniemaniu jego było to w rzeczy samej nieszczęście największe. Ton ów oddziałał na markiza, który na wyrazy te odpowiedział gestem uznania.

— Oto następstwo—ciągnął Lobkowicz. Hrabia postąpił sobie, jak młodzik... Czemu się nie poradził mnie?... Ale nie: uniósł się i uniesieniu uległ, a na dobitkę, jakby chciał niełaskę spotęgować, przyjaciół sprasza i uczty wyprawia...

— Uczty pożegnalne — podchwycił markiz, który uważał za rzecz potrzebną, jeżeli nie usprawiedliwić, to wytłómaczyć eks-bana. Mikołaj usuwa się od życia publicznego całkowicie; że zaś, jak ekscelencyi waszéj wiadomo, przyjaciół miał...

— Za dużo — wtrącił książe.

— Nie mógł przeto, nie godziło mu się, opuszczać ich bez pożegnania...

— Ha! — książe na to. Na mnie, wolałbym się narazić przyjaciołom, aniżeli najjaśniejszemu panu... Stało się jednak... Hrabiemu Mikołajowi trudno już, bardzo trudno będzie odzyskać względy cesarskie... Daj Boże, ażeby usunięcie się jego od życia publicznego szczerém było, ażeby się nie mieszał, nie wtrącał do niczego; w takim

bowiem razie, ...lata upłyną... najjaśniejszy pan zapomni i może go jeszcze względami swojemi obdarzyć raczy...

— Intencye hrabiego są szczere...

— Nie wątpię... Chodzi o to, ażeby wytrwał... Nic trudniejszego, jak nad intencyami panować...

Westchnął—dla tego zapewne, że z trudnością tą łamał się życie całe. Stanowiła ona jego *modus vivendi*. Powziąwszy intencyą zachowywania łaski cesarskiéj, pielęgnował ją i nieraz staczać musiał w duszy swojéj walki zawzięte z napastnikiem na intencyą swoję, którym było własne jego sumienie. Westchnął i zwrócił się do księżny Julii, która z księżną Lobkowicz rozmowę toczyła.

— Pani—zaczął, dłonie z lekka zacierając—do miasteczka naszego po raz pierwszy przybywa...

— Po raz pierwszy...—odpowiedziała z uśmiechem.

— I jakże?.. jakież wrażenie najpierwsze?..

— Nie umiem sobie jeszcze zdać z wrażenia sprawy... Przyjechaliśmy wczora wieczorem późnym, dziś zaś miasta widziałam tyle jeno, co z okien kolasy...

— Dostrzega jednak wasza książęca mość niejakiéj z Wenecyą różnicy...

— O!.. i wielkiéj...

— W Wiedniu posługiwać się potrzeba kołami i trząść się po bruku, zamiast pływać w gondoli...

— Widziałam jednak coś nakształt kanału...

— Po którym pływają młynarze i węglarze... Nie taki to kanał jak kanały weneckie... I domy nasze nie takie... Nas nie stać na marmury... Rzeczpospolita bogatsza, aniżeli my... i dla tego na nas z góry, przez ramię spogląda...

— Niech wasza ekscelencya rzeczypospolitéj o coś podobnego nie posądza...—odparła piękna pani.

— Nie posądzam; konstatuję jeno fakta, zdarzone w przeszłości niedawnéj...

— Teraźniejszość świadczy inaczéj...

— Obecnie—wtrącił markiz—panuje w Wenecyi jaknajprzychylniejsze względem cesarstwa usposobienie, tak w ogóle, jak w radzie...

— Wiadomość jednak o traktacie vasvasarskim przyjęto tam nie koniecznie uprzejmie...

— Przyjęto ją ze zdziwieniem...—odparł Frangopano. Wrażenie to atoli przeminęło...

— I jakie je...—zapytał książę—zamieniło?..

— Jakie?..—odparł markiz. Zrozumiano, że pokój ów, po takiém świetném jak pod St. Gothard zwycięstwie, zawartym został celem uregulowania spraw wewnętrznych węgierskich...

— Rzecz ciekawa, jak sobie Wenecyanie uregulowanie to wyobrażają...

Wszystkie dalsze księcia Lobkowicza zapytania i uwagi nosiły na sobie cechę wyraźną indagacyi, której dokonanie z góry mu poleconém było. Rozpytywał, obiekcye czynił, dyskutował: nie robiłby tego z natchnienia własnego. Widocznie z zadania się wywiązywał i czynił to z akcentem dobrego tonu, wtrącając od czasu do czasu uwagi żartobliwe, tak, że i panie udział w rozmowie brać mogły Piękna księżna, zgoła się tego nie domyślając, udzieliła informacyi kilka cennych. W sposób ten radca stanu wyciągnął z gości swoich wszystko, co do wyciągnięcia w materyi politycznéj było i, wtrąciwszy wzmiankę o kościele św. Marka, materyą rozmowy zmienił. Dokonało się to bardzo zręcznie i składnie. Święty Marek wywołał św. Stefana.

— Nie posiadamy takiéj, jak Wenecya, świątyni; możemy się atoli katedrą św. Szczepana chwalić... Nie oglądałaś jéj pani?..

— Przeciwnie...—odparła młoda kobieta. Świętemu Szczepanowi złożyliśmy hołd przedewszystkiém...

— Otworzyliście sobie wstęp... Tak... Wiecież—do markiza mowę zwrócił—co czynić daléj?..

— Kanclerz...—odpowiedział zapytany.

— Kanclerz, książe von Sagan, hrabia Lamberg, książę Dietrichstein, hrabia Nostitz, hrabia Stahremberg...

Wymienił jeszcze nazwisk kilka, omijając jedno, należące do męża, który był zdeklarowanym Zrinich i wszystkich, co do rodziny ich wchodzili, wrogiem. Dodał w końcu nazwisko hrabiego Stahrnberga, pełniącego przy osobie cesarskiéj funkcyą zaszczytną marszałka dworu.

— Od jego ekscelencyi kanclerza do hrabiego udać się należy... Ten ostatni przyjmie od was, mości markizie, podanie o audyencyą i będzie miał zaszczyt przedstawić takowe jego cesarskiéj mości...

— Formy podania nie znam...—rzekł markiz.

— Nie troszcz się o to... Hofmarszałek w kancelaryi swojéj napisać każe...

— Osobno dla żony mojéj, osobno dla mnie?..

— Zdaje się, że byłoby to zbyteczném... Żona, wedle pisma, za mężem idzie...—odrzekł książe z uśmiechem—a najjaśniejszy pan bieglejszym jest w piśmie, aniżeli my wszyscy...

— Nie bieglejszy chyba od księdza Müllera...—zauważył markiz z intencyą, w której się złośliwość przebijała.

— Książę wnet przybrał minę seryo i odparł:

-— A...

— Na odpowiedź najjaśniejszego pana poczekać zapewne potrzeba będzie...

— Nie długo... nie długo... Bądźcie państwo przygotowani na rychłe do dworu wezwanie.

— Radbym się stawić pod skrzydłem waszéj książęcéj mości...

— Hm?.. Zależy to od woli najjaśniejszego pana...

Skłonił się, jakby woli téj hołd składał.

— Ze wstydem wyznam—odezwała się księżna Frangopano, do księżnéj Lobkowicz mowę zwracając—że waszéj książęcéj mości prosić muszę o udzielenie mi, co do audyencyi, rad i skazówek..

— Co się ubioru tyczy?.. zapytała księżna.

— Tak, niestety...—odpowiedziała markiza z miną niewiadomością zawstydzonéj.

— Czarna, albo ciemna z ogonem suknia aksamitna przyozdobiona koronkami; kryzy, klejnoty, kapelusz z piórem strusiém i z woalką gazową... Każ sobie, księżno, krawca (nazwisko wymieniła) przywołać i poleć mu, ażeby przysposobił strój audyencyonalny...

— Suknie posiadam...

— On opatrzy i przyozdobi, a oraz wskaże, które się na audyencye, które na recepcye nadają... Nie ulega bowiem wątpliwości, że najjaśniejszy pan udzielić raczy państwu pozwolenia bywania w zamku na recepcyach... Przygotować się do tego należy...

— O Boże!..—westchnęła młoda pani—toż mnie praca ciężka czeka...

Księżna Lobkowicz uśmiechnęła się i głową z nacechowaném żartobliwością politowaniem pokiwała, mówiąc:

— Ciężka, zaiste...

— Ale wynagradzająca trud sowicie...—wtrącił książę z uśmiechem szarmanckim i dodał:—luboć, co się pani tyczy, wynagrodzenie trudu tego rodzaju jest rzeczą całkowicie podrzędną... Natura wyposażyła panią tak wspaniale, że blask jéj oczów przyćmi klejnoty i stroje...

— Wasza książęca mość—odparła księżna Frangopano—wprawiasz mnie w kłopot wielki... Nie wiem, czy mam brać słowa jego w znaczeniu opinii o mnie łaskawéj i dziękować, czyli też w znaczenie komplementu i... nie wierzyć...

— W jedno jeno chciéj pani uwierzyć, a to: że słowa moje są wyrazem przekonania, które... tego pewny jestem... podziela ze mną każdy, co ma szczęście oglądania pani...

Pomiędzy księciem Lobowiczem a księżną Frangopano zawiązała się ugrzecznienia pełna sprzeczka, która się niebawem zakończyła. Markiz wykonał giest pożegnalny; markiza się z siedzenia podniosła: nastąpiło zaokrąglenie wizyty ukłonami i wynurzeniami; gospodarstwo wyprowadzili gości do drzwi wchodowych.

Młodzi księstwo udali się do mieszkania barona Hochera. I tu, zdarzyło się tak, jakby na nich oczekiwano, z tą jeno różnicą, że nie baronostwo oboje, ale baron sam na powitanie ich wyszedł. Baron wyglądał cale inaczéj, jak dni temu kilka u cesarza, kiedy stanął w obec monarchy na wezwanie księdza Müllera. Postawa i mina jego wyrażały najwyższego w państwie dostojnika. Głowa jego, okryta spadającemi mu na ramiona i na grzbiet puklami peruki, poważnie i hardo się wznosiła. Na ustach błądził uśmiech uprzejmy, akcentem łaskawości nacechowany.

— Wysoko cenię sobie ten zaszczyt—przemówił—żeście państwo raczyli w progi moje wkroczyć...

— Pełnimy powinność naszą—odparł markiz—i tak żona moja, jak ja, ubiegamy się o łaskawe ekscelencyi waszéj względy...

— Jakże pani Wiedeń znajduje?...—zapytał baron księżny.

Księżna to samo i temi samemi słowami, co na zapytanie podobne księciu Lobkowiczowi, odpowiedziała i powtórzyła się dosłownie prawie rozmowa przed półgodziną toczona. Powtórzyła się również i indagacya, tycząca się usposobienia umysłów w Wenecyi w stosunku do cesarstwa. Była jednak o wiele krótsza i bardziéj summaryczna. Kanclerzowi widocznie nie chodziło o szczegóły. Od niechcenia niby rzucił zapytań kilka i, ani wspominając o Zrinich, zagaił rzecz o wybrzeżach morza Adryatyckiego, o malowniczości onych.

— Piękne są...—mówił—piękne i pięknie w chwili téj reprezentują się w stolicy...

— Toż jak?..—zapytał markiz.

— Pod postacią syreny... syreny morza Adryatyckiego...

Ponieważ wyrazy ostatnie były tytułem poetycznych Piotra Zriniego utworów, markiz nie zrozumiał zawartego w nich w przenośni komplementu. Wydało się mu, że baron o książce mówi i ponieważ o niéj mówi, więc musi być chyba na język niemiecki przełożona. Zapytał przeto:

— Tłómaczona?..

— Tłómaczy się sama...—odparł baron, który o żadnéj książce w chwili téj nie myślał.

— Ciekaw bym ją widziéć...

— Spojrzyj, książe...—i oczami, z giestem galanteryi uprzejméj, na księżnę wskazał. W osobie jéj książęcéj mości tonie Adryatyku przysłały nam syrenę...

— A!..—zrozumiał markiz i, celem zdaje się zamaskowania nieporozumienia, dodał:—Nie niebezpieczną atoli... Uroki syrenie moc swoję na lądzie tracą...

— Kto wie...—baron na to.

— Na lądzie nie ma nawy i sternika...

— Kto wie...—powtórzył.

Markizowi przyszedł na myśl cesarz, sterujący nawie państwowéj, i baronowi cesarz także na myśl przyjść musiał, odezwał się bowiem:

— Najjaśniejszy pan rad państwu będzie...

— Gorąco, wraz z żoną moją, pragnę dostąpić zaszczytu przedstawienia się jego cesarskiéj mości...

— Zgłoś się książę do hrabiego Stahrnberga... nie do Stahremberga, stadthaltera, ale do Stahrnberga, hofmarszałka... Nazwiska ich różnią się literę jednę...

— Nie omieszkam... —odrzekł Frangopano.

U marszałka dworu, u którego wizyta miała charakter interesu, księżna z kolasy nie wysiadała. Książę przedstawił się sam, chwilkę zabawił, podanie podpisał i do oczekującéj nań żony powrócił.

— Dokąd teraz?..—zapytała księżna.

— Do księstwa de Sagan...

Ruszyli i kolejno wizyty składali dostojnikom wysokim, którzy, jakby się zmówili, wszyscy w domu byli, wszyscy uprzejmie młodą parę przyjmowali i wszyscy w rozmowę indagacyą o Wenecyą wplatali. To ostatnie zastanowiło młodą kobietę. Zwróciła na osobliwość tę uwagę męża.

— Wygląda to — rzekła — jakby panowie ci hasło dostali...

— A tak... — odrzekł — ale mogło to i samo przez się nastąpić... Przybywamy z Wenecyi; w Wenecyi posiadamy znajomości i stosunki; nic w tém przeto nie ma dziwnego, że się nas ludzie o Wenecyą rozpytują... Wenecya w ludziach ciekawość wzbudza...

(*d. c. n.*) *T. T. Jeż.*





WYCIECZKI PO GALICYI.

WYCIECZKA TRZECIA.

(PODRÓŻ DO SŁOBODY RUNGURSKIÉJ).

I.

Mówcie co chcecie, a ja wam powiadam, że ze wszystkich dzielnic dawnéj Rzeczypospolitéj, Galicya jest najpiękniejszą. Ludzie mogą tu być zacofani i śmieszni; miasta zaniedbane, wsi biedne, stosunki pod każdym względem nieznośne; lecz to wszystko nie przeszkadza, iżby kraj sam, jako taki, nie miał być prześliczny. Byleście nam tylko dali trochę lepszy klimat, podobny do węgierskiego lub nadreńskiego, a przekonalibyście się wtedy, że dla naszych gór, rzek i łąk turyści zjeżdżaliby się do Galicyi z całego świata. Bo czy można sobie wyobrazić piękniejszą okolicę, niż np. owa, między Tęczynem a Mogilanami, wśród któréj rozsiadł się stary Kraków? Czy nasze Tatry nie mają widoków grozą przejmujących, jak góry w Norwegii? Czy w Holandyi są bujniejsze łąki od tych, które ciągną się wzdłuż naszych strumieni, a głównie po obu bokach Dniestru? A jaką mamy ziemi różnorodność! Począwszy od lotnych piasków, skończywszy zaś na polskim czarnoziemiu, znajdziesz u nas wszystkie jéj odmiany, gęste bory, mimo siekiery cywilizacyjnéj, pokrywają dotąd piątą część kraju, a co do rzek, tych mamy tyle i taką między niemi rozmaitość, że zaiste nie wiem, czy gdziekolwiek jest kraj, stosunkowo niewielki i nie górzysty, któryby pod tym względem był jak nasz bogaty. Prócz rzek dość powolnych, jak Wisła, San i Dniestr, z których każda mogłaby być spławną, gdyby tylko rząd centralny chciał się zająć tą sprawą, mamy kilkadziesiąt większych rzek górskich i kilkaset, a może nawet kilka tysięcy małych potoków, czystych jak łza, a szybkich jak myśl, które z Karpat wypływając, po drobnym żwirze toczą swoje fale i śpieszą do tych strumieni, co jak główne arterye kraj nasz przerzynają. Wszystkie te wody płyną

bądź ku południowemu wschodowi, bądź ku północy, i na swych falach unoszą nasze interesy; lecz żadna z nich, wbrew logice natury, nie cofa się za Karpaty... Mimo to myśmy zawsze mieli skierowane ku zachodowi wszystkie nasze widoki i myśli... Od Wielkopolski przepełnionéj ciemnemi jeziorami, których powierzchnię tylko wiatr marszczy, wieje chłód; Podole, ze swemi stawiskami i monotonnemi wzgórzami, mimo nadzwyczajnego ziemi bogactwa, nikogo nie zachwyci; na Ukrainie nuży tak wzrok, jak umysł, jednostajność widoków; na Litwie jest stosunkowo za wiele lasów i ziemi jałowéj; w Królestwie, z wyjątkiem Sandomierskiego i Kieleckiego, które są jakby przedłużeniem Galicyi, trudno o piękne okolice; jedna Galicya, dzięki górom, bogactwu ziemi, a przedewszystkiém żywości swoich wód, ma rozmaitość i życie, bez czego nie można sobie wyobrazić prawdziwie pięknéj krainy. Ilekroć jadąc z Krakowa ku Czerniowcom, patrzę na zmieniający się wciąż krajobraz, który, im bliżéj Bukowiny, tém piękniejszym się staje, pytam zawsze w duchu, czemu ta śliczna prowincya nie ma takich ludzi, jakich byśmy tu widzieć pragnęli, czemu ciemnota, rozmaite narowy i kastowe przesądy kwitną tu bujniéj niż gdziekolwiek indziéj w Polsce, czemu w kraju tak pięknym człowiek sam tak wiele do życzenia zostawia!.. Pytam, a historya z westchnieniem odpowiada: „Wszędzie, gdzie oligarchia sprzymierzy się z duchowieństwem, muszą być takie następstwa.“ Galicya zaś, lub właściwie zachodnia jéj połowa, zwana Małopolską, była kolebką obu tych potęg, które po ustąpieniu Piastów z widowni, pochwyciły za ster rządów i tak długo dzierżyły je we własnym interesie, póki im z anarchicznéj dłoni same nie wypadły....

Niedawno temu jechałem ze Lwowa do Kołomyi, zkąd zamierzałem zrobić krótką wycieczkę do Słobody Rungurskiéj, słusznie dziś nazywanéj polską Pensylwanią, nigdzie bowiem w Galicyi nie czerpią teraz tyle nafty, co w owéj miejscowości. Aby jak najprędzéj zdążyć na miejsce, obrałem koléj Lwowsko-Czerniowiecką, która jest przedłużeniem kolei Karola-Ludwika i najstarsza po niéj droga żelazna w Galicyi. Kilka już lat upłynęło, jak ostatni raz jechałem tą linią: niemałe więc było moje zdziwienie, gdym zamiast dawnego ruchu, znalazł na niéj ciszę grobową. Jeszcze trzy lata temu ruch tak osobowy, jak towarowy, był tu ogromny. Podróżni z całéj Galicyi wschodniéj tylko tą linią jeździli, a zboże podolskie i produkty rumuńskie musiały być także transportowane koleją Czerniowiecką. Teraz pociągi rzadko się na niéj pojawiają, a i te, które przechodzą, są w połowie puste. Powodem tego nie jest tyle stagnacya w handlu, co wybudowanie przez rząd linii drugiéj, równoległéj, biegnącéj przez całą długość Galicyi, po pod Karpatami, którą dla tego nazy-

wają koleją Transwersalną. Na téj linii rząd zaprowadził taryfy niższe od tych, które do dziś dnia obowiązują na kolei Karola-Ludwika i Lwowsko Czerniowieckiéj. Cały świat rzucił się więc do „Transwersałki“ a prywatne drogi żelazne robią codzień gorsze interesa.

Gdym o tém zaczął rozmawiać z jadącymi, najbliżéj mnie siedzący jegomość westchnął głęboko i rzekł po niemiecku:

— Źle się dzieje, bardzo źle! Jak tak daléj pójdzie, akcyonaryusze kolei prywatnych potracą swoje kapitały, a ich urzędnicy z głodu pomrą. Czy dalibyście panowie wiarę, że na kolei Karola-Ludwika nie tylko już oddalono kilkudziesięciu inżynierów i urzędników, lecz na domiar złego, wzięto się nawet do kotów. Jeżeli to kolei nie uratuje, wszystko będzie stracone.

— Do kotów? — powtórzyliśmy zdziwieni.

— Niestety, do kotów!—potwierdził nasz towarzysz. — Każda stacya dostawała dawniéj osobny fundusz na utrzymanie kotów, które miały obowiązek polować po magazynach na myszy i szczury: teraz jeneralna dyrekcya przez oszczędność zniosła tę pożyteczną instytucyą, a na jéj miejsce zaprowadziła urzędowego „szczurołowa“, który objeżdża stacye i po nocach zajmuje się łapaniem szczurów. Ręczę, że niezadługo przestaną także palić w lokomotywach, i nakażą maszynistom, by ci ogrzewali je własnym oddechem.

— Zapewne jesteś pan urzędnikiem kolei Karola-Ludwika — ktoś przerwał mówiącemu.

— Niestety! — odpowiedział i znów westchnął.

W tém miejscu urwała się rozmowa, pociąg bowiem zatrzymał się na stacyi w Stanisławowie.

Ileż wspomnień obudziło się w méj duszy na widok tego miasta, położonego między dwiema Bystrzycami! Właśnie ćwierć wieku upłynęło, jak zacząłem tu uczęszczać do szkół gimnazyalnych, a były to czasy czarnéj reakcyi, pod któréj panowaniem wszystkie przedmioty, krom religii i nauki języka polskiego, wykładano po niemiecku. Panowie profesorowie nierównie większą zwracali wtedy na to uwagę, iżby uczeń rozwijał się odpowiednio w duchu austryacko-niemieckim i sekretnie oskarżał swoich kolegów, niż żeby do nauk pilnie się przykładał i pod każdym względem moralnie się zachowywał. Jak wielkie jednak w tym ćwierćwieku zmiany zaszły! System germanizacyjny upadł, duch narodowy przez sto lat tłumiony, podniósł legalnie głowę, a sam Stanisławów nową przyoblekł sukienkę. Po wielkim pożarze z roku 1868, miasto zupełnie się odbudowało i dziś liczy około 30,000 mieszkańców. Dawny rynek brudny, żydowski, wygląda teraz po europejsku, nowych domów przybyło kilkaset, takich gmachów publicznych, zwłaszcza szkół, jakie ma Stanisławów,

napróżno szukałbyś w galicyjskich miastach prowincyonalnych, chodniki są tu wszędzie asfaltowane, oświetlenie gazowe, prócz tego za miastem wznosi się olbrzymi gmach, mieszczący w swym obrębie kilka tysięcy ludzi. To dom karny, największy w Galicyi. Teraz miasto buduje obszerne koszary dla artyleryi i piechoty, co przyczyni się także do jego wzrostu. Ktokolwiek zna bezradną gospodarkę w naszych miastach i miasteczkach, w których przeważnie nasi żydzi rej wiodą, ten zdziwiony musi zapytać, czyjéj właściwie inicyatywie i czyjéj pracy zawdzięcza Stanisławów swoję świetność. Niech to nikogo nie dziwi, jeżeli powiem, że inicyatywie i pracy tylko jednego człowieka, a tym jest jego burmistrz, dr. Ignacy Kamiński. Ten wciągu dwudziestoletniego swego urzędowania wszystko stworzył z niczego, i około podniesienia miasta niespożyte położył zasługi. Jego działalność przekonywa nas, co silna wola jednego człowieka, nawet w społeczeństwie tak gnuśném jak nasze, może dokazać. Burmistrz stanisławowski był przez dłuższy czas także posłem sejmowym i delegatem, do rady państwa, ale nieszczęsna afera kolejowa, znana jako sprawa Schwarz Kamiński, która u nas przez dwa lata nie schodziła z porządku dziennego, przerwała jego karyerę polityczną. Mimo to nie stracił on zaufania swoich współobywateli, i prawdopodobnie do końca życia nie przestanie być burmistrzem Stanisławowa.

Przed półrokiem, piękne to miasto zrobiło się głośném, ponieważ cesarz, wysłuchawszy życzeń Rusinów, ufundował tu nowe biskupstwo, trzecie w Galicyi, do którego przydzielił przeszło 400 parochii, należących poprzednio do lwowskiéj metropolii. Dotacya biskupa nie jest tu tak wielka jak gdzie indziéj; wynosi ona ledwie 12,000 guldenów rocznie, lecz ta kwota ponoś wystarczy, by nowego księcia kościoła uchronić od śmierci głodowéj. Pierwszym biskupem stanisławowskim został ks. Pełesz, którego mowa pojednawcza, w ubiegłéj sesyi sejmu galicyjskiego, tak potężne między Polakami wywołała wrażenie, że aż prof. hr. Stanisław Tarnowski, uznał za rzecz stosowną i patryotyczną, pocałować go za nią publicznie w rękę. Niedługo potém, na intronizacyą sympatycznego biskupa, zjechało się do Stanisławowa dużo polskiéj arystokracyi. Ks. Pełesz jest człowiekiem młodym, ledwie czterdziestoletnim, przyjemnym i wykształconym, a co do jego uczuć katolicko-austryackich, na które przy każdéj sposobności wielki kładzie nacisk, to w tym względzie nie zachodzi żadna wątpliwość. Po za Rzymem nie widzi on zbawienia, Wiedeń zaś, w którym długie lata spędził, kocha namiętnie. Gdy z nim kto zacznie mówić o tém mieście, bardzo się ożywia, i radby jak najdłużéj zatrzymać się przy tym przedmiocie. Rząd

jeszcze niedawno wielce się tém niepokoił, że ruscy biskupi w Galicyi, innemi ciągnęli drogami, niż on sobie tego życzył; teraz jednak może spać spokojnie, bo tak metropolita lwowski, Sembratowicz, jak biskup przemyski, Stupnicki i stanisławowski Pełesz, stoją twardo na gruncie katolicko-austryackim i z pewnością żaden z nich tam nie pójdzie, dokąd poprzedniego metropolitę ciągnęła kapituła św. Jura, zostająca pod dyktaturą kanonika Malinowskiego, który był głównym filarem tak zwanéj ongi partyi świętojurskiéj.

Gdym z wagonu wysiadłszy, przechadzał się po peronie, zbliżył się do mnie jeden z towarzyszów podróży, i zwróciwszy moję uwagę na kilku mężczyzn stojących nieopodal, pytał mnie ciekawie, coby to byli za jedni. Prawdopodobnie zawitał on dopiero pierwszy raz do wschodniéj Galicyi, skoro nie wiedział, że byli to polscy Ormianie, mieszkający dość gęsto między Stanisławowém a Czerniowcami, i posiadający w tych stronach najpiękniejsze majątki. Na pierwszy rzut oka można by myśléć, że są to żydzi, każdy bowiem z nich ma wygląd nie słowiański, włosy bądź czarne, bądź ryżawe, nos kabłąkowaty i niezmiernie wielki, cerę śniadą, oczy wypukłe, wschodnie. Kto się im jednak bliżéj przypatrzy, musi przyznać, że mają oni w sobie dosyć rysów tak fizycznych, jak moralnych, które ich różnią od żydów. Rzadko który Ormianin ma włosy kędzierzawe, ust pogardliwie wyrzuconych, na wzór tych, które Michał Anioł uwiecznił na fizyognomii Mojżesza, u żadnego z nich nie widziałem, przedewszystkiém zaś nie ujrzysz na twarzy ormiańskiéj, owéj arogancyi, którą zwykle żydzi oburzają na siebie inne plemiona. Ormianie wyglądają raczéj dobrodusznie, prawie zawsze są uśmiechnięci, jak ludzie z siebie zadowoleni, wzrostu bywają miernego i dobréj tuszy, mówią przeciągle, głosem nosowym, a chociaż zdawien dawna ojczysty swój język w niepamięć puścili, i dziś mówią tylko po polsku, mimo to nie raz słyszałem jak o sobie z naciskiem powtarzali: „My Ormianie!“ Okazuje się z tego, że dotąd uznają swoję odrębność. Polega ona zaś nie na języku i nie na religii, która od rzymsko-katolickiéj tylko tém się różni, że liturgia jest w niéj ormiańską, jeno na odmienności charakteru, będącego wynikiem obcéj rasy. Ormianin, jak i żyd, jest w wysokim stopniu praktyczny, grosza chciwy, w projektach ostrożny, w działaniu wytrwały, a na piękno niezmysłowe całkiem obojętny. Zimny jego realizm nie cierpi ułud i nie lubi zachwytów. Ormianin wzdychający do ideału, i zapalający się dla jakiejś idei szlachetnéj, ale niepraktycznéj, to wyjątek. Będzie on trzymał z każdym rządem i z każdym systemem, byle mu z tém dobrze było, ale dzięki wychowaniu chrześciańskiemu, panuje nad wrodzoną chciwością i umie nawet bezinteresownie być uczci-

wym. Żydzi są kupcami—Ormianie pasterzami. Choć całe powiaty, znajdują się u nas w ich rękach, i lubo u każdego z nich jest dobre gospodarstwo, mimo to nad mozolną uprawę roli, przenoszą oni chów bydła, i wielkie ich majątki płyną przeważnie z tego źródła. Powszechnie utrzymują, że do interesów mają oni więcéj wrodzonego sprytu niż sami żydzi. „Jeden żyd oszuka siedmiu chrześcian—mówi chłop wschodnio-galicyjski—jeden Ormianin siedmiu żydów.“ Choćby i tak było, jednakowoż przebywając od pięciu wieków między nami, ulegli wspólnéj naszéj chorobie, nazywającéj się „życiem nad stan,“ i zwłaszcza w ostatnich czasach zaczęli tracić majątki. A tracą nie jak ludzie cywilizowani, na podróże i romanse z artystkami, na obrazy i pałace, na ekwipaże i wyścigi. Oni trzymając się dotąd zdala od europejskiego ruchu umysłowego (książka u Ormianina to zbytek) trwonią pieniądze głównie na stroje, klejnoty, dobrą kuchnię, wino i karty, gdyż w innych zbytkach dotąd nie zasmakowali. Ich zdolności są bardzo mierne. Ludzi prawdziwie wybitnych próżnobyśmy między nimi szukali, co w taki kłopot wprowadziło ich historyografa, ks. Sadoka Barącza, że ten aby zapełnić swoje dzieło, poświęcone „Sławnym Ormianom w Polsce“ musiał powymieniać wszystkich, którzy po miastach bądź kamienice budowali, bądź rozdawali jałmużny, takich bowiem, co się wynieśli ponad poziom mierności, żadną miarą nie mógł znaleść. Mężem prawdziwie zdolnym między nimi, acz nie pierwszorzędnym, którego nazwisko zostało także w literaturze, był ks. Antoniewicz, kaznodzieja i poeta. Ormianie choć całkiem się spolszczyli, dotąd łączą się najchętniéj między sobą. Wszelako nie zdaje się, by to plemię mogło w Europie tak się doskonale zaklimatyzować, jak żydzi, skoro każde piąte ich małżeństwo jest bezdzietne, a prócz tego zboczenia umysłowe nader często u nich się wydarzają. Chociaż wszystkich Ormian łacińskiego obrządku mamy w Galicyi ledwie 1900 dusz, (kilkaset należy także do cerkwi prawosławnéj), mimo to mają oni we Lwowie swego arcybiskupa. Dzięki tedy im, Lwów jest jedyném miastem na kuli ziemskiéj, w którém ma siedzibę aż trzech arcybiskupów katolickich, trzech rozmaitych obrządków: łacińskiego, greckiego i ormiańskiego. Obecnie arcybiskupem ormiańskim jest ks. Issakowicz, niepospolity kaznodzieja, kapłan swemu zawodowi całą duszą oddany i mąż przez wszystkich kochany. Ponieważ tak mała kolonia nie mogłaby arcybiskupa utrzymać, przeto praktyczni Ormianie założyli przy swojéj kapitule bank zastawniczy, w którym księża są dyrektorami. Dochody zeń płynące, obracają na cele duchowne.

W ostatnich czasach, o Ormianach nierównie jest głośniéj w Galicyi niż było dawniéj, a pochodzi to ztąd, że teraźniejszy namiest-

nik, p. Filip Zaleski, jest po matce spokrewniony z pierwszemi rodami ormiańskiemi, i że jeden z przewódców sejmowych, p. Dawid Abrahamowicz, czystéj krwi Ormianin, przez niewłaściwe zachowanie się w sprawie naftowéj, o czém będę niżéj mówił, zrobił niedawno głośném swoje imię.

II.

Pociąg ruszył ku Ottynii.

Między tém miastem a Kołomyją, niezwykły obraz roztacza się przed naszemi oczami. Wjechaliśmy w okolicę, w któréj nie widać wsi, za to na nie wielkich wzgórzach, biegnących wzdłuż drogi żelaznéj, stoją co kilkaset kroków porządne chaty włościańskie z budynkami gospodarskiemi, prawie przy każdéj rośnie mała dąbrowa, obok ciągną się pola uprawione, na których dojrzała pszenica już na sierp czeka, a bujna kukurydza szerokie liście do góry podnosi, do chat tulą się ogródki warzywne i drzewa owocowe. Każda taka chata wygląda jak malutki folwarczek zagrodowego szlachcica. Gdyby nademną inne niebo płonęło, gdyby te budynki były nie z drzewa, lecz z cegły lub kamienia, i gdyby zamiast płotów rosły tu winnice, zaiste myślałbym, że się znajduję na ziemi włoskiéj, gdzieś między Ferrarą a Bononią, boć i tam nie ma osad zamkniętych, a jeno stoją domostwa po kampanii rozrzucone, ponieważ każdy wieśniak, aby być bliżéj swego kawałka ziemi, osobno się na nim zabudował.

— Panowie? słyszeliście, co się Gladstonowi stało?!—zawołał nagle jeden z moich towarzyszów podróży. Przepadł z kretesem!

— Dobrze mu tak—odpowiedział głos powolny i nosowy. To socyalista! Komunista!

— Święta prawda, mosterdzieju!—trzeci podróżny potwierdził. Minister, który chce wywłaszczyć spokojnych i prawnych właścicieli ziemi, to albo półgłówek, mosterdzieju, albo komunista.

— Nie uda mu się, nie uda!

— Pewnie, że mu się nie uda. Skoro nie pozyskał większości, więc będzie musiał podać się do dymisyi.

— Ale choćby nawet miał większość—głos nosowy drugi raz wtrącił—to jeszcze i wtedy musiałby ustąpić, gdyż na coś podobnego Bismarck pewnieby nie pozwolił.

— Trafna uwaga, mosterdzieju! Niech świat mówi co chce, a ja zawsze będę jedno powtarzał, że co Bismarck, to Bismarck!

Taka rozmowa toczyła się między jadącymi. Spojrzałem na nich. Właściciel głosu nosowego był czystéj krwi Ormianinem, dwaj

drudzy byli to zamożni obywatele z okolic, któreśmy właśnie przejeżdżali. Każdy z nich trzymał w ręku najświeższy numer *Gazety Lwowskiéj*. Niech to nikogo nie dziwi, że ludzie niezawiśli, rolnicy, mający z władzami państwowemi tylko wtedy stosunki, gdy podatki płacą, lub gdy nie mogąc ich w terminie uiścić, muszą u siebie podejmować niemiłą figurę pana sekwestratora; niech to nikogo nie dziwi, powtarzam, jeżeli tacy ludzie czytają u nas gazetę urzędową i wszelką wiedzę z niéj czerpią. Nasza szlachta zawierzywszy na słowo krakowskiéj straży pożarnéj, która na wszelkie możliwe głosy powtarza jéj od lat dwudziestu, że każdéj władzy ślepo słuchać należy, bo ona od Boga pochodzi, przestała mieć własne zdanie, i na wszystko, co rząd centralny mówi, przysięga jak na ewangelią. Udowadnia to lepiéj niż cokolwiek innego, ten arcy smutny i dziwny fakt, że żaden dziennik, w Galicyi wychodzący, nie ma tylu odbiorców między obywatelstwem, co urzędowa *Gazeta Lwowska*. Niegdyś *Gazetę Lw.* trzymały tylko urzędy, które musiały ją mieć obowiązkowo, i wtedy liczba jéj prenumeratorów nie dochodziła 300; odkąd jednak zmarły namiestnik, hr. Agenor Gołuchowski, oddał redakcyą *Gazety* znanemu powieściopisarzowi, p. Władysławowi Łozińskiemu, koło jéj czytelników zaczęło się szybko rozszerzać i dziś liczy ono najmniéj 3,000 stałych odbiorców. Powszechnie mniemano, że p. Łoziński wniósł do *Gazety* wielki zasób niepospolitych zdolności redaktorskich, i tém ją na nogi postawił; tymczasem nic mylniejszego nad to przypuszczenie. *Gazeta* tak dawniéj jak i za jego redakcyi, pod względem politycznym była bezbarwną, gdyż jako pismo urzędowe inną być nie mogła; lecz że prócz pieniędzy z przedpłaty, ma ona jeszcze przeszło 50,000 guldenów rocznie za sądowe ogłoszenia, przeto każdy obrotny redaktor mógł z niéj wiele zrobić. Dawni jéj kierownicy oddawali zyski rządowi; p. Łoziński przeciwnie — całą nadwyżkę zaczął obracać na ulepszenie *Gazety*. Płacił dobrze współpracowników, kupował dobre felietony, drukował tylko oryginalne powieści, słowem robił wszystko, aby pismo jego dla umysłów mniéj bystrych ponętnie wyglądało. Prócz tego jéj objętość jest znacznie większa niż innych dzienników, a cena niższa. Równocześnie w sferze obywatelsko-szlacheckiéj powiał wiatr ultraoficyalny, co także wyszło na jéj pożytek. Że pisarski talent p. Łozińskiego nie dokonał tu żadnéj nadzwyczajności, bo wszystko zimna mamona zrobiła, okazuje się z tego, że chociaż po nim objął redakcyą *Gazety* urzędnik namiestnictwa p. Krechowiecki, który literatem nigdy nie był i ponoś nigdy nim nie będzie, mimo to jest ona dziś tak samo rozpowszechnioną, jak przedtém, i wielu, bardzo wielu szlachciców poczytuje ją za zdrową i jedyną strawę dla swego ducha.

Nigdy nie zapomnę, jakie zdanie o *Gazecie Lwowskiéj* usłyszałem z ust jéj twórcy, namiestnika Gołuchowskiego. Było to w grudniu r. 1873. Na posłuchaniu w pałacu namiestnikowskim było nas dwóch: ja i dawny przyjaciel Gołuchowskiego, p. D'A***. Namiestnik zaczął coś mówić o dziennikarstwie krajowém, a że właśnie dnia poprzedniego prokuratorya skonfiskowała była *Dziennik Polski*, którego wówczas byłem właścicielem, za feileton Jana Lama, poświęcony 25-cioletniéj rocznicy wstąpienia na tron cesarza Franciszka Józefa, przeto namiestnik, zręcznie na ten przedmiot przechodząc, rzekł:

— Dziwi mnie, że panowie nie dajecie pokoju nawet dynastyi. Na mnie i na rząd piszcie, co wam się tylko podoba, ale cesarzowi dajcie pokój, bo jeśli kto, to on jest nam bardzo życzliwy.

— Zdaje mi się—odrzekłem— że wasza ekscelencya zbyt wiele zaszczytu wyświadcza dziennikarstwu niezawisłemu, zwracając na nie swoję uwagę. *Gazeta Lwowska*, zawdzięczająca waszéj ekscelencyi swój rozwój, jest już dziś organem tak wpływowym, że obok niéj słowa nasze pozostaną zawsze bez odgłosu.

Gołuchowski poruszył się niespokojnie i żywo zawołał:

— Mylisz się pan, jeżeli sądzisz, że ja tego pragnę, by gazetę cały świat czytał. Przeciwnie, ja sobie tego nawet nie życzę. Wszak ona może tylko to pisać, co rząd chce, więc gdyby wszyscy ją czytali, kraj nie miałby własnego zdania i w końcu musiałby *zgłupieć*.

Powtórzyłem dosłownie, com wówczas usłyszał z ust najznakomitszego namiestnika Galicyi i prawdziwego męża stanu. Od tego czasu upłynęło lat 13, i *Gazeta Lwowska* stała się codziennėm pożywieniem naszéj szlachty, zwłaszcza w Galicyi wschodniéj. Czy przepowiednia Gołuchowskiego ziściła się — nie wiem; za to wiem, niestety, że kraj stracił resztę samodzielności, i że nasi ojcowie ojczyzny, rekrutujący się przeważnie z grona wiejskiego obywatelstwa, tylko to robią, czego sobie rząd życzy...

Pociąg zaczął wolniéj jechać. Była to zapowiedź, że się zbliżamy do Kołomyi. Wkrótce i ona ukazała się na widnokręgu. Rzadko które miasto ma równie piękne położenie, jak stolica naszych Huculów, których Korzeniowski tak żywo odmalował w „Karpackich Góralach."

Kołomyja rozsiadła się na pięknéj równinie, którą bystry Prut przepływa wśród bujnéj ogrodów zieleni. Za jéj plecami, od południa i zachodu, otaczają ją w półkolu Karpaty, wznoszące się tu w tarasach, których najwyższe szczyty są sinawą mgłą owiane. Mimo że dzień był chmurny, nawet na deszcz się zanosiło, kontury gór rysowały się wyraźnie, gdyż najbliższe z nich wznoszą się o dwie mile za miastem.

Gdym z wagonu wysiadł, uderzyła mnie najpierw wielka dystylarnia nafty, znanego w naszéj literaturze podróżnika, p. Sygurda Wiśniowskiego, którym przed rokiem, podczas wyborów politycznych, odbywających się w Kołomyi, zajmowała się żywo cała Galicya. Ponieważ z jego nazwiskiem była wówczas złączona pewna sprawa zasadnicza, mogąca szersze koła obchodzić, przeto w teraźniejszéj mojéj wycieczce nie mogę jéj milczeniem pominąć.

W bardzo wielu naszych miastach i miasteczkach, a do tych należy także Kołomyja, żydzi mają liczebną przewagę, zaczém idzie, że zarząd gminy znajduje się w ich rękach. Jak na tém miejscowa ludność wychodzi, łatwo się domyśléć. Gdziekolwiek na czele gminy stał burmistrz-żyd, z góry można być pewnym najgorszéj gospodarki. Korrupcya, popieranie żydowskich interesów, bezrząd, wszystko się tam zagnieżdża. Skutki żydowskiéj gospodarki widzieliśmy przed trzema miesiącami w Stryju, który w biały dzień spłonął do szczętu, bo dzięki jego burmistrzowi, p. Fruchtmanowi, miasto nie miało straży pożarnéj i ani jednéj porządnéj sikawki. Kołomyja zostawała przez lat dwadzieścia pod rządami dra Trachtenberga, również żyda. Stosunki musiały tam być arcyprzyjemne, skoro prócz chrześcian, w końcu zaczęła na burmistrza sarkać także znaczna część żydów, lecz byli oni jeszcze zasłabi, by go mogli obalić. Rok właśnie temu rozpisano wybory do sejmu lwowskiego parlamentu. O mandat z miasta Kołomyi, gdzie chrześcianin pewnieby nie przeszedł, postanowiło ubiegać się aż dwóch kandydatów-żydów. Bloch, rabin z okolic Wiednia, i Byk, adwokat lwowski. Każdy z nich krótko się nazywał, lecz ważył wiele, gdyż za każdym stało kilka tysięcy wyborców. Pierwszy posłował już dawniéj z Kołomyi, drugi dopiero teraz chciał zostać posłem. Pierwszy, acz żyd niemiecki, należał w Wiedniu do Koła polskiego i nigdy nie głosował przeciw galicyjskim interesom; drugi dopiero przyrzekał do Koła polskiego należéć, lecz czyby był słowa dotrzymał, zachodziło jeszcze wielkie pytanie, ponieważ we Lwowie znano go oddawna jako gorliwego poplecznika germanizmu, a kilka lat temu był on nawet prezesem wrogiego naszéj narodowości stowarzyszenia żydowskiego „Schomer-Israel.“ Mimo to kandydatura Byka została ogłoszona przez lwowski komitet wyborczy jako „narodowa“ — Blocha zaś jako „antynarodowa.“ Dlaczego? Chyba Bóg wié.... W najlepszym razie, jeden od drugiego na włos się nie różnił. Jeśli o kim, to o nich można było powiedziéć, że wart był Pac pałaca, a pałac Paca. Przestraszony Bloch, gdyż jego przeciwnik nie szczędził pieniędzy, udaje się do chrześcian kołomyjskich, na których czele, jako głowy widome, stali pp. Sygurd Wiśniowski i inżynier Stanisław Szczepanowski i pro-

ponuje im układ następujący: „Jeżeli mi dopomożecie zwyciężyć przy wyborach, wtedy ta część żydów, która za mną będzie głosowała, wesprze was w walce z burmistrzem Trachtenbergiem i jego kliką, poczém będziecie mogli wybrać taką radę miejską, w któréj chrześcianie uzyskają większość.“ Byk ze swéj strony, prócz gołosłownych sympatyi, nic więcéj miastu nie ofiarowywał. Rzecz prosta, że ktokolwiek pragnął poprawy stosunków w Kołomyi, musiał przystać na propozycyą Blocha, zwłaszcza że ani jego wybór, ani wybór „narodowego“ Byka nie wpływał na bieg polityki naszéj delegacyi. Stanął tedy kompromis. Pan adwokat nie zasypiał jednak gruszek w popiele; rzucał pieniądze w prawo i w lewo, w końcu przywiózł nawet ze Lwowa znanego agitatora lwowskiego, ś. p. Jana Dobrzańskiego i przy jego pomocy chciał koniecznie swoim wyborem ojczyznę uszczęśliwić. Los mu nie dopisał — Bloch został wybrany. Zachodzi teraz pytanie, czy pp. Wiśniowski i Szczepanowski działali dla kraju, a właściwie dla miasta, które posła wybierało, pożytecznie, czy też szkodliwie? Chociaż zdawało by się, że pod tym względem nie powinno by być żadnych wątpliwości, zwłaszcza że dzięki ich energii Kołomyja ma już dziś chrześciańskiego burmistrza, mimo to niektórzy nasi „patryoci“ wykrzykują wciąż na W. i Sz., jakoby ci panowie dopuścili się jawnéj zdrady kraju. Według nich, lepiéj było wybrać Byka i zgubić miasto, niż oddać głosy na Blocha i tém miasto od złéj gospodarki wybawić. Tak wygląda argumentacya naszych polityków lwowskich.

W całéj téj sprawie, która przez dłuższy czas w wysokim stopniu zajmowała u nas uwagę powszechną, rolę niewdzięczną i smutną odegrał Jan Dobrzański. Człowiek, który spolonizował Lwów i dźwignął ducha narodowego w Galicyi, agitator-dziennikarz, z którym sam rząd zawsze się liczył, gdyż namiętna jego działalność nieraz mu plany krzyżowała; mąż, który niegdyś trząsł wszystkiém i wszystkimi, który jednych posłów usuwał, a drugich narzucał i który nawet wpływał na nominacyą namiestników, taki człowiek pojechał z dr. Bykiem do Kołomyi i tam przemawiał za jego wyborem! Uczynił to zaś nie dlatego, iżby był przekonany o szczególném posłannictwie swego kandydata, nikt bowiem przeciw żydom namiętniéj w Galicyi nie agitował, niż ten sam Dobrzański przed laty dziesięciu, lecz ponieważ jego gwiazda już była przybladła, a on chciał jeszcze koniecznie coś znaczyć, więc puścił się z Bykiem do Kołomyi, by zaspokoić febrę agitacyjną, która go trzęsła przez całe życie. Pragnął na swojém postawić, tymczasem zrobił fiasco. Smutny obraz upadłéj wielkości!...

III.

Za pięć guldenów dwukonna dorożka, wprawdzie nie taka elegancka jak warszawska, za to o wiele wygodniejsza i przyzwoitsza niż berdyczowska, zawiezie cię do Słobody Rungurskiéj, odległéj od Kołomyi o trzy mile.

Przejeżdżasz miasto wcale dobrze zabudowane, mijasz most na Prucie, obok niego budują drugi pod koléj żelazną, która w jesieni r. b. połączy Kołomyję ze Słobodą; poczém szosą dość szeroką i dobrze wysypaną jedziesz ku górom.

Nieprzyjemnie mnie uderzyło, że inżynierowie zajęci przy budowie kolei, rozmawiali po niemiecku. Czyżby to znaczyło, że własnych sił nie mamy i musimy do kraju cudzoziemców sprowadzać? Jużem chciał jakiegoś jegomości, który przy nasypie stojąc robotników obliczał, zapytać, jakaby tego była przyczyna, gdym sobie przypomniał, że budowę téj kolei prowadzi osławiony Laenderbank wiedeński. Ileż to nadziei wiązano niegdyś z tym bankiem, i z jakim zapałem podnoszono zasługi ówczesnego marszałka krajowego, hr. Ludwika Wodzickiego, że ten z poświęcenia porzuca honorowe stanowisko w Galicyi i idzie na gubernatora Laenderbanku! Niejeden myślał, że wielka ta instytucya biedny nasz kraj na nogi postawi. Tymczasem od kilku lat stała się ona bardziéj lichwiarską niż każda inna. Ani w Austryi, ani w Serbii nie ma tak brudnéj sprawy, w któréj-by Laenderbank palców nie umoczył, a teraz, gdy koléj w Galicyi buduje, uszczęśliwia nas niemieckimi inżynierami, chociaż w kraju mamy równie zdolnych. Zaiste, warto było poświęcić się i stanąć na czele takiéj instytucyi!...

Moja dorożka toczy się trochę wolniéj, bo koniom żal miasta, do którego wrócą dopiero późnym wieczorem, niebo wypogadza się, powietrze robi się czyste i ciepłe. Mój woźnica to człek mowny i wesół. Zna on doskonale okolicę i miejscowe stosunki.

— Co to za fabryki? — pytam go, pokazując na rozmaite zabudowania, stojące za miastem, z których czarny dym bucha.

— To same dystylarnie nafty, proszę pana. Dokoła Kołomyi mamy ich siedm. Kilka z nich jest chrześcijańskich, reszta żydowskie. Największa, pana Szczepanowskiego, znajduje się ztąd o dwie mile, w Peczyniżynie.

Zacząłem go wypytywać o stosunki ekonomiczne téj okolicy. Z rzadką bystrością umysłu i znajomością rzeczy, opowiedział mi, jak dawniéj górale kołomyjscy, nie mieli czasem nawet kawałka owsianego chleba, gdy przeciwnie teraz, dzięki nafcie, każdego czasu

mogą znaleźć uczciwy zarobek. Z największym zaś uwielbieniem mówił o samym p. Szczepanowskim, którego poczytuje za twórcę miejscowego dobrobytu.

Na drodze ku Peczyniżynowi, spotykam wieśniaków, w krótkich ubraniach z grubego sukna bronzowego, które oni sami wyrabiają, w chodakach i w szerokich kapeluszach. Obok nich postępują kobiety w czerwonych sukiennych spódnicach, z dużemi paciorkami na szyi i w koszulach różnobarwnie wyszywanych. Tak mężczyzni, jak niewiasty, mają płeć śniadą, bladawą, czarne, długie włosy, układające się niekiedy w piękne kędziory, i duże, czarne oczy. Między kobietami zdarzają się często skończone piękności. Są to Huculi. Lud piękny, jak rzadko gdzie, lecz nie nasz. Widocznie przyszedł on gdzieś z daleka, z za gór, bo gorące niebo południowe przyćmiło mu cerę, a włosy na węgiel spaliło. Stokroć więcéj są oni podobni do Słowaków i Kroatów, mieszkających za Karpatami, niż do Słowian wschodnio-północnych jasnowłosych i białolicych. Moralność między Huculami jest zupełnie rozluzowana. Przypominają tém Wołochów. Opuściwszy góry, ciągną oni teraz tysiącami na doły, tam bowiem zaczęło się już żniwo, gdy tym czasem u nich, jedyny artykuł ich zimnéj ziemi, owies, dopiero za dwa miesiące będzie gotów pod kosę. Na wyższych szczytach Karpat widać dotąd duże płaty śniegu.

Co kilkaset kroków wymijam bryki wiozące albo surowicę do dystylarni kołomyjskich, bądź téż wracające do Słobody z próżnemi beczkami. Ci, co na brykach siedzą, są czarni, brudni, ropą powalani, czuć ich na pięćdziesiąt kroków, istne diabły w ludzkiém ciele. Napisy na beczkach są wszystkie amerykańskie. Ponieważ wiem, w jakim kraju mieszkam, więc zamiast dziwić się lub gorszyć, uśmiecham się z politowaniem. Ludzie z tak wielkiém niedowierzaniem spoglądają dotąd na przemysł polski, że nawet naszéj nafcie musimy dawać etykietę amerykańską, gdyż inaczéj niktby jéj nie kupił.

Przyjeżdżam do Peczyniżyna. Miasteczko liche, brudne, na wskróś żydowskie, jedno z najgorszych w Galicyi, a chociaż jest tu urząd pocztowy i sąd pierwszéj instancyi, z przejezdnych niktby się w niém pewnie nie zatrzymywał, gdyby nie wielka dystylarnia p. Stanisława Szczepanowskiego, stojąca na wzgórzu. Już z daleka widać las kominów i budynki rozległe. Całość robi jak najlepsze wrażenie. Od pierwszego wejrzenia poznajesz, że jest to porządna fabryka, w całém znaczeniu tych wyrazów, i że ten, kto nią kieruje, musi być człowiekiem fachowym. Przed zabudowaniami wznosi się olbrzymia piramida z próżnych beczek, podobna do téj, którą tępiciel rodu ludzkiego, Tamerlan, kazał ułożyć w pobliżu Samarkandy

z czaszek pokonanych nieprzyjaciół. W fabryce ruch wielki. Czyszczą naftę, wydobywają z niéj oleje, które odchodzą ztąd do Włoch i robią parafinę. Nie myślę jéj bliżéj opisywać, gdyż toby nikogo nie zajęło. Fabryk na świecie jest już tyle, a chociaż każda z nich co innego wyrabia, jednakowoż odkąd para zastąpiła w nich ludzkie ręce, wszystkie one zrobiły się do siebie podobne. P. Szczepanowski, człowiek jeszcze młody, ledwie trzydziestokilkoletni, energiczny, wszechstronnie wykształcony, przytém niepospolitych zdolności inżynier, spędził lat kilkanaście w szkołach angielskich. Ztamtąd téż przywiózł cnoty tak bardzo nam potrzebne, jak zamiłowanie porządku, dokładność i sumienność w pracy i prawdziwie angielską skrupulatność w interesach. Nim do Galicyi przyjechał, nie jeden przedsiębiorca szukał już nafty w Słobodzie Rungurskiéj, lecz że żaden z nich nie prowadził eksploatacyi jak należało, więc i kopalnie zostały całkiem zdyskredytowane. Dopiero p. S. zawiązawszy kilka spółek, rozporządzających znacznemi kapitałami, zaczął racyonalnie wiercić studnie, i po kilku leciech do tego doprowadził, że dziś Słobodę słusznie polską Pensylwanią nazywają. Nie długo potém założył on w Peczyniżynie olbrzymią dystylarnię, jednę z największych w Europie i przy niéj zamieszkał, w Słobodzie zaś ma pełnomocnika, dra Fedorowicza. Po zwiédzeniu fabryki ruszyłem do kopalni.

Droga wiedzie odtąd wąwozem, i łagodnie wspina się pod górę. Środkiem wąwozu płynie mały strumyk górski, który na przestrzeni jednéj mili, trzeba przejechać nie mniéj niż 27 razy. Woda ropą w nim zabarwiona, jest biaława, jakby z mlekiem zmieszana, na powierzchni zaś swojéj mieni się rozmaitemi barwami, niby perłowa macica. Gęsi, które tu widziałem, były wszystkie jakby w czokoladzie skąpane. Rzecz szczególna, że woda w któréj żadne stworzenie nie żyje, im nie szkodzi. Co do kaczek, tych do saméj Słobody nigdzie nie spotkałem.

O milę za Peczyniżynem, wąwóz zakreśla małe półkole. W tém miejscu znajdują się kopalnie. Kącik jest zaciszny i bardzo piękny. Dokoła wznoszą się niewielkie wzgórza, liściastém drzewem porośnięte, a dopiero za niemi widać wysokie grzbiety Karpat, pokryte jodłą, świerkiem i jałowcem. Zieleń jest tu bardzo żywa, a lasy tak są zaszanowane, że nigdzie w nich zrębu nie dojrzysz. Przyczynia się to może najwięcéj do podniesienia piękności tego ustronia. Minąwszy szczątki bramy tryumfalnéj, wzniesionéj przez nafciarzy na uczczenie marszałka krajowego, dra Zyblikiewicza, który interesując się wielce przemysłem krajowym, niedawno temu zwiédzał tutejsze kopalnie, wjechałem do właściwéj Pensylwanii. Na przestrzeni może

dwudziestomorgowéj, która z dwóch stron stacza się łagodnie ku strumykowi, wznosi się kilkaset drewnianych piramid, wielce podobnych do rusztowań mierniczych. Nie Ramzes je tu postawił, lecz skrzętny przemysłowiec XIX wieku, szukający w ziemi nafty, a z nią bogactwa. Wewnątrz każdéj piramidy znajdują się liny, na których wiszą świdry, wiercące studnie. Ponieważ głównym motorem jest tu para, nie siła ludzka, więc i robotników widać w Słobodzie stosunkowo nie wielu. Za to huczy tu jak w garnku, z licznych zaś kominów, wylatuje dym z rykiem i piskiem, wszystkich lokomobil jest teraz w ruchu przeszło 100. Wiercenie odbywa się sposobem kanadyjskim, który jest szybszy i pewniejszy niż każdy inny. Prócz oryginalnych Kanadyjczyków, sprowadzonych z zamorza, znajduje się już kilkudziesięciu Mazurów, którzy wyuczywszy się wiercenia kanadyjskiego, robią teraz skuteczną konkurencyą obcym gościom. Studnie znajdują się obok siebie gęsto, czasem ledwie o kilkanaście kroków jedna od drugiéj. Niektórych głębokość dochodzi do 300 stóp. Na wzgórzach świecą białemi ścianami schludne domki nafciarzy. Dokoła nich porządek wzorowy, a przed oknami nie brak nawet kwiatów. Jak wielka różnica zachodzi między Słobodą a Borysławiem, który w roku ubiegłym opisywałem na tém miejscu! Tam nie widać nic krom żydów, błota i obdartych chałup; przeciwnie tu rzadko gdzie ujrzysz żyda, a w koło panuje ład i porządek. Zachodzi również wielka różnica w losie ludu tych dwóch miejscowości. W Borysławiu i w jego okolicy, chłop, pierwotny właściciel gruntów, rozpity i rozleniwiały, bądź zaginął, bądź wiedzie żywot mizerny pod demoralizującym wpływem eksploatatorów. Przeciwnie górale Rungurscy, to lud znajdujący się na drodze do dobrobytu, bo styka się z ludźmi mającymi sumienie, wiedzę i pracowitość, a nie z takimi, którzy rozbójnicze gospodarstwo prowadzą. Włościanie: Prokop Greczuk, Łeś Popowicz, Jurko Bojańczuk i Teodor Ostapiuk, którzy we dwa tygodnie po méj bytności w Słobodzie, zabierali głos na wiecu nafciarzy w Kołomyi, złożyli dowody, że pojmują bardzo dobrze społeczne znaczenie tego przemysłu, który ich wydarł z objęć nędzy, oswobodził z rąk egzekutorów podatkowych i stworzył dla mnóstwa rodzin źródło pięknego zarobku. Wraz z dobrobytem ludu, podnoszą się dokoła wszystkie miejscowości, a na ich czele Kołomyja. Zauważył to nawet sam marszałek krajowy. Czemu jednak w Borysławiu jest tak źle, a w Słobodzie tak dobrze? Bo tu kopalnie znajdują się w rękach chrześciańskich, a tam nie. Oto krótka, lecz mimo to prawdziwa odpowiedź.

Na studniach w Słobodzie, widać najczęściéj nazwisko p. Wolfarta. Pochodzi on z rodziny niemieckiéj, oddawna w Galicyi osia-

dłéj, a jeszcze lat temu kilka był sędzią w miasteczku Wojniłowie. Posiadając niewielki mająteczek, zaczął w Słobodzie szukać nafty, lecz z początku jakoś mu się nie wiodło. Była nawet chwila, że jego zasoby materyalne całkiem się już były wyczerpały. Wtedy zgłosili się doń jacyś przedsiębiorcy francuscy i za studnie, w których dotąd prawie nic nie było, ofiarowali mu znaczną sumę. Pan W. nie przystał jednak i dobrze zrobił. Wkrótce potém nafta tak mu buchnęła, że do roku przestał być sędzią, kupił rozległe dobra i dziś należy do najbogatszych przemysłowców w Galicyi. Tak samo jak p. Wolfart, zrobiło już u nas wielu innych nafciarzy znaczne majątki. Byli jednak i tacy, którzy wszystko, co mieli, w studniach potopili. Tego, kto raz nafty zaczął szukać, opanowywa najczęściéj dziwna jakaś gorączka, podobna wielce do téj, co w Monaco szulerów pożera. Ponieważ można się czasem przez jednę noc wzbogacić, nieraz bowiem zdarza się, że świder wywierci taką studnię, która po 150 beczek nafty dziennie daje, przeto ktokolwiek na to pole się rzucił, wciąż marzy o żyle złotodajnéj, i robi się powoli tak jednostronnym, że o czém inném niż o nafcie nawet z nim mówić nie można. Obok p. Wolfarta, największymi przedsiębiorcami w Słobodzie są pp. Szczepanowski, Torosiewicz, żyd Rosenkranz i spółka francuska. Rosenkranz na tydzień przed moim przyjazdem wywiercił studnię, która mu daje dziennie po 100 beczek surowicy. Wogóle żydzi, z namiętnością, właściwą ich rasie, gdy o prędki zysk idzie, rzucają się na oślep do tego przemysłu, lecz z wyjątkiem Borysławia, nigdzie go dotąd nie opanowali. Tak w Słobodzie, jak w Gorlicach, w tych dwóch głównych centrach nafciarstwa galicyjskiego, przewagę mają dotąd chrześcianie i prawdopodobnie już jéj tam nie stracą. Okazuje się z tego, że i Polacy mogą rozmiłować się w przemyśle, byle mieli dla niego realną podstawę. Co jednak w téj sprawie na szczególniejszą uwagę zasługuje, to okoliczność, że nafcie zawdzięczamy ducha asocyacyi, który dopiero teraz zaczyna budzić się w naszém społeczeństwie. Ponieważ jedna studnia kosztuje mniéj więcéj 6,000 guldenów, a na taką kwotę nie każdy może się zdobyć, przeto powstają u nas spółki z udziałami po kilkaset guldenów, do których wchodzą ludzie najrozmaitsi: zawodowi przemysłowcy, obywatele wiejscy, kupcy, nawet urzędnicy i księża. Ile dziś cała Galicya nafty produkuje, nie da się dokładnie obliczyć; w przybliżeniu tylko wiemy, że jéj roczna wartość, dochodzi poważnéj kwoty 10 milionów guldenów. Sama Słoboda, wraz z dystylarniami kołomyjskiemi płaci rządowi około 600.000 guldenów podatku, zatém więcéj, niż wszystkie inne podatki w powiecie kołomyjskim razem wynoszą. Dotąd główne źródła naftowe znajdują się w powiatach:

gorlickim, liskim, sanockim, drohobyckim i kołomyjskim, w ostatnich zaś czasach zaczęto także wiercić studnie w powiecie kałuskim. Ponieważ wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, cały pas podkarpacki, mający 170 mil długośoi, jest naftodajny, przeto bardzo być może, że za lat kilkanaście teraźniejsza produkcya dziesięćkrotnie się powiększy.

Zdawało by się, że kraj, który po wyczerpaniu wszystkich swoich soków, do czego i rząd centralny w znacznéj mierze się przyczynił, znalazł u siebie niespodziewanie nowe źródło dochodów i bogactwa, że taki kraj powinien by choć teraz liczyć na szczególniejszą pomoc i opiekę tegoż rządu. Takby się zdawało, lecz niestety tak nie jest... Jak wszystko, tak i przemysł naftowy w Galicyi ma już swoję martyrologią. Znany w całym świecie fiskalizm austryacki, prześladuje go od urodzenia, czy to w postaci najrozmaitszych przepisów i rozporządzeń, utrudniających dobywanie surowca, czy téż w formie wygórowanych opłat konsumcyjnych, które nie pozwalają producentom tanio dystylatu sprzedawać. Nafta jednak galicyjska dałaby sobie jeszcze radę z krótkowidzącym i złośliwym fiskalizmem, i dzięki swojéj ilości, mogłaby z czasem zaspokoić potrzeby czterdziestomilionowéj monarchii, gdyby nie to, że na targach austryackich znalazła niebezpieczną współzawodniczkę, któréj podołać nie może. Jest nią nafta kaukaska, sprowadzana do nas w sposób wielce nieprawidłowy. Rzecz się ma tak. Od dystylowanéj nafty zagranicznéj, czy to amerykańskiéj, czy kaukaskiéj, cło na komorach austryackich jest dotąd znaczne, i dlatego nafta amerykańska z Austryi dawno już ustąpiła. Przedsiębiorcy z Baku bojąc się, by taki sam los ich nafty nie spotkał, wpadli na szatański pomysł. Oto naftę u siebie dystylowaną zabarwiają oni w ten sposób, że na 85% czystego i palnego materyału (w surowcu jest tylko 65%) dodają ledwie 15% części niepalnych, i taki falsyfikat, pod nazwą surowca, od którego na komorach prawie nic się nie płaci, przywożą okrętami do portów austryackich. Dla nafty w ten sposób przemycanéj, żydzi: Freund, Deutsch i Hochsteter, wespół z Rothschildami i rządem węgierskim, który przystąpił do nich jako akcyonaryusz, założyli w Riece, w Tryeście i w Peszcie ogromne dystylarnie. Falsyfikat kaukaski tanim kosztem i prędko w nich odczyszczany, rozchodzi się potém po całéj Austryi i robi szaloną konkurencyą nafcie galicyjskiéj. Z ceną nafty kaukaskiéj, w ten sposób sprowadzanéj, my żadną miarą nie możemy skutecznie współzawodniczyć, ponieważ koszta eksploatacyi w Baku, gdzie ropa znajduje się tuż pod powierzchnią ziemi, są nierównie mniejsze niż u nas, a transport wodą

do portów austryackich także nie wiele kosztuje. Nafciarze galicyjscy dowiedziawszy się o tém przemytnictwie, udali się natychmiast do rządu ze skargą, ale choć dowodami prawdziwość swoich słów poparli, odpowiedziano im jednak, że sprawa ta będzie dopiero wtedy rozstrzygniętą, gdy na stół przyjdzie odnowienie ugody austro-węgierskiéj. Przed dwoma miesiącami parlament wiedeński zaczął obradować nad tą ugodą. Nafciarze galicyjscy wysyłają czémprędzéj deputacyą do Wiednia, aby ta, pod wodzą p. Szczepanowskiego, poparła osobiście ich interesy. Ponieważ minister finansów, p. Dunajewski, układając warunki nowéj ugody z Węgrami, żądał, by od surowca kaukaskiego, pod którym rozumiał także sztuczny ów falsyfikat, cło na 1 guld. 40 cnt. od cetnara metrycznego było podniesione, co bynajmniéj dla nas korzystnie sprawy nie załatwiało, bo i wtedy przemytnictwo kwitłoby jak dotąd, przeto między posłami niemieckimi znalazł się jeden, nazwiskiem Suess, który postawił wniosek, zmierzający wprost do tego, *iżby przywóz falsyfikatu kaukaskiego był raz nazawsze wzbroniony.* Zdaniem wszystkich ludzi bezstronnych, w inny sposób nie można téj sprawy załatwić. Nietylko interes sześciomilionowéj prowincyi domaga się takiéj ustawy, ale także moralność państwowa i interes całéj monarchii, która, jak to dokładnie obliczono, wskutek przywozu kaukaskich falsyfikatów, traci rocznie w cle około 5 milionów guldenów. Słuszność po stronie Suessa musiała być wielka, skoro Koło polskie w pierwszéj zaraz chwili *jednogłośnie* postanowiło go poprzéć. Aliści tydzień nie minął, a postać rzeczy całkiem się zmieniła. Gdy p. minister finansów zaczął grozić to swoją dymisyą, to rozwiązaniem Izby, sędziwy prezes Koła polskiego cofnął się ze swymi adherentami, i ze swéj strony postawił tylko nowy wniosek, podwyższający cło od surowca na 2 guldeny. Izba przyjęła go większością ledwie *dwóch* głosów, co najlepiéj wskazuje, jak dalece był on niepopularny, a teraz p. Dunajewski ma się o to starać, by i Węgrzy nań przystali. Nafciarze opuścili Wiedeń rozczarowani. Myśleli, że Koło polskie, mając w ręku klucz od całéj sprawy, weźmie w opiekę ich interesy, tymczasem ono pierwsze ich opuściło, a tylko Niemcy przy nich zostali. Dawniéj, gdy nas pytano, czemu przemysł nie podnosi się w Galicyi, mogliśmy przynajmniéj odpowiedziéć na nasze usprawiedliwienie, że nie myśmy temu winni lecz rząd, bo on każdą gałąź przemysłu u nas zabija, lecz co dziś powiemy? Tym razem nie rząd i jego fiskalizm, ale my sami zaszkodziliśmy naszym interesom. Przez zbytnią uległość dla pana ministra finansów, w roku ubiegłym podkopaliśmy nasze gorzelnictwo, dziś padła znów ofiarą nasza nafta. Co będzie jutro? Pod-

czas gdy taką porażkę ponieśliśmy w Wiedniu, obywatelstwo obwodu stryjskiego wybrało swoim delegatem do rady państwa inżyniera Szczepanowskiego, co z całą słusznością należy poczytywać za głośny protest przeciw nieoględnéj polityce ekonomicznéj, a prócz tego nafciarze zaczęli zwoływać wiece, aby się naradzić nad nowemi środkami obrony. Tak w Gorlicach jak i w Kołomyi zapadła na wiecu uchwała, żeby udać się jeszcze do izby wyższéj i prosić ją o odrzucenie wniosku Grocholskiego, przyjętego przez izbę niższą, a jeźli to nie nastąpi zamierzają nafciarze wysłać deputacyę do cesarza. Prócz tego p. Szczepanowski wygotował obszerny memoryał w tym przedmiocie, i jak wieść niesie, cesarz otrzymał go już bez wiedzy swego rządu. Powiadają, że monarcha miał tem być bardzo zgorszony, że dla dobra kilku milionerów, za którymi stanął rząd węgierski, starają się podkopać przemysł całéj prowincyi. Że przemysł naftowy, w razie wprowadzenia w życie wniosku Grocholskiego, znalazłby się u nas w rzeczy saméj w nader ciężkiéj pozycyi, to najmniejszéj wątpliwości nie ulega. Już dziś tak w Kołomyi jak w Gorlicach zmniejszono roboty, gdyż eksploatacya na większą skalę przestała się opłacać. Zresztą nie sposób nawet przewidziéć, dokąd falsyfikat kaukaski mógłby nas jeszcze zaprowadzić. Koléj Karola Ludwika buduje właśnie w Podwołoczyskach olbrzymie zbiorniki żelazne, do których bracia Nobel z Baku będą zlewali zapasy swego niby surowca, zkąd potém będzie się on rozchodził po całéj Austryi. W ten sposób będziemy z dwóch stron zaatakowani: od morza i od lądu. Czy i ten ogień krzyżowy, nasz przemysł naftowy przetrwa szczęśliwie, przyszłość to dopiero okaże. W każdym razie nasi nafciarze dobrze robią, że nie zasypiają gruszek w popiele, lecz bronią się jak mogą.

Zachodzi teraz pytanie, co właściwie skłoniło większość naszéj delegacyi do zajęcia w sprawie naftowéj tak niefortunnego stanowiska. Ponieważ o złą wolę i chęć szkodzenia krajowi, największy nawet nieprzyjaciel p. Grocholskiego nie może go posądzić, przeto radzi nieradzi musimy sobie powiedziéć, że nic innego nie jest powodem téj nowéj klęski, tylko chwiejność polityki naszéj delegacyi. Pierwsza lepsza pogróżka przestrasza ją, chęć utrzymania ministra finansów ma dla niéj większe znaczenie, niż dobrobyt kilkunastu tysięcy nafciarzy, a o potędze Węgrów ma ona, niestety, tak wielkie wyobrażenie, że nie ośmiela się nawet wystąpić z nimi do walki. Polityka lękliwa, niezdecydowana, oto nasza pięta achillesowa. Dotychczas trzymała się téj polityki głównie prawica, do któréj należą stronnictwa krakowskie i podolskie, lecz w sprawie naftowéj połą-

czyła się z nią także część środka sejmowego, który dotąd okazywał więcéj od prawicy samodzielności i energii. Frakcya ta pod wodzą p. Dawida Abrahamowicza, głosowała za wnioskiem Grocholskiego. P. Abrahamowicz wystąpił nawet publicznie w dziennikach z obroną polityki delegacyjnéj i zapowiedział obszerną broszurę, w którój tę sprawę szeroko rozbierze i wszechstronnie rozjaśni. Jego imię stało się w ten sposób głośne w Galicyi, i żałować tylko należy, że z blasku, który go otacza, na kraj nasz ani jeden promień nie spłynie.

1 Sierpnia 1886.

Józef Rogosz.





KOTLINA PRYPECI I BŁOTA PIŃSKIE

POD WZGLĘDEM PRZYRODNICZYM.

III.

Widzieliśmy już poprzednio, że zjawisko, które na Polesiu i w innych częściach kraju naszego (jak np. nad górnym Dniestrem) nazwą błot bywa oznaczaném, rozwija się pod wpływem świata roślinnego i jest jego dziełem. Jak las powstaje przez nagromadzenie drzew, a łąka przez nagromadzenie roślin zielnych, tak i błota powstają przez nagromadzenie i wspólny rozwój rozmaitych gatunków roślin, których ogólna własność polega na tém, iż do istnienia swojego wymagają zarówno ziemi jak i wody, iż są istotami ziemnowodnemi. Liczba roślin, jakie żyją po moczarach naszych, jest bardzo znaczna a że ugrupowanie ich zależy zarówno od jakości gleby, jak i wody, przeto téż i skład błot nie wszędzie jest jednakowy; jakoż mogą one przybierać postać szuwarów, torfowisk, moczarów, trzęsawisk, oczeretów itd. a nazwa błoto oznacza w ogólności formacyą roślinną właściwą glebie mokréj.

Przypatrzmy się teraz zbliska, w jaki sposób powstała ta roślinność, jaki jest jéj stan obecny i jakim w przyszłości, czy sama przez się, czy pod wpływem człowieka, uledz może przeobrażeniom.

Zanim podróżny, zmierzający ku brzegom Prypeci, dotrze do owych niezmierzonych moczarów, które na Polesiu, z powodu braku drzew i krzewów nazwą hał bywają oznaczane, musi przebyć szeroki pas lasów, w pośrodku których napotka liczne błota, już to mniejszych już większych rozmiarów, które podróż w téj części kraju nie mało utrudniają a lasom Polesia właściwą nadają cechę. Różnią się te błota od hał właściwych tak pod względem roślin, jakie w skład

ich wchodzą, jako też i pod względem przeobrażeń, jakim w ciągu długich wieków ulegają a te własności dały powód do nadania im osobnéj nazwy. Są to bez wyjątku torfowiska a ogólna ich cecha polega w tém, że przeważny udział w rozwoju ich biorą mchy, należące do rodzaju torfowca (*Sphagnum*). Torfowiec, którego na Polesiu sześć gatunków rozróżniłem, jest łatwym do poznania, bo zanurzony w wodzie odznacza się zieloną a wydobyty z niéj i wysuszony przybiera jasno płową barwę. Łodyga jego jest pokryta z rzadka krótkiemi, zwężonemi i zwieszonemi gałązkami, które na jej wierzchołku kupią się, wytwarzając pewien rodzaj gęstej czupryny, w pośród któréj ukazują się niekiedy na krótkich szypułeczkach torebki owocowe, ciemnéj, brudno czerwonéj barwy. W głębszéj wodzie torfowce żyją zupełnie zanurzone i sterczą po nad jéj powierzchnią tylko wierzchołkiem łodygi, ale rosną bujnie i na glebie wilgotnéj, którą pokrywają w postaci wiotkiéj, miękkiéj darniny. Darń taka chłonie z niezwykłą szybkością i przechowuje wilgoć i dlatego nawet wtenczas, gdy z powodu dłuższéj posuchy obeschnie powierzchownie, wnętrze jéj jest zawsze wodą wypełnione. Torfowce należą do najpospolitszych roślin w naszych borach sosnowych a chociaż rzadko owocują, to drobniutkie ich zarodniki unoszą się z łatwością w powietrze i padają obficie na ziemię, w skutek czego występują one wszędzie tam, gdzie gleba posiada stały zasób wilgoci, a zatém po rowach i zagłębieniach, czy to sztucznych, czy naturalnych. Rozwój torfowców odbywa się zazwyczaj bardzo szybko. Wodę po rowach i dołach wypełniają one w ciągu lat kilku nawskróś a glebę przesiąkłą wilgocią pokrywają również w krótkim przeciągu czasu, wytwarzając jednostajną darninę.

W pośród torfowców ukazuje się równocześnie kilka innych roślin wyższéj ustrojności, pomiędzy którémi zwracają szczególniéj na siebie uwagę t. z. wełnianki, trawy ciborowate, których kłoski pokrywają się w lecie delikatnemi włoskami śnieżnéj białości. Rosną téj wełnianki u nas trzy gatunki, wszystkie po moczarach, lecz jedna z nich o kłosach samotnych, jajowatéj postaci t. z. wełnianka pochewkowa, jest wyłączną torfowisk własnością. Ukazują się z czasem inne trawy ciborowate i kilka roślin kwiatowych wyższéj ustrojności. Po brzegach starszych torfowisk rosną zazwyczaj obficie drobne krzewinki, jak żurawina, łochynia, modrzewnica i świnie bagno, także rozmarynem leśnym nazywane, a w lasach na południowéj granicy hał poleskich położonych znajdowałem w kilku miejscach azaleę pontyjską, krzew azyatyckiego pochodzenia, zwracający na się uwagę z powodu wielkich i kształtnych kwiatów, pomarańczowéj barwy, o właściwym małym zapachu, nazywaną na Polesiu turec-

kiem bagnem (tureckij bahon). Krzew ten nie rośnie zresztą nigdzie więcéj w Europie, jest niezaprzeczenie największą ozdobą naszéj flory, i wspomnimy jeszcze późniéj obszerniéj o nim. Po głębszych torfowiskach, obfitujących w większe zasoby wody, można spotkać na pewne siedempałecznik (*Comarum palustre*) bobrek trójlistny i czermień (*Calla palustris*). Kiełkują na torfowisku różne gatunki wierzb, i nasze drzewa leśne, przedewszystkiém brzoza i sosna, i rosną dobrze, gdzie zasób wody nie jest zbyt wielki a pokład torfu niezbyt gruby; ale po torfowiskach przepełnionych wodą rosną one nadzwyczaj powoli, karłowacieją i giną przedwcześnie. Widziałem na Polesiu okazy sosny wysokie zaledwie na trzy metry a grube na sześć centymetrów, których wiek, oznaczony według liczby pierścieni wynosił lat 60. Gdzie w pośrodku torfowisk przechowało się po zagłębieniach zwierciadło żywéj wody, tam rośnie zazwyczaj obficie grzybień biały, lilią wodną nazywany, a czasami i rdestnica (*Potamiogeton*) w dwóch pospolitszych gatunkach.

Tak tedy roślinność torfowisk większych rozmiarów, rozwijających się swobodnie na glebie nieréwnéj, przedstawia więcéj rozmaitości, aniżeliby na pierwszy rzut oka można oczekiwać, a zwróciły one na siebie uwagę botaników oddawna, bo są siedzibą wielu rzadkich i zajmujących, im tylko właściwych gatunków roślin. Ale liczba form zamieszkujących torfowiska zwiększa się tylko do pewnego czasu, a mianowicie dopóty dopóki torfowiec nie weźmie przewagi nad innemi roślinami. Wzrost jego jest szybszym od wszystkich innych form właściwych takim stanowiskom a ilość jego zwiększa się bezustannie. Wypełnia on prędzéj lub późniéj zagłębienie zajmowane przez wodę i wznosi się nad jéj poziom, a dzięki swojéj własności chłonienia i przechowywania wilgoci rozwija się silnie na środku torfowiska nawet wtenczas, gdy jego brzegi obsychają a roślinność na nich obumiera. Wskutek tego rozwój roślinności po torfowiskach starszych odbywa się zawsze o wiele silniéj na środku, aniżeli przy brzegach, a że starsze, obumarłe części roślin nie giną, lecz pozostają na miejscu, tworząc pokład zwiększający się z każdym rokiem, przeto torfowiska w pełnym rozwoju przedstawiają to szczególne zjawisko, że ich obszary środkowe są znacznie po nad brzegi wzniesione a powierzchnia tworzy powierzchnię wypukłą, co im prawdopodobnie w języku niemieckim nazwę „*hochmoor*“ zjednało. To wyniesienie środka po nad brzegi torfowiska może być bardzo znaczne bo w okolicy Wasserburga, w Bawaryi, dochodzi według świadectwa Sendtnera do 25-ciu stóp.

Jeżeli obumarłe części roślinne, a zatém łodygi, korzenie, liście, owoce pozostają na powierzchni ziemi przy swobodnym przystępie

atmosferycznego powietrza, wówczas tlen łączy się bezustannie z pierwiastkami roślinnemi, powstaje pewien rodzaj procesu, któryby tylko podwodném paleniem nazwać można a którego ostatecznym rezultatem jest zupełny rozkład i przeobrażenie utworów roślinnych. Pozostaje po nich tylko mała ilość próchnicy, która ani postacią ani własnościami swemi do utworów, z których powstała, nie jest podobną. Jeżeli jednakowoż obumarłe części roślinne pozostają zanurzone w wodzie, albo otoczone wilgocią, wówczas przystęp powietrza atmosferycznego jest utrudnionym, łączenie się tlenu z częściami roślinnemi odbywa się w niższym stopniu a ich rozkład jest niedokładnym, jest tylko cząstkowym. Utwory roślinne ulegają w tym przypadku przeobrażeniu, któreby można porównać ze zwęgleniem; zmieniają one swoje chemiczne własności, lecz zachowują i pierwotną swą postać i rozmiary. Takiemu przeobrażeniu podlegają wszystkie rośliny wchodzące w skład naszych torfowisk a obumarłe ich części zamieniają się z czasem w pokłady torfu. Najważniejszą częścią składową téj istoty są trawniki torfowca, ale w rozwoju jéj biorą udział wszystkie inne przywiązane do gleby rośliny a nawet gałęzie, liście i owoce, przez wiatry, lub innym przypadkiem na torfowisko zaniesione. Przechowują one przy tém swoję pierwotną postać tak dokładnie, że przy pomocy lupy lub mikroskopu można oznaczyć składowe części nawet bardzo starych torfowisk, których wiek na setki i tysiące lat bywa oznaczany.

Grubość pokładów torfu zależy od szybkości, z jaką się torfowisko rozwija. Robiono nad tym przedmiotem liczne spostrzeżenia. Hofmann znalazł przypadek, gdzie przyrost torfu w 50 latach wynosił 8 stóp, van Marum opowiada o innym, gdzie przyrost w 5 latach wynosił 4 stopy a Deluque oznaczył go w ciągu 30 lat na 6 stóp. Ale Lesquereux twierdzi, że przyrost torfu w 100 latach nie przechodzi dwóch stóp. Jakoż w rzeczywistości bywa on rozmaitym a zależy od postaci gleby, od zasobu wody i od roślin w skład torfowiska wchodzących. Dodać nadto wypada, że rozwój roślinności na powierzchni torfowiska nie daje jeszcze wyobrażenia o przyroście torfu, bo powierzchowne pokłady, zrazu pulchne i wiotkie, dostawszy się czasem do głębi, ulegają zgnieceniu i tracą ową pierwotną miąższość. Z tem wszystkiem znane są przypadki, w których grubość pokładów torfu dochodziła do 10 metrów.

Torfowiska w kotlinie Prypeci należały jeszcze do niedawna do obszarów zupełnie bezpożytecznych. Nasze zwierzęta domowe nie lubią w ogóle traw kwaśnych a gardzą temi, co rosną po torfowiskach, w skutek czego obszary te ani nawet na pastwiska użyte być

nie mogły. A jednakowoż torfowiska nie są bez wartości a stosowne ich zażycie może przyczynić się nie mało do podniesienia dobrobytu kraju naszego. Potrzeba odebrać tylko torfowisku wodę a stan jego roślinności zmieni się bardzo szybko; mchy, wełnianki i trawy ciborowate poczną znikać, a ich miejsce zajmą z czasem rośliny dwulistniowe i trawy słodkie, przydatne na karmę, torfowisko zamieni się w łąkę, któréj wartość będzie zwiększała się powoli, ale bezustannie. Wiedzieli o tém oddawna nasi gospodarze, bo nie mogło ujść uwagi człowieka mającego bezustannie z przyrodą do czynienia, że roślinność torfowisk inaczéj się przedstawia w szeregu lat suchych a inaczéj w latach mokrych; lecz naśladowanie przyrody i wyzyskanie tego spostrzeżenia w celach przemysłowych było na Polesiu niemożebném, ponieważ odwodnienie torfowisk napotykało na niezwalczoną przeszkodę w braku naturalnego spadku i w rozpowszechnionêm z dawien dawna przekonaniu, jakoby błota Polesia leżały niżéj od poziomu rzeki Prypeci. Ażeby zwalczyć te trudności potrzeba było wspólnéj pracy, opartéj na racyonalnéj podstawie. Takiéj podstawy dostarczyła dopiero wzmiankowana już powyżéj przez nas niwelacya Polesia, a główne prace, mające na celu odwodnienie téj krainy, rozpoczęte w r. 1874, są obecnie prawie na ukończeniu. I trud i nakład podjęty w tym celu opłacił się sowicie a w wielu razach przeszedł nawet oczekiwania. Cenne szczegóły, tyczące się tego przedmiotu znajdzie czytelnik w pierwszym tomie Pamiętnika fizyograficznego i w wielu organach polskiéj i rosyjskiéj prasy peryodycznéj z ostatniego lat dziesiątka; nie chcąc powtarzać szczegółów znanych, odsélamy ciekawych do tych źródeł.

Ale osuszone torfowisko może być także użytém pod uprawę, jeżeli da mu się to, co do rozwoju roślin hodowanych jest potrzebne a czego ono z natury nie posiada. Grzeszy ono po części fizycznemi własnościami (zatrzymuje zbyt chciwie wilgoć i jest zbyt czułem na wpływy zarówno wysokiej jak i niskiéj ciepłoty) a po części i brakiem mineralnych środków pożywnych. Te ujemne jego strony dadzą się z łatwością usunąć przez znawożenie go kośćmi, gliną, iłem lub marglem; prowadzi również do tego celu przepalenie torfu, którego popioły zastępują miejsce nawozu, a w zachodniéj Europie próbowano także przysposobić do uprawy glebę uzyskaną przez zupełne usunięcie zużytego w innym celu torfu. Wszystkie te próby powiodły się mniéj lub więcéj a na północnych stokach Alp, w Bawaryi południowéj i północnéj Szwajcaryi, zdobyto w ten sposób dla uprawy wiele tysięcy morgów ziemi leżącéj do niedawna bezpożytecznie.

Sam torf wysuszony dostarcza bardzo dobrego materyału opałowego; wartość jego zależy po części od jego wieku bo im starszy, tém jest lepszy, po części od rodzaju roślinności, jaka mu dała początek, a po części od domieszki ciał obcych, a może być znacznie podniesioną przez sztuczne jego zgniecenie. Można utrzymywać na pewne, że w Bawaryi i Wirtembergii połowę materyału opałowego, zużywanego przez te kraje, dostarczają tamtejsze torfowiska, a nadejdzie podobno i u nas niezadługo chwila, gdy po wyniszczeniu lasów będziemy zmuszeni uciec się do tego rodzaju paliwa. Przez suchą dystylacyą otrzymuje się nakoniec z torfu parafinę, kreozot, oleje palne i kilka innych przetworów, znajdujących zastosowanie w przemyśle (1).

Jeżeli gleba po wydobyciu i usunięciu torfu nie ulegnie obsuszeniu, to rośliny, które wytworzyły pierwotne torfowisko, a szczególniéj torfowce, rosną na niéj daléj, wytwarzając nowe pokłady torfu. Nie ma on tak wielkiéj wartości, jak pierwotny, może jednakowoż być jeszcze zawsze jako paliwo użyty, a według obliczenia Sprengla dostarcza normalne torfowisko w ciągu jednego roku więcéj materyału palnego, aniżeli najbujniejszy las wysokopienny. W północnych Niemczech odtwarza się torf w zagłębieniach, z których dawne jego pokłady zupełnie usunięte zostały, przy normalnych warunkach w ten sposób, że już po 25—30 latach powtórnie z korzyścią wydobywanym być może.

Zupełnie inaczéj wyglądają owe otwarte błota, położone po za pasem lasów, zajmujące sam środek Polesia w bliskości rzek i jezior tutejszych, szczególniéj gdy podlegają wylewom i skład ich roślinności jest odmiennym. Nie ma na nich ani torfowców, ani wełnianki pochewkowéj, ani innych roślin właściwych torfowiskom, a miejsce skarłowaciałéj brzozy i sosny zajmują zarośla wierzbowe i olszyny. Widziane z daleka robią one wrażenie najbujniejszych łąk, chociaż różnią się od nich zarówno składowemi częściami roślinności, jak i jéj rozwojem. Liczba gatunków wytwarzających tę roślinną tkaninę błot, jest bardzo wielką, a szczególna jéj cecha polega na tém, że oprócz wielu roślin dwulistniowych i traw właściwych; występują tutaj w wielkiéj liczbie trawy ciborowate, kwaśne, szczególniéj z rodzajów sitowia i turzycy (*Scirpus* i *Carex*), z któremi łączą się nierzadko i dwa gatunki skrzypu (*Equisetum palustre* i *Eq. limosum*), niekiedy i paproć błotna (*Aspidium Thelipteris*), a miejsce torfowców zajmują mchy należące do rodzaju *Hypnum*.

---

(1) Obszerny zbiór wiadomości o zastosowaniu torfu znajdzie czytelnik w dziele A. Hausdinga: Industrielle Torfgewinnung und Torfverwerthung. Berlin 1876.

Układ roślinności błota zależy po części od rodzaju gleby, na któréj ono spoczywa, po części od zasobu wody, który może być stałym, albo zmiennym, a nakoniec i od jéj głębokości. Po miejscach wyższych, jedynie w pewnych porach roku zalewanych wodą, szczególniéj na glebie piaszczystéj, rosną bujne rośliny dwulistniowe i trawy właściwe, nie ma tu ani skrzypów, ani paproci, a stosunek traw kwaśnych, ciborowatych, jest bardzo ograniczony. Łąki takie wydają bardzo obficie siano w dobrym gatunku i nie wymagają żadnéj poprawy; przeciwnie, obniżenie ogólnego poziomu wód zaskórnych może im wyjść na szkodę, jakoż znani przypadki, w których plon z takich łąk zmniejszył się po przeprowadzeniu kanałów o połowę i z tego powodu kanały w miejscowościach takich, gdy budowa ich z innych względów jest nieodzownie potrzebną, powinny być opatrzone zastawami. Na glebie gliniastéj, albo wogóle przy stałym, lecz nie zbyt głębokim stanie wody, niknie pewna ilość roślin dwulistniowych, a występują w przeważnéj liczbie trawy kwaśne, sity, sitowia, turzyce, wełnianki, a niekiedy skrzypy, paprocie i mchy należące do gatunku *Hypnum*, wytwarzając łąki moczarowate. Jeżeli stan wody jest jeszcze głębszym, to liczba form roślinnych, właściwych moczarom, ulega ogólnemu zmniejszeniu, pozostają tylko wysoko-łodygowe turzyce i sitowia odznaczające się wzrostem kępinowym, a tu i owdzie ukazuje się pomiędzy niemi jeżogłówka, łączeń (*Butomus*) i trzcina, tworząc przejście do szuwarów i oczeretów. Kępiny turzyc same w sobie obszerne i zbite, są z sobą słabo połączone i unoszą się prawie każda z osobna na powierzchni wody, zapuszczając w muł korzenie i dla tego uginają się one pod silniejszym ciężarem, w skutek czego powstaje trzęsawisko, które Poleśiuk nazywa „Kaczaj-boloto.“ Pomimo to posiada ta darń jeszcze dość siły, ażeby wytrzymać nietylko ciężar człowieka, lecz i bydlęcia, a trzęsawiska na Polesiu bywają starannie koszone. Chociaż ludzie pracujący na nich brną bezustannie w wodzie i zapadają w niéj nieraz po biodra, to życie ich nie bywa mimo to narażonem na niebezpieczeństwo. Gdzie stan wody jest tak głęboki, że korzenie turzyc kępinowych nie zdołają dna dosięgnąć, tam nikną one, a miejsce ich zajmują rośliny, których łodygi podziemne, tak zwane kłącze, czołgają się w mule, wydając równocześnie łodygi nadziemne, wznoszące się wysoko po nad poziom wody. Tutaj należy sitowie jeziorne (*Scirpus lacustris* i *Sc. Tabernemontani*), trzcina pospolita (*Phragmites communis*) i pałki wodne w gatunku wązko- i szeroko-listnym, a dają one formacyą szuwarów i oczeretów (1),

(1) Na Polesiu nazywają oczerety „czerotami.“

które od moczarów i trzęsawisk różnią się tém, iż nie dążą ku po wierzchni wody, lecz żyją do połowy w niéj zanurzone.

Najsilniejszym zagłębieniom gleby, a zatém i najwyższemu stanowi wody odpowiadają na obszarze błot poleskich okna i jeziora, jak nie mniéj i strugi przecinające błota. Posiadają one zawsze zwierciadło żywéj wody, łączące się zazwyczaj z błotami, rzadziej zamknięte z jednéj albo z drugiéj strony piaszczystym brzegiem. W pierwszym wypadku szuwary i oczerety dochodzą prawie zawsze do brzegu zwierciadła wodnego, okalają je zielonym wieńcem, a ukazują się nie rzadko i zdala od brzegów, gdzie gleba na to pozwala, w postaci wysp odosobnionych. Ale roślinność tych formacyi ulega przy brzegu wód stojących, większemu urozmaiceniu, ponieważ ukazuje się tu wiele roślin, tylko takim stanowiskom właściwych, jak tatarak, sitowie morskie i leśne, wyniosłe szczawie i rdesty, jaskier płomiennik i wielki, rzerzucha ziemnowodna, krwawnica (*Lythrum*) szalej, marek (*Sium latifolium*), gałucha (*Oenanthe Phellandrium*), wierzbówka kosmata i drobnokwiatowa, tarczyca (*Sentellaria*), mienta wodna i wiele innych form, jednakowoż zawsze w tym sposobie, iż muszą być uważane za podrzędne części składowe szuwarów i oczeretów. Dopiero po za tym zielonym wieńcem wznoszą się po nad zwierciadło wody, rośliny wymagające więcéj miejsca i światła, jak żabieniec, uszyca, bobrek, siedempałecznik i kilka innych; żyją one prawie zawsze gromadnie i tworzą smugę roślinności, zamykającą od strony wody szuwary i oczerety.

Wszystkie te wymienione powyżéj rośliny rozwijają swoje przyrządy życiowe, a zatém łodygi i liście, kwiaty i owoce w powietrzu, trzymają się przeważnie brzegów wód a nikną w niewielkiéj zazwyczaj od nich odległości. Wody głębsze posiadają właściwą sobie roślinność, a formy w jéj skład wchodzące możnaby, nie tyle według postaci, bo ta może być rozmaitą, ile według ich warunków życiowych, na cztery podzielić klasy. Pierwszą z nich tworzą rośliny, których liście wymagają do swego rozwoju bezwarunkowo powietrza atmosferycznego i światła i pływają z tego powodu na powierzchni wody, a do takich należą grzybień i grządziel, nasze lilie wodne, odznaczające się zarówno wielkiemi liśćmi jak i ozdobnemi kwiatami, daléj osoka, czyli aloes wodny, tworzący nieraz taki gąszcz na powierzchni wody, iż żadne inne rośliny obok niego ostać się nie mogą i kilka innych skromniejszych form, jak żabiściek, rdest ziemnowodny, rdestnice, okrężnica (*Hottonia*), rzęśnice (*Callitriche*) i t. d. Do téj saméj formacyi należy i kotewka czyli orzechy wodne (*Trapa natans*), dobrze znana z powodu owocu jadalnego,

opatrzonego czterema kolcami, a zasługująca na uwagę z powodu liści unoszących się na powierzchni wody za pomocą poduszkowatych nabrzmiałości, jakie powstają na ich ogonkach. Roślina ta miała być niegdyś, wedle miejscowego podania, pospolitą na wodach Polesia, a wyginęła tak tu, jak i w innych częściach kraju naszego bezwątpienia wskutek tego, że lud miejscowy goniąc za jéj owocem, wydobywał łodygi z wody za pomocą grabienia i wyniszczył ją razem z korzeniami. Do drugiéj klasy zaliczam takie formy, dla których światło i powietrze atmosferyczne są obojętne, i których liście pozostają zanurzone w wodzie, a których kwiaty i owoce rozwijają się i dojrzewają w powietrzu, wskutek czego tylko wierzchołkami łodyg sterczą nad powierzchnią wody, a do tych należą nadobne pływacze (*Utricularia*), wywłoczniki (*Myriophyllum spicatum* i *verticillatum*), jeżogłówka wynurzona (*Sparganium emersum Rhem.*) i liczne rdestnice (*Potamogeton perfoliatus*, *lucens*, *crispus*, *compressus*, *acutifolius*, *pusillus* i *pectinatus*). Trzecią klasę tworzą rośliny, dla których światło i powietrze atmosferyczne są jeszcze obojętniejsze i które cały żywot swój wiodą pod wodą, przyczepione do jéj dna nieraz w znacznéj głębokości, jak wodziana, zanichelia, rogatek (*Ceratophyllum*) i ramienice. Do czwartéj należą nakoniec takie, które pływają na powierzchni wody, jak nasze rząsy i salwinia. Nie trzeba jednakże sądzić, że różne te formacye wód naszych są w naturze ściśle od siebie odgraniczone; przeciwnie mieszają się one z sobą, wypełniają zazwyczaj wodę po rowach, strugach i oknach na wskróś i tworzą niekiedy taki gąszcz, że przeprowadzenie łodzi przez miejsca takie wymaga nie małego trudu i zręczności. Tylko obszerniejsze i głębsze jeziora posiadają zwierciadło wody zupełnie czyste.

Mówiliśmy już poprzednio, że drzewa nasze nie rosną wcale po hałach, jakoż w wielu przypadkach robią one wrażenie nieprzejrzanych okiem łąk zielonych. Lecz gdzieindziéj żyją na nich liczne gatunki wierzby. Krzewy te lubią wogóle glebę wilgotną, jedne w niższym, drugie w wyższym stopniu. Po łąkach wilgotnych rosną obficie rokity, do których polesiuk zalicza wierzbę płożącą się, rozmarynolistną, uszkowatą i szarą (*Salix repens*, *rosmarinifolia*, *aurita* i *cinerea*), a do téj grupy wypada zaliczyć i wierzbę lapońską (*Salix Lapponum*), gatunek północnego pochodzenia, pospolity na błotach Polesia, o którym jeszcze niżéj będzie mowa. Są to krzewy mniejszych rozmiarów, które nie łączą się w jednostajne zarosty, lecz żyją rozrzucone po łąkach i moczarach. Po brzegach strug i po nad jeziorami rośnie wiklina, witwa i wierzba migdałolistna (*Salix purpurea*, *viminalis* i *amygdalina*); te dochodzą do 5-ciu metrów wysoko-

ści, a rosną zazwyczaj tak gęsto, że brzegi strug i rowów są niekiedy z jednéj i drugiéj strony zamknięte ścianą zieloną, tak gęstą, że jéj oko ludzkie przebić nie zdoła; gdzie struga się zwęża, tam łodygi i gałęzie tych krzewów łączą się z sobą po nad samą wodą, a przeprowadzenie łodzi przez miejsca takie daje się jedynie w ten sposób uskutecznić, że i wioślarz i podróżny kładą się na dnie łodzi i przeciągają ją wspólnemi siłami przez gęstwinę, czepiając się łodyg i korzeni. Największy zasób wody znosi łoza (*S. pentandra*) i jest prawie jedyną z wierzb naszych, która zapuszcza się na trzęsawiska i oczerety, a stałym jéj towarzyszem bywa olsza; ten rodzaj gleby widocznie jednakowoż ich warunkom życiowym nie odpowiada, bo rozwijają się tutaj jedynie w postaci nizkich, ubogich w liście i wynędzniałych krzewów i giną przedwcześnie.

Olsza czarna wymaga do swojego rozwoju pewnéj podstawy, przedewszystkiém gleby piaszczystej i dlatego rośnie bardzo bujnie po brzegach ostrowów, sterczących nad poziomem błot, a niekiedy i po nad rzekami. Znosi ona także wodę niezbyt głęboką, lecz wówczas korzenie jéj rozwijają się po części w powietrzu, tworząc gąszcz ułatwiający przystęp do wnętrza zarostu. Po brzegach olszyn, w wodzie użyźnionéj przez spadające w nią liście, jak nie mniéj pomiędzy korzeniami drzew olchowych, w pośród których gromadzi się zawsze znaczna ilość próchnicy, rosną nadzwyczaj bujnie wyniosłe gatunki traw, sitowia i turzycy, i kilka roślin dwulistniowych, jak knieć błotna, czermień i tawuła szerokolistna, a powój wielkokwiatowy i psianka słodkogórz o szafirowych kwiatach i jagodach koralowéj barwy spinają się wysoko na gałęzie drzew. Formacya olszyn odpowiada niezaprzeczenie najbujniejszemu rozwojowi naszéj roślinności, a wrażenia, jakie sprawia widok wysokich traw i wielkolistnych ziół, rosnących bujnie w pośród chaotycznéj plątaniny korzeni, zanurzonych do połowy w wodzie, po nad któremi sterczą smukłe pnie drzew, pokryte przejrzystym dachem najżywszéj zieloności, jest tego rodzaju, że olszyny Polesia chyba tylko z formacyami manglów i banianów okolic zwrotnikowych porównać by można. Do najmilszych niespodzianek, jakie mnie w ciągu podróży po Polesiu spotkały, zaliczam widok kilkunastu chat bobrowych, odkrytych w pośród takiéj olszyny nad rzeką Lwą, przecinającą błota sechowskie, w odległości kilku kilometrów od ostatnich mieszkań ludzkich. Niestety, były one w porze, w któréj te strony zwiedzałem (1882) już przez swych mieszkańców opuszczone!

Taką jest roślinność owych błot Poleskich, położonych po za pasem lasów tamtejszych. Nie trzeba jednakże sądzić, że to, co badacz przyrody uważa za utwór samodzielny, a zatém owe formacye

roślinne, które ujęte w pewną systematyczną formę i w naturalnym porządku, w powyższym opisie pobieżnie skreślić usiłowaliśmy, jest i w naturze również silnie zaznaczone i posiada istnienie samodzielne. Przeciwnie, rozwój różnych rodzajów błot, a zatém łąk wilgotnych, moczarów, trzęsawisk, szuwarów i oczeretów zależy nadto od stosunków miejscowych, wskutek czego i liczba właściwych im roślin już to się zmniejsza, już powiększa, a temsamém i ich powierzchowność odpowiedniéj ulega zmianie. Nie ma nadto ścisłych granic w naturze; różne te formacye łączą się z sobą i przechodzą częstokroć jedna w drugą prawie niepostrzeżenie. Pewném jest tylko to, że łąki, moczary i trzęsawiska trzymają się więcéj zewnętrznego obwodu błot, gdy szuwary i oczerety, odpowiadające głębszemu stanowi wody, rozwinęły się przeważnie na środku hał, w bliskości Prypeci i jéj większych dopływów. Pomimo to rzeki te rzadko tylko łączą się z błotami a łożyska ich są zazwyczaj od błot oddzielone brzegami, które wypada uważać za nasypy, powstałe pod wpływem corocznych wylewów. Zdarzają się takie nasypy i na środku hał głębokich, gdzie tworzą ostrowy, mniéj albo więcéj nad poziom błota wyniesione. W sąsiedztwie takich ostrowów zmienia się téż i powierzchowność błót, bo szuwary i oczerety przechodzą w moczary i trzęsawiska, zamknięte zielonym wieńcem łoz i olszyny a prawie wszystkie ostrowy były pierwotnie gęstym lasem pokryte.

Mieszkańcy kraju naszego, znający Polesie tylko z opowieści, wyobrażają sobie, że hały tutejsze są zupełnie niedostępne i że żadnych właścicielom swym nie niosą korzyści. Przekonanie to jest tylko w części słuszném. Siano otrzymane z błot tutejszych zajmuje co prawda pod względem jakościowym ostatnie miejsce i nie jadłby go koń, wychowany na żyznych stepach ukraińskich, ani krowa wypieszczona na wonnych halach naszych Tatr, albo na połoninach Czarnéj Hory; lecz bydło poleskie, przywykłe do téj karmy od młodości i na niéj wychowane, zadawalnia się nią jako tako. Lud poleski nie mogąc wyżyć z uprawy ziemi, podtrzymuje swój byt przeważnie przy pomocy bydła rogatego, chowa go więcéj, aniżeli na własnéj paszy wyżywić jest wstanie i dlatego bierze rok rocznie chętnie w dzierżawę każden kawałek błot, którego wykoszenie uważa za możebne, a ceny znalazłem tutaj nawet dosyć wysokie. Robią siano w lecie a zwożą je zimą na saniach do domu. Do nieużytków należą tylko głębsze szuwary i oczerety. Z tego też powodu odwodnienie Polesia za pomocą wielkiego systemu kanałów nie tyle miało na celu poprawienie roślinności hal, ile otwarcie i ułatwienie do nich przystępu. Wywołanie naturalnego płodozmianu przez zmniejszenie

wilgoci przedstawia się tu w nieco odmiennéj postaci. Rośliny przywiązane do gleby błotnéj odznaczają się niezwykłą żywotnością i rozwijają się normalnie nawet przy znacznie zmniejszonym zasobie wilgoci. Dlatego samo odwodnienie łąk wilgotnych i moczarowatych nie wystarczy do zmiany ich roślinności. Nie można tego odwodnienia porównywać ze sztuczną irrygacyą, bo ta ma na celu doprowadzenie za pomocą wody rzecznéj pierwiastków, których osad użyznia glebę i ułatwia rozpostarcie się roślinom dwulistniowym. Mogą jednakowoż uledz zmianie szuwary, oczerety i trzęsawiska i przeobrazić się z czasem w łąki moczarowate a łąki wilgotne mogą uledz zupełnemu obsuszeniu. Uważam nadto za rzecz pewną, że przez osuszenie blot, i przez uregulowanie biegu rzek, zmiejszą się z czasem rozmiary tutejszych powodzi, w skutek czego uzyska się w wielu miejscach, na obszarze błot położonych, glebę przydatną do uprawy. Już teraz dałaby się zaprowadzić w wielu przypadkach sztuczna hodowla witwy i wikliny, jak niemniéj i innych wierzb, dostarczających znakomitego na faszyny materyału, którego potrzeba z powodu postępującéj regulacyi rzek bezustannie się zwiększa. W miejscowościach, gdzie ta hodowla bywa starannie prowadzoną, jak np. nad Sanem i Wisłą w Galicyi, daje ona gospodarzom większy dochód, aniżeli uprawa jakiejkolwiek innéj rośliny. Przyjdzie podobno nie długo czas, gdzie trzeba będzie pomyśléć i o ustaleniu biegu rzek poleskich, a wczeŚne przygotowanie potrzebnego do tego celu materyału mogłoby tak przedsiębiorcom jak i całéj téj krainie wyjść na dobre.

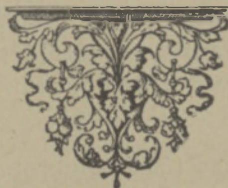
Błota poleskie posiadają również własność wytwarzania torfu, lecz rozwija się on na nich daleko wolniéj i nie dochodzi nigdy do takich rozmiarów, jak na właściwych torfowiskach wśródleśnych a jako materyał opałowy ma on bardzo małą wartość. Przyrost torfu na błotach jest mniejszym przedewszystkiém z tego powodu, że nie ma tutaj torfowców (*Sphagnum*), które odznaczają się nadzwyczaj szybkim wzrostem a następnie, że łodygi i liście roślin błotnych, straciwszy swą żywotność ulegają przy swobodnym przystępie powietrza atmosferycznego zupełnemu rozkładowi, i tylko szczątki ich wracają nazad do ziemi. Torf powstaje tutaj tylko z korzeni roślin i dolnéj części łodygi, o ile ona jest zanurzoną w wodzie. Co do wartości torfu jako materyału opałowego, to ta zależy przedewszystkiém od ilości zawartych w nim minerałów, a zatém krzemionki i wapna, piasku i gliny. Im ta ilość jest większą, tém torf jest gorszy. Procent tych minerałów może być w różnych torfach różny. W torfach poleskich, których rozbiór dotąd dokonanym został, wynosi on według Choro-

szewskiego (Pamięt. fizyogr. T. I, str. 117) od 7-miu do 82-ch na 100 a wartość odnośnych gatunków torfu, jako materyału opałowego, ma się do siebie jak 33 do 7. Otóż torfy, rozwijające się na właściwych torfowiskach wśródleśnych, pod przeważnym wpływem mchów, zaliczane do najlepszych, zawierają w ogóle mniéj części mineralnych, nie tylko dla tego, że mniéj ich się osadza w przyrządach roślin, takim formacyom właściwych, lecz i dlatego, że wody leśne w czasie wylewów, spowodowanych przeważnie topnieniem śniegów, są czyste i wolne od mechanicznéj domieszki gliny i piasku. Przeciwnie, wiadomą jest powszechnie rzeczą, że rośliny żyjące po moczarach, przedewszystkiém skrzypy i kwaśne trawy, obfitują same przez się w wyższym stopniu w części mineralne, złożone we wszystkich ich organach, czego dowodem jest wielka ilość popiołu, jaką pozostawiają po spaleniu. Oprócz tego, wody rzek tutejszych, wzbierając dwa razy do roku, zalewają błota i osadzają na nich w postaci namułu glinę i piasek, zabrany po drodze, a ta domieszka mechaniczna, dostając się do wnętrza torfu, obniża w najwyższym stopniu jego opałową wartość.

Zastanawiano się nad tém wielokrotnie, dlaczego torfowce trzymają się ściśle i wyłącznie torfowisk, dlaczego nie rosną po innych błotach, i dlaczego w jednym przypadku skład i postać roślinności są zupełnie odmienne, jak w drugim. Ustaliło się w ostatnich czasach to przekonanie, że torfowce nie znoszą wapna i że gdzie wody zwilżające ziemię są wolne od tego minerału, tam rozwija się właściwe torfowisko, to co Niemcy nazywają *Hochmoor*; gdzie zaś woda obfituje w wapno, tam powstają łąki wilgotne i moczary, oznaczane przez Niemców nazwą *Wiesen-moor*. Nie jest to przypuszczenie bezzasadne. Przemawia za niém już ta okoliczność, że właściwe, typowe torfowiska rozwijają się najpiękniéj na glebie piaszczystéj, odciętéj od związku z wodami bieżącemi, gdzie gleba przed ukazaniem się torfowiska, przez odwieczne działanie opadów atmosferycznych uległa zupełnemu wyługowaniu i gdzie wilgoć potrzebna do rozwoju roślin jedynie przez deszcze, a zatém przez najczystszą wodę, jaka się w naturze znajduje, podsycaną bywa. Gdzie tylko strugi leśne albo potoki płyną przez takie torfowiska, tam albo ilość torfowców się zmniejsza, albo nikną one zupełnie. Są jednakowoż inne okoliczności, osłabiające znacznie ten pogląd, a za najważniejszą uważam tę, iż ślady wapna znaleziono w popiołach wszystkich torfów; znaleziono je nawet w osadzie, otrzymanym przez odparowanie wody, w któréj żyły torfowce a w popiele z tego osadu pochodzącym procent wapna dochodzi niekiedy do 33 na 100. Uważam raczéj za rzecz pewną, że

zawarte w wodzie cząstki mineralne jakiejkolwiek przyrody, osiadając na torfowcach, pozbawiają je życia, bez względu na swe własności chemiczne i dlatego rozwój torfowców jest niemożebnym po takich błotach, które podlegają wylewom wód. Jakoż zdarzyło mi się widzieć w kilku miejscach nad Horyniem, na krawędzi błot, zamkniętych wyższym brzegiem, ślady tych roślin, lecz tylko powyżéj linii, do któréj sięgała woda w czasie powodzi. Na obszarach podlegających powodzi nie widziałem ich ani śladu.

(*d. n.*) *Dr. Antoni Rehman.*





PODRÓŻ CZECHA PRZEZ POLSKĘ

w grudniu r. 1604.

Pan Henryk Michał Hysrle z Chodów, urodzony około r. 1575, wychowany w domu i jako paź na dworze arcyksięcia Ernesta, obrał sobie zawód wojskowy i bił się nieraz od r. 1594 z Turkami; r. 1610 został komornikiem arcyks. Leopolda i generalnym „zbrojmistrzem“ (generałem artyleryi) królestwa czeskiego, a w roku następnym udzielono mu godności magnata państwa rzymskiego. Wojował nieraz i potém, a w bitwie pod Białą Górą walczył pod chorągwią Maksymiliana bawarskiego. Zmarł pomiędzy r. 1660 a 1665, przeżywszy wszystkie niedole wojny trzydziestoletniéj.

Roku 1614, mając nieco wolniejsze chwile, spisał pamiętniki pod zagłówkiem: „Żywot, w którym się zawierają niektóre podróże i wyprawy, które ja, Henryk Hysrle, szlachcic z Chodów, odbywałem ... na pamiątkę rodowi memu, dziedzicom i potomkom“ (1).

Bliżéj nas obchodzący ustęp tych pamiętników, opisujący podróż pana z Chodów przez ziemię spiską i krakowską, podaję tutaj w dosłownem tłumaczeniu, jako drobny, ale z natury zdjęty obrazek dawnego żywota naszego w zapomnianym kątku byłéj rzeczypospolitéj. Niektóre wyrazy staroczeskie oddaję podobnie brzmiącemi, choć dziś nieużywanemi słowami polskiemi. W przypisach zamieszczam niezbędne wyjaśnienia.

Przy téj sposobności dziękuję panu Franciszkowi Kwapilowi, znanemu poecie czeskiemu, tłumaczowi Krasińskiego i Asnyka, za

---

(1) Więcéj szczegółów o panu Hysrle znajduje się w Jireczka „Rukovět“ dziejów piśmiennictwa czeskiego I, 240—241, oraz w świeżo ogłoszonych przez F. Dworskiego listach Zuzanny Czerninowéj, Praga, 1886.

zwrócenie uwagi mojéj na ten ustęp. Drukowany jest on, wraz z innym, w Antologii z literatury czeskiéj Józefa Jireczka, Praga, 1881, II, 333—338; reszta znajduje się jeszcze w rękopisie, będącym własnością dra Edmunda Szebeka.

„Ponieważ tedy kilka miesięcy zostawaliśmy w niedostatku, chłodzie, biedzie i nędzy, a w wielkim braku odzieży i obuwia, a do tego, iż przez całą wyprawę, cośmy od Ostrzygonia (1) ciągnęli, nigdy ani grosza żołnierzom ani dano, ani pożyczono nie było: zdało się tedy panu Bastowi (2) i wszystkim przełożonym wyprawić od każdego regimentu do ich panów, od kogo kto był werbowany, o pomoc i ratunek w pieniądzach. Otóż mnie od rajtarów czeskich i panu Olbrachtowi z Walsztejna [który także będąc pod Koszycami miał rękę przestrzeloną i jeszcze nie wygojoną (3)] od wszystkich knechtów czeskich, jako dowódcy przypadło, abyśmy zlecenie to na siebie wzięli. Chętnie to przyjąwszy, odbyliśmy dość niebezpieczną podróż przez ziemie spiską i polską.

Mając ja i pan z Walsztejna dwudziestu ludzi z sobą, wyjechaliśmy z Przeszowa (4) i z dość wielkiém niebezpieczeństwem podążyliśmy aż na Zamek Spiski, do pana Krzysztofa Turzy, który nam okazał wszelką życzliwość i dobrze nas podejmował, a ponieważ tam bardzo hajducy i Tatarzy plądrowali, więc dał nas w piętnaście koni odprowadzić aż do Kieżmarku. Ztamtąd ciągnęliśmy przez wielkie góry tatrzańskie do Dębna (5), już na granicy polskiéj. Góry te przebywaliśmy wśród wielkich zamieci i mrozów trzaskących, mając sami i czeladź mało na sobie odzieży. Spotkaliśmy pewnego polaka saneczkami jadącego, który z Czerstwina (6) przez pana swego wysłany dokądś jechał. Ponieważ miał on bardzo dobrą szubę na sobie, przeto jeden ze służby pana z Walsztejna, przyzostawszy nieco, zdarł zeń tę szubę i nią się odział. Ale chytry chłop skręcił inną drogą, wyprzedził nas i panu swemu na Czerstwinie wszystko oznajmił. My zaś, mając pod sam zamek ciągnąć i zgoła o niczém nie wiedząc, wjechaliśmy w wielki wąwóz, gdzie nas kozak jakiś

---

(1) Miasto Gran na Węgrzech.

(2) Jerzy Basta, rodem grek, generał rakuski, obronił niedawno przed opisywanemi tu wypadkami Gran od Turków.

(3) Później książę frydlandzki, sławny Walenstejn.

(4) Po węgiersku Eperies.

(5) Wieś w powiecie nowotarskim, przy gościńcu z Now. Targu do Czorsztyna, o dwie mile od N. Targu.

(6) Tak autor nazywa Czorsztyn.

dognał. A nie mogąc nas w wąwozie wyprzedzić, wdał się z nami w rozmowę i wypytywanie, coby nowego na Węgrzech słychać było, na co my jemu (nie wiedząc o jego zamiarach) o wszystkiém przyjacielsko odpowiadaliśmy. Lecz wyjechawszy z wąwozu, wyprzedził nas żwawo ku wsi, zwanéj Rejlów i zaraz uderzyć kazał na trwogę. Widząc my, że tu porządku nie będzie, nie wiedzieliśmy, co o tém myśléć. Wiedząc wszakże, iż w ziemi téj niema nieprzyjaciół ludu cesarskiego i żeśmy nikomu w niczém nie ubliżyli, tém śmieléj ku wsi ciągnęliśmy, myśląc sobie, że czynią tak dla własnego bezpieczeństwa, aby od nas szkody jakiéj nie doznali. A wszakże obejrzawszy się, ujrzeliśmy za sobą wychodzących już z tego wąwozu przeszło 150 hajduków z długiemi rusznicami, którzy byli z zamku wypadli, rozmyślaliśmy więc, coby to znaczyło. Nie wiedząc jednakże, gdzie się podziać, z dobrym animuszem weszliśmy do wsi, gdzie nas wnet otoczono, a ci z zamku tył nam zajęli. Nie wiedząc, dla czego tak czynili, a znając język polski, dopytywałem się przyczyny, kozak przecież, który zaalarmował tam na nas, będąc obyczajniejszy, krzyknął na wieśniaków, których tam było ze stu, aby nie bili ani nie strzelali i grzecznie się przed nami tłumaczył, „że tak postąpił z polecenia pana swojego, ponieważ jeden z naszych ludzi posłańcowi polskiemu w górach tatrzańskich ściągnął szubę, nie mając tego czynić na ziemi przyjacielskiéj. Przetoż abyśmy go z tą szubą panu jego wydali. Nas zaś, widząc, że porządni panowie jesteśmy, że do nas z tego powodu nic nie ma, zwłaszcza ponieważeśmy o tém nic nie wiedzieli, a jego pan, pan wojewoda Czerstwiński (1), że polecił, aby nas tu jadłem i obrokiem dobrze podejmowano.“ Wtém wieśniak ów przybiegłszy, wskazał tego, który mu tę szubę zabrał, na którego téż wnet napadli, przemocą nam zabrali i z sobą na zamek powiedli. My nie wiedząc co z nim poczną, prosiliśmy ich, aby mu na gardle nic nie ubliżyli, co nam ten kozak przyrzekł, że się mu na gardle nic stać nie ma.

Nie chcąc tu zostawać, ani czekać coby postanowili, prosiliśmy ich, aby nam wskazali drogę do Dębna, co téż im ów kozak pilnie nakazał. Wyprawiwszy nas tedy jaką ćwierć mili za wieś, powiedzieli, że daléj z nami nie pójdą, chyba że im z góry za drogę zapłacimy. Wyjąwszy dukata, dałem im. Oni zaś, wprowadziwszy nas do zaspu, znów gdzieś zniknęli, tak, żeśmy zaledwie z wielkim trudem przed samym wieczorem dotarli przecie do wielkiéj wsi Dębna, gdzie mało wieśniaków było w domu, niedaleko bowiem ztąd, we wsi jakiejś, na odpuście się bawiono. Nie wiedząc co robić w tak

(1) Czorsztyński.

wielkie zimno, mając konie znużone, drogę nieznaną i noc na karku, nie mogliśmy dalej jechać, lecz zaszliśmy do sołtysa, czyli do rządcy wioski. A ponieważ nam nikt z czeladzi jego niczego nie bronił, więc rzeczy nasze z sań i z powozu do świetlicy znieść kazaliśmy. Ale jeden z jego domowników pobiegł do wsi, gdzie był odpust i przed panem swoim krzyku narobił, że Niemcy wpadli do wioski i dom jego przemocą zajęli. On przeląkłszy się tego, kazał do wsi sąsiednich o pomoc posłać i zwołać ze 300 wieśniaków z bronią, a późnym wieczorem z takim krzykiem wpadł do domu, jakoby nas wszystkich wnet chcieli pozabijać. Tedy znowu nie wiedząc coby zamyślali, zapytywałem mówiąc po polsku. On zaś, widząc że po polsku z nim mówimy i że jesteśmy Czesi, że w dobréj i przyjacielskiéj myśli, gdy noc nas i wielkie zimno zagnały, nie wiedząc gdzie się podziać, do domu jego weszliśmy i ogrzaliśmy się, nie chcąc przytém nikomu szkodzić, owszem, mając dobremi pieniędzmi zapłacić za wszystko co spożyjemy, a będąc z obozu od pana Basty z Węgier do Czech wysłani, dla niebezpieczeństwa od nieprzyjaciół żeśmy tę drogę obrać musieli: wtedy oni troszkę złagodnieli. Zawsze jednak tak się stawili, jak gdyby nas mieli postrzelać i pozabijać, dowodząc, że bez pozwolenia pana sołtysa nie powinniśmy byli do domu jego tak samowolnie wchodzić i rzeczy nasze z wozów znosić, że tedy zdawało się im, iż musimy mieć zamiary nieprzyjacielskie i że siłą je odeprzéć musieli. A ciągle na sołtysa się oglądali i pytali, czy mają do nas ognia dawać. Że zaś nas było w świetlicy razem z panem z Walsztejna tylko siedmiu, inni bowiem byli w stajni przy koniach, lub więcéj stajni szukając, więc drzwi i okna nam zatarasowali, tak, iż nikt z naszych do nas, ani my do nich dostać się nie mogliśmy. Ułagodziwszy przeto sołtysa, do grzecznéj z nim rozmowy doszliśmy; okrzyknąwszy on wieśniaków, dużo miał do roboty ich uspokajając. Wszelakoż inaczéj z karku pozbyć się ich nie zdołaliśmy. aż kazawszy wytoczyć dla nich dwie beczki piwa. Niektórzy upiwszy się, zaczęli się dobierać do kufrów naszych. Co widząc my, że téż sołtys był już po naszéj stronie, opanowaliśmy świetlicę, aby się znów innych więcéj natłoczyć nie mogło. Mając już więcéj naszych ludzi przy sobie, zabroniliśmy tego dobrym sposobem i jedną jeszcze beczkę przytoczyć kazaliśmy. Wyprawiwszy ich precz z izby, wraz z sołtysem porządnieśmy się tu zamknęli. A wszak baliśmy się o konie, aby się nam jaka szkoda nie stała; ale sołtys przyrzekł nam wszystko nazajutrz rano naprawić, jeżeliby co się stało.

Uspokoiwszy potém pomału ten motłoch, gdy się rozszedł na rozkaz sołtysa, zażądaliśmy, aby nam za pieniądze dał cośkolwiek do jedzenia. Cokolwiek zaś jeść chcieliśmy, to z góry podwójnemi pie-

niędzmi opłacać musieliśmy. A cokolwiek nam gotowanego dawali, to zaprawiali dzięglem zamiast imbieru, prawiąc, że dla złego powietrza tak jest dobrze i że oni tak jadać lubią. A gdyśmy za stołem siedzieli, przyjechał ów kozak znowu za nami i przywiódł z sobą służebnika pana z Walsztejna, przyczém nam od pana wojewody służby polecał. Poznawszy służebnika tego jako poczciwego żołnierza, a przytém zważywszy ciężkie czasy i to że bieda uwagi nie ma, iż go nam napowrót odsyła. Tegośmy się, po takich przykrościach, iżby nas taka grzeczność spotkać miała, wcale nie oczekiwali. Przyjąwszy tedy to od niego wdzięcznie, wyraziliśmy mu podziękowanie przyjacielskie i o naszéj przygodzie temuż kozakowi wnet oznajmiliśmy. Nie uspokoił się tém jednak i zapowiedział, że zaniesie skargę do pana wojewody; bo ta wieś w jego władzy zostawała. Ale myśmy go prosili, ponieważ nam żadna szkoda się nie stała, aby tego nie czynił, czy zaś skargę zaniósł, czy nie, to już na jego dyskrecyi pozostało. Służebnik zaś nam doniósł, że gdy go na zamek przed pana zaprowadzono, pytał go się dlaczego w górach tatrzańskich pachołek jego zdarł szubę. Odpowiedział: „Dla zimna, biedy, a nie mając na sobie dobréj odzieży i widząc przed sobą daleką podróż, że tak postąpił; że jednak dopuścił się tego nie jako rabuś, ale jako żołnierz, albowiem przytém nic więcéj nie szukał i na zdrowiu w niczém mu nie ubliżył.“ Pan, będąc natury rycerskiéj, że kazał mu dać jeść i pić, a wypytawszy się o wszystkich zdarzeniach w górnych Węgrzech i dla jakiéj przyczyny ztamtąd ciągniemy, darowawszy mu talara na drogę, nazajutrz go za nami wysłał. Grzeczność tę pana wojewody wielceśmy pochwalili, przyrzekłszy mu przez tego kozaka wszelkiém dobrem odsłużyć a w ojczyźnie naszéj jego nam okazaną uprzejmością się chlubić.

Przez całą tę noc nie kładliśmy się. Dając pilną baczność na rzeczy nasze i nie dowierzając opiłym wieśniakom, całą noc na gawędkach z sołtysem i z tym kozakiem przesiedzieliśmy, a poznaliśmy w nim dzielnego wojaka. Z rana, gdy już dniało, pożegnawszy pana sołtysa i kozaka, odjechaliśmy w swoję drogę i śmieliśmy się między sobą z wczorajszéj grzeczności i gościny, ażeśmy przybyli do pewnéj rzeki dość szerokiéj, ale zamarzłéj (1), którą przejechać musieliśmy. Gdyśmy się dostali na środek (chociaż większą część przeszliśmy piechotą), lód miejscami zaczął się załamywać, a wtedy my i konie byliśmy w wielkiém niebezpieczeństwie, niektórzy zaś już się topili, tak żeśmy jeden drugiego za włosy wyciągali. Konie zaś z saniami i powozem z wielkim trudem i biedą przecież przy pomocy

(1) Dunajec.

boskiéj przeprawiliśmy, choć wszyscyśmy zmokli, za co doprawdy Bogu chwałę oddać wypadało. Nie mogąc zaś daléj tego dnia jechać, że ta woda na nas tak stygła a zamarzała, przyjechaliśmy niedaleko od téj rzeki do Kłokoszowa (1), abyśmy się tu znów ogrzać i osuszyć mogli. Ale i tu musieliśmy spożywać potrawy z dzięglem, a wszystko surowe i za podwójne pieniądze kupować.

Drugiego zaś dnia, jadąc ztąd, przybyliśmy do Jordanu (2); tu na nas po raz trzeci szturm uczyniono, zewsząd obskoczono, prawiąc żeśmy jeńcami króla polskiego, abyśmy się poddali i dobrowolnie z niemi szli tam gdzie nam będzie wskazano. A do tego, że rzeczy, które mamy i konie postradaliśmy. Dziwiliśmy się temu znowu niemało i pytaliśmy się ich, dla czego mielibyśmy być więźniami króla polskiego, skorośmy nic nikomu nie ubliżyli, a sposobem nieprzyjacielskim przecie nie ciągniemy; a przytém że nie wiemy o żadném nieprzyjacielstwie pomiędzy Jego Cesarską Mością a królem Polskim, ani ich ziemiami. Na to nam znów odpowiedziano, żeśmy nie powinni byli bez pozwolenia królewskiego i danego sobie paszportu („pasu“) z taką siłą przez te góry ciągnąć; że przeto musimy być szpiegami i kraj ten chcemy zdradzić, stronie węgierskiéj. Inni zaś dowodzili, żeśmy kupcy i że minęliśmy myto królewskie, więc żeby nam rzeczy nasze wraz z nami wzięto pod areszt. Daliśmy im ponownie odpowiedź, żeśmy o tém, iżby przejście przez tę krainę dla ludzi cesarskich miało być zamkniętém, nie wiedzieli, ani nawet przypuszczać nie mogliśmy. Że ani zdrajcami, ani kupcami nie jesteśmy, lecz ludźmi rycerskimi i żołnierzami, wysłanymi od generała Basty z górnych Węgier do Jego Cesarskiéj Mości po zasiłki pieniężne dla wojska. Nie chcieli nam wierzyć, aż pókibyśmy ich nie przekonali, jeżeli czém mamy. Kazaliśmy więc otworzyć kufry i okazaliśmy im listy od pana Basty do Jego Cesarskiéj Mości i od regimentów do panów sejmu królestwa czeskiego. A ponieważ od nich bez przyczyny przeszkód doznajemy, że chcemy o to do króla polskiego się skarżyć. I to także im powiedzieliśmy, że jak się z nami obchodzą na swojéj ziemi, więc ponieważ i Polacy do Czech jeżdżą, to im wzajemnie taką grzeczność okazywać będziemy. Poczém, że pomiędzy nimi znajdowali się niektórzy rozumniejsi, więc tłum uspokoili, a nam dawszy pokój, wymawiali się, iż ostrożność zachowywać muszą, gdyż wiedzą, że w górnych Węgrzech wielkie są niepokoje, więc żeby im coś ztamtąd szkodliwego nie przyszło. A ponieważ wysłani jesteśmy, więc swobodnie swoją drogą jechać możemy.

---

(1) Klikuszowa, wieś o 5 i pól kil. od Nowego-Targu. — (2) Jordanów, miasteczko nad Skawiną.

Jeżeli się zaś nam chce na noc tu zostać, to gotowi są dostarczyć jadła i napoju, a koniom obroku. Ale my, podziękowawszy im za to (a pragnąc jaknajprędzéj kraj ich przebyć), przejechawszy drogą przez miasto, ciągnęliśmy aż do Szlyms, która się po czesku wykłada do „Lichy" (1). Bo też w istocie wieś ta Lichą może być nazywana. Chociaż bowiem wielką jest i na spore pół mili długą, nie mogliśmy dostać ani mięsa, ani chleba, ani owsa. Musieliśmy jeszcze o pół mili po owies, chleb i piwo owsiane posyłać, a grubo za to płacić. Lecz że to była ostatnia nasza kwatera w téj ziemi, więceśmy się têm cieszyli a panu Bogu dziękowali. Bo cośmy tą krainą 19 mil ciągnęli, nie było dnia, abyśmy jakiéj przykrości nie doznali, a jeżeli nie od ludzi, to z powodu wód, albo strasznie złych noclegów, gdyż w ziemi téj nic innego nie jadaliśmy jak chleb owsiany, zmieszany z grochem, świńskie mięso i ryby z potoków, a wszystko to z dzięglem, gdzie powinienby być imbier, a piliśmy tylko piwo owsiane, albo z dzikich jabłek warzone, płacić zaś grubo musieliśmy, jakoby za najlepsze wiktuały.

To też wczesnym rankiem ztąd wyjechawszy, przybyliśmy do Bilicy (2) już na granicy szląskiéj. Tuśmy sobie po tych wygodach dzień odpoczęli, a nie inaczéj się nam wydawało, jak gdyby z nas ciężki spadł kamień. A często wspominając naszą podróż polską, śmieliśmy się sobie, żeśmy jako żywi nigdzie więcéj chłopom „Waszmościów" i „Mościpanów" nie nagadali, jak tutaj, bo to w ich mowie taki jest obyczaj."

(1) Ślemień w powiecie żywieckim. Autor czyni aluzyę do blisko brzmiącego wyrazu niemieckiego *schlimm* = lichy, zły. Wieś ta ma i dzisiaj około 2000 ludności.

(2) Do Bielska.





SOCYOLOGIA.

I. Całe wieki upłynęły zanim się uczeni wzięli do poznania rodu ludzkiego. Już opisano i rozklasyfikowano zwierzęta i rośliny, zarówno żyjące jak i wymarłe, obliczono ilość rodzajów, gatunków i odmian, żyjących na powierzchni ziemi i w głębinach oceanów, gdy tymczasem ród ludzki pozostał na uboczu, jako przedmiot niby znany, a tém samém nie budzący takiego interesu, jak królestwa zwierzęce i roślinne. Wprawdzie podróżnicy gromadzili wiadomości o rozmaitych ludach i plemionach cywilizowanych i dzikich; ale były to wiadomości przypadkowe, budzące ciekawość, notowane przelotnie, na chybił trafił, bez oznaczonego celu. Dopiero w naszym wieku, od lat kilkudziesięciu zaczęto te wiadomości porządkować; przedsiębrano umyślne podróże dla poznania ras ludzkich, przyjrzenia się ich obyczajom, pracy, religii słowem temu, co jednym wyrazem nazywamy cywilizacyą. Niedość na tém, że poznano rozmaite rasy żyjące; zaczęto szukać w pokładach ziemi człowieka kopalnego, z jaskiń wydobyto narzędzia, któremi się posługiwał, i ozdoby, w które się stroił. Odkryto nowy świat, którego się dawniejsze pokolenia nawet nie domyślały; przekonano się, że człowiek istnieje na ziemi bardzo dawno, tak dawno, że byt jego na dziesiątki tysięcy lat obliczano. Tym sposobem powstały nowe nauki, zajęte badaniem stanu rodu ludzkiego, takie jak etnografia, archeologia przedhistoryczna, historya cywilizacyi. Nowość przedmiotu obudziła niezwykły zapał do tych badań, na których wiele zyskało poznanie zarówno jednostkowego człowieka, jak i historya oddzielnych narodów.

Wszystkie jednakże rezultaty, które wspomnione nauki o człowieku i losach jego na ziemi osiągnęły, jakkolwiek same przez się ciekawe i nauczające, nie zadowolniły umysłów pragnących ogarnie-

nia całości i dojścia do pewnych wyników. Zebrane na tém polu wiadomości mogły zadowolnić pojedynczych badaczów, dla których były celem, gdy tymczasem inni uważali je tylko za materyał, z którego trzebaby zbudować jednę naukę ogarniającą w sobie usystematyzowane i uogólnione wnioski tamtych nauk. Z dążności téj powstała filozofia historyi, zwana inaczéj historyozofią, fizyką społeczną i nareszcie socyologią. Ale filozofować o dziejach ludzkich, dochodzić praw, jakim ulega człowiek w rozwoju swoim, wtenczas, gdy jeszcze tak mało było szczegółów, na którychby można oprzéć wnioski ogólniejsze, stało się rzeczą ryzykowną; wyciągnione indukcye mogły być każdéj chwili zaprzeczone przez nowe badania. Ztąd téż lubo już w końcu przeszłego wieku Herder pokusił się o filozofią dziejów, jednakże obecnie widzimy, że nawet dzisiaj po tylu uczonych pracach, jeszcze wszystkie tak zwane filozofie historyi, historye cywilizacyi, socyologie nadzwyczaj szwankują. Ani się temu dziwić można, bacząc na ogrom materyału, który opanować i rozklasyfikować potrzeba, ażeby potém z niego wyciągnąć wnioski, dające się zastosować do wszystkich ludów. Więc téż nowsi badacze weszli na inną i, zdaniem naszém, właściwszą drogę, biorąc do opracowania już nie wszystkie razem objawy życia społecznego, ale każdy z osobna, rozważając np. oddzielnie religie, kapłaństwo, rodzinę, własność, instytucye prawne, byt ekonomiczny itp. Dopiero po takich monografiach możnaby myśléć o dziejach powszechnych rodu ludzkiego. Nim to wszakże nastąpi, już obecnie starają się niektórzy uczeni o wyśledzenie praw, rządzących rozwojem rodu ludzkiego i tym swoim badaniom dają nazwę socyologii. Jakkolwiek jest to najmłodsza z nauk, zajmujących się człowiekiem zbiorowym, zdaje się przecież, iż zostanie spadkobierczynią dawniejszéj filozofii historyi i ogarnie w sobie wyniki, zdobyte przez etnografią, antropologią i archeologią przedhistoryczną. Zarówno więc dla nowości, jak i dla ważności swojéj socyologia zasługuje na to, byśmy się z nią bliżéj zapoznali.

2. Kto pierwszy raz słyszy nazwę pewnéj nauki radby wiedziéć, jaki jest jéj przedmiot, czém się ona zajmuje; otóż, socyologia nie ma dotychczas swojéj ustalonéj definicyi: każdy autor naznacza jéj szersze, lub ciaśniejsze granice odpowiednio do stanowiska filozoficznego, na jakiém sam stoi. Nie powinno to nikogo dziwić, albowiem socyologia dopiero się wydziela z innych nauk, znajduje się w stanie tworzenia, czyli jak Niemcy mówią *im Werden*. Nie kusząc się zatém o jéj definicyą *à priori* ułożoną, będzie może najstosowniéj przyjrzéć się, jakie-to przedmioty rozważają ci autorowie, którzy dotychczas ogłosili dzieła traktujące o socyologii.

Pierwszym, co nazwę *socyologii* wprowadził do słownictwa naukowego, był A. Comte. Zastanawiając się nad usiłowaniami, czynionemi przez poprzedników, w celu ukonstytuowania fizyki społecznéj, mówi on: „Od czasów Monteskiusza, jedyny krok ważny do zasadniczego pojęcia *socyologii*, uczynił sławny i nieszczęśliwy Condorcet...“ W dopisku tłomacząc się z użycia nowego terminu, Comte powiada: „Ośmielam się, od téj chwili, na ten nowy termin, równoważny zupełnie z mojém wyrażeniem *fizyka społeczna*, ażeby tym sposobem można było oznaczać jedyną nazwą tę część filozofii przyrodzonéj, która bada pozytywnie ogół praw zasadniczych, rządzących zjawiskami społecznemi“ (*Cours de phil. posit.* IV, 185. wyd: 2 z 1864).

W inném miejscu, rozważając zjawiska, jakiemi się w jego klasyfikacyi zajmują astronomia, fizyka, chemia i fizyologia, powiada: „widzimy tu ważną szczerbę, co się tyczy zjawisk społecznych, które chociaż się *implicite* mieszczą wśród zjawisk fizyologicznych, zasługują przecież, bądź dla swéj doniosłości, bądź dla trudności ich badania, ażeby stanowiły odrębną kategoryą“ (id. I, 21).

Jesteśmy tu więc przy narodzinach socyologii, co się działo w r. 1830. Widzimy z przytoczonych ustępów, że autor rozumiał potrzebę odrębnéj nauki, badającéj zjawiska społeczne takąż metodą jak i zjawiska przyrody, że ją nazywał z początku fizyką społeczną, a potém stale już socyologią, że zjawiska społeczne mieścił jeszcze wśród fizyologicznych, albo raczéj biologicznych, i że podał definicyą nowéj nauki.

Według téj definicyi socyologia bada zasadnicze prawa, rządzące zjawiskami społecznemi, jest filozofią społeczeństwa. Zauważmy tu nawiasowo, że lepszéj definicyi dotychczas nie podano. Wszakże, ażeby z definicyą powiązać organicznie samo rozwinięcie, należałoby zaraz bliżéj określić, co mamy rozumieć przez zjawiska społeczne, stanowiące przedmiot studyów socyologicznych. Przecież tych zjawisk niepoliczona mnogość, a nadto wieloma z nich, jak np. prawnemi, etycznemi, politycznemi, ekonomicznemi, zajmowały się nie od dzisiaj odrębne nauki. Słowem, definicya Comte'a jest zaobszerna i ztąd poszło, że w dziełach tytułowanych socyologią, spotykamy najrozmaitsze przedmioty; pomieszczane tam wiadomości są nieraz bardzo ciekawe, ważne, zebrane z najrozmaitszych dziedzin umysłowych, począwszy od archeologii przedhistorycznéj aż do fizyologii, ale nauki w ścisłém znaczeniu, z określonemi granicami nie masz. Zamiast sformułowania praw rządzących zjawiskami społecznemi, w socyologiach mamy wyjątki z podróży, opisy zwyczajów ludów dzikich, czy też barbarzyńców, gdzieniegdzie kuszenie się o doj-

ście chociażby przybliżonych, empirycznych praw społecznych, które po bliższém zbadaniu rzeczy okazują się nie prawami, lecz uogólnionemi pośpiesznie formułkami.

Comte unosi się np. nad odkrytem przez siebie prawem, jakoby umysł ludzki w rozwoju swoim przechodził trzy stany: teologiczny, metafizyczny i pozytywny. Otóż, temu mniemanemu prawu nikt dzisiaj nie wierzy, z wyjątkiem chyba nielicznych prawowiernych uczniów francuskiego filozofa. Toż samo powiedzieć można o jego podziale zjawisk społecznych na statyczne i dynamiczne. Statyka i dynamika są na właściwém miejscu w mechanice; w socyologii mogą uchodzić jedynie za metaforę. Nie więcéj nas uczą: atrakcya i repulsya, mające — według Schäfflego — rządzić zjawiskami społecznemi.

W duchu Comte'a pisał o socyologii E. de Roberty: *La sociologie, essai de philosophie sociologique* (1881). Nie jest-to wykład socyologii, ale raczéj szereg rozpraw metodologicznego znaczenia. Autor zastanawia się głównie nad metodą, jakiejby się należało trzymać w badaniach socyologicznych. Ponieważ w pracach tego rodzaju przedmiot badania, t. j. społeczeństwo, nie dozwala na eksperymentacyą, czyli doświadczenie w ścisłém znaczeniu; więc jako metodę zaleca umiejętną obserwacyą zjawisk społecznych, a następnie indukcyą i dedukcyą. W dziele Robertego nie brak bardzo trafnych uwag, a byłoby ono jeszcze pożyteczniejsze, gdyby się autor mniéj wdawał w polemikę z Herb. Spencerem o klasyfikacyą nauk, o pojmowanie nauk abstrakcyjnych i konkretnych, gdyby mu więcéj chodziło o rozstrząsany przedmiot, niż o ocalenie pozytywizmu Comte'a.

Z kolei obaczmy, co stanowi przedmiot *Socyologii* H. Spencer'a. Przygotowywał on się do niéj oddawna. Już w 1851 wydał *Statykę społeczną* (*Social Statics*); następnie w 1873 wyszło jego *Study of sociology*, tłómaczone na nasz język przez H. Goldberga pod tyt. *Wstęp do Socyologii* (1884). W licznych mniejszych rozprawach, wydanych pod ogólnym tytułem *Essays*, Spencer pomieścił wiele rzeczy z zakresu socyologii. Spieszno mu jednak było, zanim koléj nadeszła, wypełnić nakreślony plan systemu filozofii syntetycznéj i uwieńczyć go socyologią. Nagromadzone przez rozmaitych uczonych materyały, a zebrane głównie z podróżopisarzów w kolekcyi nazwanéj *Descriptiv Sociology*, dostarczyły mu danych do systematycznego wykładu socyologii. Fakta socyologiczne zalicza Spencer do supraorganicznych, albowiem—według jego szematu—ogół zjawisk dzieli się na trzy grupy: anorganiczne, organiczne i supraorganiczne. Utrzymuje, że nim jeszcze Darwin wystąpił z teoryą ewolucyjną, on stosował ją w swoich badaniach społecznych. Pomijając spór o pier-

wszeństwo, którego źródła leżą może w pewnéj próżności, zauważmy, że jak we wszystkich dziełach, tak i w socyologii Spencer przeprowadza ową teoryą z całym aparatem faktów mniéj lub więcéj sprawdzonych, a często naciąganych do poparcia głównéj tezy swojéj. Ale zobaczmy o czém autor mówi, ażeby zrozumiéć, jaki jest zakres socyologii: będą to własne jego słowa.

W pierwszéj części obejmującéj „Dane socyologiczne" Spencer, streszczając wszystko, o czém traktował, powiada: Przekonawszy się, że na zjawiska ewolucyi społecznéj wpływają po części warunki *zewnętrzne*, jakim zbiorowisko społeczne ulega, a po części natura, składających je indywiduów; przekonawszy się, że dwa te szeregi czynników ulegają zmianom odpowiednio do tego, jak się społeczeństwo rozwija, obejrzeliśmy dwa te szeregi czynników w ich formie pierwotnéj. Nakreśliliśmy warunki anorganiczne i organiczne istniejące w rozmaitych stronach kuli ziemskiéj; daliśmy poznać skutki zimna i gorąca, wilgotności i suchości, zewnętrznego ukształtowania gruntu, jego składu, minerałów, flory i fauny. Przyjrzawszy się jak ewolucya społeczna w początkach swoich jest całkowicie zależna od zbiegu okoliczności sprzyjających, i że nawet wówczas, gdy dzięki postępowi staje się coraz mniéj od nich zależną, pozostają one przecież i późniéj bardzo dla niéj ważnemi; zwróciliśmy następnie uwagę na czynniki *wewnętrzne* spotykane w społeczeństwach pierwotnych. Więc objaśniliśmy, jak wyglądał człowiek pierwotny pod względem *fizycznym*, *uczuciowym* i *umysłowym*. Ogólny wniosek, jaki nam ztąd wypadł, jest następujący: postępowanie człowieka pierwotnego zależy od uczuć, z jakiemi spogląda na otaczających go ludzi, z drugiéj strony od uczuć, z jakiemi się odnosi do ludzi nieżyjących. Z faktów tych wynikają dwie nadzwyczaj ważne grupy czynników społecznych. *Strach przed żyjącymi* jest początkiem rządu politycznego; *strach przed umarłymi*, początkiem rządu religijnego.

Socyologia zatém rozpoczyna swoje badania od jednostek społecznych, podległych warunkom, o których była mowa, — jednostki te mają pewną konstytucyą fizyczną, uczuciową i umysłową, prócz tego pewne idee wcześnie nabyte i odpowiadające im uczucia — zadaniem więc socyologii jest wytłómaczyć nam wszystkie zjawiska, wynikające ze skombinowanego ich działania. Najprostszém, t. j. najelementarniejszém działaniem skombinowaném jest produkcya następnych pokoleń i ich wychowanie. Na pierwszém tedy miejscu spotykamy rozwój *rodziny*, i tu trzeba rozważyć, jak na wychowanie potomstwa wpływają: heteryzm (*promiscuité*), polyandrya, polygamia i monogamia, jak niemniéj małżeństwa egzogamiczne i endo-

gamiczne (t. j. w obcéj lub w swojéj hordzie zawierane). Daléj, należy rozważyć stosunek rodziców do dzieci i odwrotnie.

Następnie socyologia winna opisać i wyjaśnić początek i rozwój organizacyi politycznéj, stan ludności w rozmaitych jéj fazach i typach społecznych, jak np. koczowniczy, osiadły, militarny i przemysłowy. Nie może téż pomijać stosunków, zachodzących między instytucyami, na jakich się opiera rząd cywilny, a urządzeniami religijnemi, obyczajami i zwyczajami. Okaleczanie ciała, jako dowód przegranéj, a razem niewoli; przyklękania, jako dowód uległości dla zwycięzcy; tytuły, wyrażające zwierzchnictwo; pozdrawiania, jako dowód pochlebstwa i uległości—wszystko to i wiele innych rzeczy socyologia powinna wytłómaczyć, okazać ich początek, rozwój (*Zasady Socyologii*, I. § 209—211, *passim*, w tłómaczeniu francuskiém przez E. Carelles, 1878).

Z przytoczonych ustępów czytelnik widzi, co to za ogromne zadanie podjął Spencer w swojéj Socyologii: cały duży tom poświęcił tym preliminaryom. Zgodnie z tym planem rozbiera w części drugiéj pojęcie społeczeństwa, które nazywa organizmem, a posuwając analogią do ostateczności upatruje w nim, tak jak w organizmie indywidualnym funkcye i organa, przyrządy: rozrodczy, dystrybutywny i regulujący. Część trzecia traktuje stosunki domowe i rodzinne, rozmaite formy małżeństwa, rodzinę, położenie prawne kobiet i dzieci. W części czwartéj opisuje instytucye, jak nazywa ceremonialne, czyli wprost obrzędy, zwyczaje, obyczaje. Jest-to jeden z najciekawszych działów w Socyologii Spencera, chociaż ciekawość nasza co do początku i znaczenia rozmaitych obrzędów nie zawsze, jak należy, bywa zaspokojona: i tu mnóstwo tłómaczeń naciąganych. Część piąta obejmuje instytucye polityczne, rozmaite formy rządu i organów, jakie się stopniowo z jednorodnéj niemal masy wydzielają — jak właściwa administracya, sądownictwo i władza wykonawcza.

Przytoczyliśmy treść Socyologii Spencera, ażeby pokazać jaki jest przedmiot studyów tego rodzaju: ramy-to tak wielkie, że jeden człowiek, chociażby był najuczeńszym i żył parę wieków, jeszczeby ich należycie nie wypełnił. O krytyce zarówno planu jak i wykonania jego, nie możemy tu myśléć—dodać jedynie możemy, iż oddając całe uznanie ogromnéj erudycyi autora, krytyka nie mogła w jego Socyologii dopatrzéć roboty ściśle naukowéj—lecz zaledwie przygotowanie i torowanie drogi dla przyszłych pracowników na téj saméj niwie.

Równocześnie ze Spencerem zaczął wydawać swoję Socyologią A. Schäffle pod tytułem *Bau und Leben des socialen Körpers* (1874,

drugie wyd. 1881). Jest to najobszerniejsza z dotychczas ogłoszonych, systematyczna socyologia. Pomimo bardzo ociężałego sposobu tłómaczenia się autora i zawiłego języka, dzieło jego doczekało się drugiego wydania. Zasługuje ono na gruntowne poznanie ze strony każdego, kto się socyologią zajmuje. Autor złożył w niém dowody kolosalnéj erudycyi, zebranéj ze wszystkich dziedzin wiedzy. Jest-to encyklopedya zarówno socyologii jak i ekonomii politycznéj i polityki teoretycznéj. Schäffle, podobnie jak Spencer, zbudował swoję socyologią na podstawie teoryi ewolucyjnéj. W dwóch pierwszych tomach, zawierających część ogólną, zastanawia się nad otoczeniem ciała społecznego, t. j. nad ziemią oraz składowemi jego czynnikami, jednostką i rodziną zarówno pod względem fizycznym jak i psychicznym. Cały drugi tom autor poświęcił wykładowi prawa rozwoju zastosowanego do społeczeństwa. Pozostałe dwa tomy obejmują część szczegółową, a w nich Schäffle traktuje o rodzinie i jéj historycznym rozwoju, tudzież o ludności, o produkcyi bogactwa, przyczém rozprawia się z socyalizmem i komunizmem. Mamy tu więc streszczoną encyklopedyą ekonomii politycznéj. W tomie czwartym i ostatnim rozważa duchowe zjawiska życia społecznego, oraz najwyższą jego formę w państwie. Obszerny dodatek mieści uwagi o metodach socyologii. Pobieżny ten wykaz treści pokazuje, jaki zakres, jakie fakta wciąga Schäffle do socyologii. Zakres ten jest mniéj-więcéj takiż, jak i w socyologii Spencera, tylko bardziéj drobiazgowo wypełniony. Drobiazgów tych wielkie mnóstwo, ze wszystkich dziedzin wiedzy ludzkiéj: fizyologia i psychologia nietylko indywidualne lecz i społeczne, teologia i ekonomia polityczna, archeologia przedhistoryczna i geologia, długie rozprawy o metodach naukowych, słowem, wszystko. Wśród tego materyału naukowego, który zapewne zostaje w niejakim związku z socyologią, ale ją samę przytłacza swoim ogromem, społeczeństwo jako przedmiot właściwy badania, tonie. Czytamy o wszystkich rzeczach pod słońcem, autorowi żadna gałąź wiedzy nie jest obcą, jednak po przeczytaniu jego dzieła nie możemy powiedzieć, że mamy jasne pojęcie zadania socyologii, a témbardziéj pojęcie praw socyologicznych.

Nic dziwnego tedy, że po tylu próbach chybionych co do utworzenia socyologii, pisarz bardzo trzeźwy i bardzo rozumny, Letourneau, mógł powiedzieć: „Umiejętność społeczna znajduje się jeszcze w dzieciństwie; nie może ona sformułować praw; bo téż prawa naukowe nie powstają mocą samorodztwa; dochodzimy do nich, wydzielając z chaosu postrzeżeń szczegółowych niektóre fakta ogólne“ (*La Sociologie d'après l'éthnographie*, 1880). Odpowiednio zatém do tytułu, Letourneau ułożył swoję Socyologią etnograficzną. W pię-

ciu księgach autor rozważa: życie odkarmiające, t. j. pokarmy i napoje we wszystkich częściach świata; życie czuciowe (*la vie sensitive*), życie uczuciowe (*la vie affective*), życie społeczne i życie umysłowe rodu ludzkiego. Na podstawie bogatego materyału, głównie z podróżopisarzów zebranego, Letourneau nakreślił barwny, żywy i pouczający obraz stosunków społecznych na całéj kuli ziemskiéj. O formułowanie praw socyologicznych nawet się nie kusił, a rozumiejąc trudności swojego przedmiotu, wątpi nawet, czy kiedy do poznania takich praw dojdziemy. „Probując sformułować prawa socyologiczne ścisłe, podobne do praw fizyki i chemii, uganiamy się prawdopodobnie tylko za piękną marą“ (*La Sociologie*, str. 345).

Ostatnim, w porządku chronologicznym, socyologiem jest pan Gumplowicz: ogłosił on *Grundriss der Sociologie* w r. 1885. Poprzednie jego prace *Rechtstaat und Socialismus* (1881), a szczególniéj *Der Rassenkampf* (1883) traktują w części ten sam przedmiot, lubo nie tak systematycznie jak *Grundriss.* W tém ostatniém dziele po krótkiéj historyi i krytyce dotychczasowych prac socyologicznych oraz wstępie obejmującym podstawy i zasadnicze pojęcia socyologii, autor rozważa społeczne czynniki i ich związki. Do czynników społecznych zalicza pierwotną hordę, państwo, stany, stosunki ekonomiczne i nareszcie społeczeństwo, a w niém znowu państwo i narodowość. Z kolei zastanawia się nad jednostką i socyalno-psychicznemi zjawiskami, wpływem socyalnéj grupy na jednostkę, wpływem ekonomicznego na nią położenia, moralnością, prawem. W ostatniéj części podaje historyą ludzkości jako gatunku, mówi o rozmaitém pojmowaniu jéj dziejów, o jéj rozwoju i t. d. P. Gumplowicz jest zwolennikiem siły i walki o byt; w walce hord pierwotnych, późniéj państw i narodów, klas i stanów społecznych widzi sprężynę poruszającą dziejami człowieka na ziemi. Książka, o któréj mówimy, jako ostatnia w porządku i napisana z dużą energią i pewnością siebie, zasługiwałaby na szczegółowy rozbiór; ponieważ tego przedsiębrać nie możemy w tém miejscu, podnosimy tylko słabe jéj punkta.

Zaznaczyliśmy już, że autor jest niesłychanie pewnym siebie w decydowaniu o takich spornych pytaniach, które zapewne nieprędko, a może nigdy nie będą rozstrzygnione. I tak, jedność rodu ludzkiego p. Gumplowicz uważa za gruby błąd; podobnież mylili się socyologowie mniemając, że rozwój ludzkości lub narodów odbywał się samorzutnie (*spontan*), coś nakształt roślinnego lub zwierzęcego organizmu (str. 72 i 73). Daléj, autor broni polygenizmu przeciw monogenizmowi; polemizuje przeciw Darwinowskiéj teoryi o przystosowywaniu się organizmów do otoczenia (*Anpassung*), gdyż walczy ona z jego polygenizmem (136 i 137). Podziwia „demoniczną

mądrość społeczeństwa" wobec błędów i przeoczeń jednostki (149); przeczy wolnéj woli indywidualnéj, utrzymując, że to nie jednostka jest sprawcą dzieł swoich ale ogół, t. j. społeczeństwo, którego ona jest niewolnikiem i jako niewolnik tegoż, działa (215). Człowiek nawet sam przez siebie nie myśli, ale jego grupa, do któréj należy (167 i 177). Wogóle filozofia, a zwłaszcza psychologia autora wielce chromają. Mówi on, „że największym błędem psychologii indywidualistycznéj jest mniemanie, jakoby-to człowiek myślał"—wszystko przez niego robi grupa, człowiek jest tylko manekinem. Koroną rozmaitych paradoksów jest wznowienie zdania Hobbes'a, „że co państwo musi czynić, to jest sprawiedliwem" (194).

Przytoczyliśmy to, co się w ostatnich latach wybitniejszego okazało na polu badań socyologicznych; wymienione prace nie dały nam socyologii jako nauki; były-to próby godne podziwu dla ogromu erudycyi, jak np. Spencera i Schäfflego, ale do sformułowania praw socyologicznych—co jest głównem zadaniem socyologii, żadna z nich nie doszła (1). Wobec tych niepowodzeń w badaniach przedsiębranych na niewymierzalną skalę i dlatego chybionych; roztropniéj postąpili autorowie, badający szczegółowo oddzielne czynniki życia społecznego, jak np. rodzinę, własność, religią, kapłaństwo itd. Mamy na myśli uczonych takich jak: Giraud-Teulon, Morgan, Laveleye, Lippert, lub téż etnografów i badaczów pierwotnéj kultury, jak Lubbock, Tylor, Bastian i t. d. Rozumiemy, że socyologowie, nie chcąc się gubić w tysiącznych szczegółach nagromadzonych przez wspomnianych autorów i podróżopisarzów, usiłowali już wyprowadzić z nich pewne uogólnienia, nazywając je prawami socyologicznemi; cenimy te *vues d'ensemble*; nie wątpimy, że kiedyś socyologia będzie umiejętnością—ale obecnie jeszcze nie jest, bo nawet nie ma jeszcze wytkniętych ściśle granic, ani jednolitéj definicyi, ani ustalonych praw swoich.

3. Niepowodzenia, o których wyżéj mowa, pochodziły, zdaniem naszém, najprzód z braku pewnych granic w badaniu, z niedość ścisłego określenia przedmiotu socyologii. Jakoż, mówiono pospolicie, że przedmiotem jéj jest poznanie praw rządzących społeczeństwem, ludzkością. Otóż téj ludzkości dotychczas całkowicie nie znamy; nie wiemy na pewno, ile jest ludzi na świecie, nie znamy wszystkich plemion żyjących, a o wymarłych trochę wiadomości, dość niepewnych, podaje historya i archeologia przedhistoryczna.

---

(1) Treściwy i rozumnie napisany przegląd rozmaitych formuł wymyślonych przez filozofów i historyków w celu wykazania pewnych praw rządzących dziejami człowieka, mieści książka *Les problèmes de L'histoire* par Paul Mougeolle. Paryż 1886.

Powtóre, samo pojęcie społeczeństwa było po większéj części mylne, zkąd znów poszły mylne analogie. Najpowszechniéj socyologowie pojmowali społeczeństwo, wogóle uważane, jako organizm *sui generis*. Zgrzeszyli pod tym względem najwięcéj H. Spencer i Schäffle.

Spencer rozumie, że zaraz na samym początku badań socyologicznych należy dać odpowiedź na pytanie, czém jest społeczeństwo. Możnaby je np. uważać za wyraz zbiorowy, oznaczający pewną liczbę jednostek. Nominalista przenosząc na inny grunt, dawny spór między nominalizmem a realizmem, mógłby utrzymywać, że jak w gatunku jedyną rzeczą istniejącą są składające go indywidua, gdyż gatunek po za swojemi członkami nie ma żadnego bytu; tak samo tylko jednostki społeczne istnieją, społeczeństwo zaś ma byt jedynie nominalny. Za przykład mogłoby posłużyć audytoryum profesora, w któróm widzimy skupienie indywiduów rozchodzących się po skończonéj lekcyi; możnaby więc twierdzić, że tak samo dzieje się z obywatelami składającymi naród. Otóż, powiada Spencer, zachodzi między temi dwoma skupieniami różnica, gdyż uczniowie w szkole stanowią związek czasowy, a obywatele w narodzie związek stały. Tém mniéj można porównywać społeczeństwo z jakiémś skupieniem ciał nieorganicznych; za to najwięcéj ma ono podobieństwa do organizmu żyjącego, albowiem przedstawia pewną budowę, ma organa, wykonywa funkcye, wzrasta i umiera (*Principes de Sociologie*. II, §§ 212—220 *passim*). Widząc podobieństwo, Spencer nie zapomina o różnicy zachodzącéj między organizmem indywidualnym a społecznym. Części organizmu zwierzęcego stanowią całostkę konkretną, ciągłą, części zaś społeczeństwa tworzą całostkę krotną, jednostki w skład jego wchodzące są od siebie oddzielone, wolne, mniéj lub więcéj rozproszone. Pomimo jednak téj różnicy obu organizmów, analogia zachodząca między niemi jest tak wielka, że na jéj podstawie można budować naukę o społeczeństwie. Więc też stanąwszy na téj kruchéj podstawie, autor rozprawia o budowie ciała społecznego, o jego funkcyach, organach, przyrządach, zapominając, że to są metafory, nie analiza społeczeństwa.

Tak samo mniéj więcej postąpił sobie i Schäffle. Podług niego, „społeczeństwo cywilne przedstawia rzeczywiście ożywione ciało, lubo właściwego rodzaju.“ Zastrzega on się wprawdzie zaraz, że ciało społeczne nie jest organizmem takim jak roślina lub zwierzę, lecz skupieniem jednostek ludzkich gatunku socyalno-psychicznego; ale pomimo tego zastrzeżenia rozprawia o morfologii, anatomii, fizyologii, tkankach, organach tego zbiorowego ciała. Widzimy na każdym kroku, że Schäffle wypił morze spółczesnéj wiedzy, że zna wszystkie hipotezy, że jednak cały ten aparat naukowy nie może

ocalić budowy opartéj na analogii biologicznéj. Czy społeczeństwo nazwiemy organizmem supraorganicznym, czy ciałem socyalno-psychicznéin, zawsze będzie to tylko porównanie, a wszelkie porównanie témbardziéj kuleje, im różnice między porównywanemi rzeczami są większe. Otóż, zdaniem naszém, różnice między organizmem indywidualnym a zbiorowym są większe niż podobieństwa i cała analogia może doprowadzić jedynie do pięknych obrazów, w które szczególniéj obfituje Socyologia Spencera.

Nie więcéj jest warta analogia wzięta z mechaniki i nazywanie społeczeństwa mechanizmem *sui generis*. Tak nasz Supiński wprowadza do zjawisk ekonomicznych pojęcia organizmu i mechanizmu społecznego; tak samo Schäffle mówi poważnie o mechanice socyalnéj. Traktując znaczenie prawa i moralności w życiu społecznéin i nazywając je „fundamentem wszelkiéj pracy sił społecznych", dodaje, że oboje „prowadzą do ideału mechaniki socyalnéj." Społeczeństwo wyobraża sobie raz jako organizm, drugi raz jako „najbardziéj złożony system częściowych mas materyi i ruchów", a życie społeczne — jako „połączenie ruchu wszechświatowego z niezliczonemi ruchami oddzielnych części." Już zaś przed nim niejednemu nasuwała się ta analogia życia społecznego z mechaniką niebieską, co jednak naszéj znajomości społeczeństwa wcale nie posunęło naprzód.

Nie chcąc dłużéj bawić czytelnika temi porównaniami, wolimy go odesłać do dzieła Schäfflego *Bau u. L. des soc, Körp.* (I, str. 596, 662, 720 i t. d.).

Daleko zasadniejsze i w skutki obfitsze jest pojmowanie społeczeństwa, jako zjawiska przyrodzonego wśród innych zjawisk, i traktowanie go z punktu widzenia nauk przyrodniczych. Ród ludzki przedstawia pewne gromady, zbiorowiska przyrodzone. Jakim był w kolebce, nie wiemy; domyślamy się tylko, że mógł być podobny do dzisiejszych grup etnicznych Polinezyi lub Melanezyi. Czy mieszkał kiedy na drzewach, jak utrzymuje za Morganem F. Engels (*Der Ursprung der Familie*), także niepodobna twierdzić na pewno (1). Że te grupy ludzkie walczyły z sobą, że następował tak zwany „dobór naturalny", że ludzkość zaczynała od bardzo ubogich początków i że się rozwinęła w niektórych grupach do stanu nazywanego cywilizowanym, oto co z wielkiém prawdopodobieństwem utrzymywać wolno: analogie wzięte z biologii lub mechaniki nic nam zgoła nie pomogą do zrozumienia jéj losów na ziemi.

---

(1) Wspomniona dziełko Engelsa okaleczone spolszczył J. F. Wolski pod zmienionym tytułem: *Początki cywilizacyi*. Paryż i Lipsk. 1885.

Nie godząc się na pojęcie społeczeństwa podane przez niektórych socyologów, zwłaszcza na szukanie analogii między komórką organiczną a rodziną, na porównywanie systemu komórek i tkanek organicznych ze zbiorowiskiem ludzkiém; trzeba przecież wyznać, że socyologowie uczynili krok ważny do ukonstytuowania socyologii, wprowadzając pojęcie typu. Ogół zjawisk społecznych przedstawia taką ich mnogość i różnorodność, że niepodobnaby było naukowo ich traktować, a nawet ogarnąć myślą. Poradzono sobie zatém, wydzielając z tego chaosu pewne zjawiska typowe, pewne fakta ogólne, niby kategorye i klasy, pod któremi zszeregowano inne. I tak, oddzielnie zaczęto rozważać rodzinę i fazy jakie przechodziła, własność i jéj historyczny rozwój, religią i jéj rozmaite formy, moralność, prawo i państwo ze swemi odmianami. Póki socyolog o tém wszystkiem sam traktował, póki materyałów brakło, musiał być powierzchownym i retoryką lub naciąganemi porównaniami zapełniać braki. Odkąd się podzielono olbrzymią pracą i rezultaty osiągnięte za pomocą monograficznych badań stały się pewniejsze: zyskano trwalszą podstawę do zbudowania socyologii.

Jak z pojęciem społeczeństwa, tak i z metodą traktowania zjawisk społecznych socyologowie dotychczas nie doszli do konkluzyi. Niektórzy z nich, jak de Roberty, całą książkę poświęcili tylko metodologii socyologicznéj. Inni, jak Schäffle, długie, zawiłe rozdziały; inni wreszcie, jak Spencer i Letourneau, nie wdawali się w osobne roztrząsanie metody badań. Że bez pewnéj metody w rozważaniu zjawisk społecznych nie można sobie poradzić z ogromnym materyałem stanowiącym przedmiot socyologii, to pewna; ale żeby utonąć w metodzie i stanąwszy w przedsionku nie ruszyć daléj, rzecz trudna do zrozumienia.

W początkach badań socyologicznych uczeni ograniczają się prawie wyłącznie do dziejów powszechnych Europy (Comte), albo mając na uwadze rozwój umysłowy i polityczny lepiéj znanych narodów (Hegel, Buckle, Draper) filozofowali nad dziejami rodu ludzkiego apryorycznie, lub opierali swoje wnioski na bardzo skąpym materyale. Ztąd poszło, że jeden ułożył sobie formułkę o trzech stanach: teologicznym, metafizycznym i pozytywnym; drugi o trzech królestwach: Ojca, Syna i Ducha; trzeci zapowiadał, że po przewadze świata wschodniego nastąpiły rządy świata romańskiego, poczém nadejdzie pora na Germanów; czwarty widział w rozwoju ludzkości tylko dwa okresy: wiek wiary i wiek rozumu; piąty, a ten zeszłowieczny dzielił historyą na trzy wieki: bogów, bohaterów i ludzi. Mając gotową formułkę wtłaczano w nią materyał mityczny, legendowy i ściśle dziejowy—konstruowano filozofią historyi. Dzisiaj wy-

gląda to w oczach naszych dziecinnie, a jednak uchodziło swojego czasu za wysoką mądrość. Może się nie omylimy twierdząc, że w tych pomysłach tak naiwnych zawinił między innemi brak metody. Słysząc to, czytelnik świadom rzeczy zawoła: Przecież uczeni już tyle o metodach pisali, że braku metody zarzucać im niepodobna. Tak; ale były to metody metafizyczne, jak i cała filozofia ówczesna. Jeżeli tak, to jakaż ma być metoda bez zarzutu w badaniach socyologicznych? Nim na to odpowiemy, objaśnijmy, co rozumiemy przez metodę metafizyczną.

Filozofowie, których mamy na myśli, tworzyli sobie w głowie świat taki, o jakim nabrali wyobrażenia z historyi politycznéj kilkunastu narodów. Otóż, wiadomo czém jest, lub czém była taka historya: najczęściéj gromadą faktów źle rozumianych lub umyślnie fałszowanych. Fakta te rzadko były przez krytykę należycie sprawdzone, a do tego niekoniecznie najważniejsze z tych, jakie składały życie narodów. Opierając się na tak kruchéj podwalinie, filozofowano o dziejach całego rodu ludzkiego, wyznaczano posłannictwa narodom, ciągniono horoskopy o ich przyszłości tak samo, jak obecnie lada dziennikarczyk, za pieniądze lub z amatorstwa, wygłasza nieodwołalne wyroki o warstwach i instytucyach społecznych. Nie było i niema najpotworniejszych gwałtów, którychby przy pomocy historyi politycznéj nie można było wymotywować i usprawiedliwić!

Patrząc na tę filozofią dziejów, prowadzącą do uświęcenia gwałtu, uczeni niezależni dostrzegli źródła fatalnych jéj wyników w mylném pojmowaniu społeczeństwa i w opacznéj metodzie, którą pozwoliliśmy sobie nazwać metafizyczną. Póki filozofowie zapatrywali się na człowieka, jako na istotę wyjątkową, zupełnie różną od reszty stworzeń, póty w rozumowaniach ich o społeczeństwie przemagały poglądy subiektywne lub tradycyjne, według których instytucye społeczne uchodziły nie za przyrodzony i powolny wyrób ludzi, lecz za dane z góry przez natchnionych organizatorów bytu społecznego. Skoro jednakże, dzięki wzrostowi nauk przyrodniczych i fizycznych, zrozumiano, iż człowiek rozwijał się tym trybem, co i reszta stworzeń, że zaczynał od bardzo grubych urządzeń, odpowiednich grubéj naturze swojéj; poczęto i w badaniu spraw jego stosować metodę *przyrodniczą*.

Na czém taka metoda polega, wiadomo każdemu, kto miał do czynienia z naukami przyrodniczemi lub fizycznemi. Botanik, zoolog, chemik mając zbadać jakąś roślinę, zwierze lub minerał, nie czynią z góry żadnéj hipotezy co do ich miejsca w klasyfikacyi lub własności, nie upatrują w zjawiskach nieznanych sobie czegoś nadzwyczajnego, lecz je analizują, dochodzą podobieństwa ze znanemi

zjawiskami, urządzają w potrzebie doświadczenie i tym sposobem dochodzą, czy pewien fakt da się lub nie da wciągnąć do kategoryi faktów już poznanych, czy go można do nich upodobnić, czy zatém to, co przysługiwało tamtym, da się w całości lub z zastrzeżeniami zastosować do nowego. Mówimy wówczas, że zjawisko, fakt, zostały zrozumiane i wyjaśnione: więcéj uczynić niepodobna.

Gdybyśmy chcieli taką metodę badania zastosować do faktów, stosunków i urządzeń społecznych, pytanie od czegoby zacząć należało? Oczywiście od tego, od czego zaczynamy badania w naukach przyrodniczych, od obserwacyi, czyli od nagromadzenia faktów, inaczéj danych (*data*). Następnie musielibyśmy te fakta starannie rozebrać, wydzielić podobne, rozklasyfikować, porównać i potém przystąpić do uogólnienia cech wspólnych wszystkim faktom lub zjawiskom. Będzie to metoda przyrodnicza i razem indukcyjna. Badając tą drogą zjawiska społeczne, nie przystępujemy do nich z gotową teoryą, nie wmawiamy w siebie i innych celu, dla którego fakta istnieją, lecz dopiero samo badanie ma nas doprowadzić do ich poznania i naznaczenia im miejsca w nieskończonym łańcuchu zjawisk wszechświatowych.

Metoda indukcyjna, stosowana w nowszych czasach do wielu nauk nietylko przyrodniczych lecz i społecznych, dała najlepsze względnie rezultaty; zastosowana do socyologii będącéj filozofią społeczeństwa doprowadzi ją niewątpliwie do uogólnień trwałych i tém pewniejszych, im na szerszéj się oprze podstawie, to jest na obfitszym materyale gruntownie poznanym. Wprawdzie metoda przyrodnicza nie może się w badaniu zjawisk społecznych posługiwać d o ś w i a d c z e n i e m czyli eksperymentem takim, jak w chemii lub fizyologii, ale doświadczenia podobne urządzają dla niéj prawodawcy. Z działania praw, ustaw i przepisów rozmaitego porządku uczymy się poznawać naturę społeczeństw tak, jak chemik z właściwego doświadczenia.

Jakoż, metody przyrodniczéj trzymają się znakomici autorowie spółcześni, pracujący nad utworzeniem socyologii; jeżeli niektórzy z nich nadużyli analogii i przez to rzucili niekorzystne światło na swoje studya; jeżeli zamiast praw socyologicznych dali nam piękne obrazy, porównania; nie jest to winą metody, lecz zbytecznego rozciągnięcia analogii. Ale jak w innych naukach, tak i w socyologii, któréj przedmiot jest najbardziéj ze wszystkich złożony, sama metoda przyrodnicza nie wystarcza: indukcya, chociażby najściślejsza, daje wnioski bardzo przybliżone do prawdy, lecz nie stanowcze, gdyż wszystkich literalnie zjawisk ogarnąć nie możemy; dlatego chcąc badaniom socyologicznym nadać jaknajwiększą możebną ści-

słość, zaczęto stosować do nich także i metodę statystyczną. Quetelet, o ile wiemy, pierwszy zaczął się nią posługiwać na większą skalę i w oznaczonym celu dojścia, jakie prawa rządzą zjawiskami społecznemi. Ważność statystyki dla spraw państwowych, administracyi, finansów rozumiano już przed nim, ale nie zdawano sobie sprawy z tego, jakiby z niéj pożytek mógł wyniknąć w poznaniu praw społecznych. Otóż, na tę stronę statystyki Quetelet zwrócił uwagę badaczów. Zadano sobie tedy pytanie, czy téż ilość urodzonych, zaślubionych, zmarłych, złoczyńców, obłąkanych zostaje i w jakim stosunku do liczby zaludnienia, urodzajów, klimatu, pór roku itp. Odpowiedź na to pytanie wypadła twierdząca, mianowicie, że jeżeli wspomnione zjawiska społeczne będziemy rozważali na wielką skalę, wyciągnięta ztąd pewna średnia cyfra okaże się w danych peryodach czasu mniéj więcéj stałą.

Wszakże, postrzeżenie to obudziło w jednych zdziwienie, a przestrach w drugich. Więc miałożby być z góry niejako przeznaczoném, że na tysiąc, czy dziesięć tysięcy ludzi w pewnym kraju musi przypaść tylu a tylu złoczyńców, samobójców, obłąkanych? Myśl podobna przejęła zgrozą niektórych; zdawało się bowiem, że czyny człowieka podlegałyby przez to pewnemu fatalizmowi, że byłyby z góry ujęte niejako w oka żelaznéj sieci, a więc niewolne, i tém samém człowiek ani przed prawem, ani przed moralnością nie mógłby być odpowiedzialny.

Na szczęście, statystyka nie uczy, jakoby istniał ułożony naprzód jakiś kodeks praw społecznych, obejmujący kilkaset paragrafów i artykułów, które koniecznie muszą w rozwoju stosunków ludzkich znaleźć zastosowanie. Statystyka uczy tylko, że grupy społeczne, działając pod wpływem pewnych pobudek, wśród pewnych warunków i okoliczności, okazują *dążność* w kierunku takim a nie innym; że gdy się zbiegną pewne warunki zewnętrzne z pobudkami w samym człowieku działającemi, pójdzie on taką, a nie inną drogą. Statystyka nie głosi fatalizmu, ani moralności nie podkopuje, gdy nas przekonywa, że czyny ludzkie podlegają pewnéj prawidłowości, że jedne determinują i pociągają za sobą drugie, że na wolą działają rozmaite pobudki ścierające się z sobą w umyśle działacza, który ostatecznie idzie za najsilniejszą. Jest-to tylko stwierdzenie tego, co każdy na sobie i na innych dostrzega, jest-to stwierdzenie procesu psychicznego przez statystykę.

Przyjmując zatém z jednéj strony względną niezmienność natury ludzkiéj, a z drugiéj pewną prawidłowość w czynach człowieka, można myśléć o utworzeniu umiejętności badającéj właśnie tę prawidłowość. Statystyka więc pomagając nam do poznania jakie są

dążności grup społecznych, powołań, stanów, kast, instytucyi, może być bardzo pomocną w badaniach socyologicznych. Jeżeli zaś pomimo tego niektórzy uczeni niedoceniają wartości statystyki w studyach o społeczeństwie (1), przypisać to raczéj należy niedoskonałemu jéj stanowi, aniżeli jéj saméj. Bo i jakiż to materyał statystyczny ma socyolog do swego rozporządzenia? Zaledwie w kilku krajach prowadzi się statystyka zjawisk społecznych ile-tyle wiarogodna, a i tam wszystkich zjawisk ekonomicznych, moralnych, umysłowych w tablice ująć nie zdołano. A cóż dopiero mówić o użyciu tego materyału, o kombinacyi liczb i wyciąganych ztąd wniosków! Niech tylko np. kodeks karzący pewnego kraju zaliczy pewne czyny do występków, które gdzieindziéj zaliczono do wykroczeń, a zaraz statystyka kryminalna pomnoży się niebywałą cyfrą występnych i wnoszący z niéj o moralności mieszkańców grubo pomylić się może. Cóżkolwiekbądź, jeżeli studya socyologiczne nie mają być dowolném tworzeniem hipotez i poprzestawać na gromadzeniu mniéj więcéj ciekawych faktów; jeżeli mają doprowadzić do utworzenia umiejętności, muszą się posługiwać nie samą obserwacyą i opisami, lecz powinny stosować rachunek tam, gdzie on z pożytkiem może być użyty. Więcéj nas uczy o moralności naszego społeczeństwa książka taka jak *Zarysy stanu moralnego naszego społeczeństwa* p. R. Buczyńskiego, chociażby dane statystyczne, na których się opiera, były niezbyt pewne, aniżeli gołosłowne pochwały lub potępiania tegoż społeczeństwa.

4. Zadanie socyologii, jak to wyżéj nadmieniono, polega nie na samém gromadzeniu faktów społecznych, lecz głównie i przedewszystkiém na ich uogólnieniu i wykazaniu *praw* niemi rządzących; socyologia dopiero wtenczas będzie się mogła nazywać umiejętnością, gdy takie prawa wynajdzie. Dawno już rozumiano, że takie jest zadanie téj nowéj nauki. Jakoż jeszcze w r. 1822 Comte, pisząc swój „Plan prac naukowych niezbędnych do reorganizacyi społeczeństwa“ przeczuwał, „że bieg cywilizacyi odnośnie czynników swoich, ulega prawu przyrodzonemu i stałemu, które panuje nad szczegółowemi różnicami ludzkiemi“; że „prawo zasadnicze, rządzące przyrodzonym biegiem cywilizacyi, wskazuje ściśle wszystkie stany kolejne, przez które ród ludzki ma przechodzić w swoim ogólnym rozwoju.“ Nadzieję wykrycia praw socyologicznych opierał na *„tożsamości“* dostrzeżonéj w rozwoju cywilizacyi rozmaitych ludów, mię-

(1) Niedocenia, jak nam się zdaje, p. Gumplowicz i zasług Quetelet'a i wartości metody statystycznéj w badaniach socyologicznych. Patrz jego *Grundriss der Sociologie*, Wien 1885; str. 95—98.

dzy któremi nie można przypuszczać żadnych stosunków politycznych. Tożsamość ta mogła powstać jedynie pod wpływem przyrodzonego biegu cywilizacyi, który był jednakowym dla wszystkich ludów, ponieważ wynikał z praw zasadniczych organizacyi człowieka a te są wspólne wszystkim ludziom. Tak np. obyczaje pierwotnych Greków, jak je Homer opisuje, odnalezione za dni naszych u dzikich plemion Ameryki północnéj; u Malayów spostrzeżono feudalizm podobny w istocie swojej, do europejskiego w XI w.“ Rozumiejąc zadanie socyologii polegające na szukaniu praw przyrodzonych, rządzących rozwojem zjawisk społecznych, pojmując że prawa takie muszą istnieć, skoro natura ludzka jest prawie niezmienna w stalszych swoich czynnikach, i tę logiczną konieczność wspierając dowodami z etnografii: Comte jednakże nie wybrnął poza ogólniki t. j. powtarzanie, iż prawo przyrodzone rządzi biegiem cywilizacyi. Tego zaś, co autor pozytywizmu uważał za prawa socyologiczne, jak np. trzy stany umysłu ludzkiego w genezie rozmaitych nauk, albo trzy fazy w rozwoju religii: fetyszyzm, politeizm i monoteizm—dzisiaj nikt chyba prawami socyologicznemi nazywać nie zechce.

Od czasów Comte'a socyologowie nie przestali do dziśdnia szukać owych praw, mających stanowić treść i wypełnić ramy socyologii. Byli lub są i tacy, którzy poprzestając na rozklasyfikowaniu faktów przez etnografią dostarczonych, nie puszczają się daléj. wątpiąc, ażeby w tym ogromie stanowiącym wielkie mrowisko ludzkie, można było dojść jakichś praw stałych. A jednak póki takich praw nie wynajdą, socyologia nie może zostać ile-tyle ścisłą umiejętnością.

Na nieszczęście, dotychczas takich praw społecznych nie zdołali uczeni wykryć; jeżeli zaś który z nich pokusił się o uogólnienia mające podobieństwo do praw przyrodzonych, zaraz inni pokazali mu wyjątki od nich, tak, że oprócz prawa powszechnéj przyczynowości, władnącego zarówno światem zjawisk fizycznych jak i społecznych, oraz prawa powszechnego rozwoju trudnoby inne równie ogólne wskazać. Prawa dostrzeżone w mechanice niebieskiéj, jak przyciąganie i odpychanie; lub momenta statyczny i dynamiczny w mechanice ziemskiéj mogą zapewne służyć do ilustracyi zjawisk społecznych, ale praw specyalnych właściwych ciału społecznemu nie stanowią. Ostatni socyolog, p. Gumplowicz, wylicza kilka praw ogólnych, które do wszystkiego mogą być zastosowane; mamy więc prawa: przyczynowości, rozwoju, prawidłowości rozwoju, peryodyczności, złożoności (*Complicirtheit*), oddziaływania na siebie pierwiastków różnorodnych np. fizycznych, duchowych i społecznych; ogólnéj celowości itd. Wszystkie te prawa, mają, zdaniem autora

stanowić najważniejszą podporę monizmu—jedynego pryncypium, na którém świat zjawisk spoczywa, a razem są jakoby najgruntowniejszém zaprzeczeniem dualizmu. Oprócz prawa przyczynowości, najbardziéj abstrakcyjnego, i prawa rozwoju, które w świecie ludzkim dało się wykazać jako powszechne, inne przytoczone przez autora, nie wiele mówią. Przeprowadzenie ich w szczegółach przez rozmaite grupy zjawisk społecznych nie przedstawia szczególnéj trudności, ale téż nie tłómaczy tych zjawisk: słowem, socyologia dopiero poszukuje praw swoich.

Zastanawiając się nad niepowodzeniem socyologów w wykryciu praw społecznych, mających specyalne zastosowanie w zjawiskach społecznych, możnaby przyczynę jego upatrywać najprzód w ogromie zjawisk wielce zwikłanych, niedość jeszcze poznanych i rozumianych, a następnie w niejasném pojęciu, co rozumiéć przez prawo specyalnie socyologiczne. Że wielu faktów społecznych uczeni jeszcze nie zdołali wyjaśnić, tego dowodzić nie trzeba; dość zajrzéć do rozmaitych socyologii ogólnych jak i badań specyalnych w zakresie nauk społecznych, żeby się o tém przekonać. Co się zaś tyczy pojęcia praw socyologicznych, jeszcze większa panuje niepewność i chwiejność. Pojęcie prawa przyrodzonego nie jest należycie ustalone w umiejętnościach; pojęcie zwyczajne, przeniesione z ustaw ludzkich do zjawisk przyrodzonych, niezmiernie zwikłało wszystkie rozumowania. W stosunkach ludzkich prawem nazywamy pewną regułę, normę postępowania; w zjawiskach przyrodzonych nietyle o prawie, ile raczéj o pewnéj *jednostajności* tychże zjawisk mówimy. Jeżeli taką jednostajność nazywamy prawem, to jedynie dla pewnego podobieństwa z jednostajnością, jaką prawo stanowione postępowaniu człowieka przepisuje. Różnice między obu pojęciami prawa: przyrodzonego i stanowionego są bardzo wyraźne, a pomimo tego socyologowie szczególniéj o tém zapominają. Prawa przyrodzone (może lepiéj—przyrodnicze) działają z nieprzepartą siłą: ciążenie powszechne, powinowactwo chemiczne, korrelacya sił itp. działają we wszechświecie lub w pewnéj grupie zjawisk fizycznych stale i zawsze; człowiek, jako cząstka wszechświata ulega chcąc niechcąc tym prawom, przejawiają się one w jego życiu niechybnie pomimo jego woli. Inaczéj się rzecz ma z prawami czysto socyologicznemi; i one są naturalnemi jak wszystko, co człowiek czyni, ale są one zmienne, mogą się doskonalić, i na tém opiera się postęp w stosunkach ludzkich. W prawach społecznych oprócz czynników otoczenia zewnętrznego działa pierwiastek psychiczny—pragnienia i cele, których w prawach przyrodniczych nie widzimy. Ztąd téż mylą się socyologowie, gdy w zjawiskach społecznych chcą dopatrywać ta-

kich praw przyrodzonych, o jakich mówi astronomia, fizyka, chemia, fizyologia. Czerpane z tych umiejętności analogie praw socyologicznych musiały doprowadzić do tego chaosu pojęć, że w rozważaniu stosunków ludzkich na seryo rozprawiają o ciążeniu, atrakcyi, repulsyi, asymilacyi, przemianie materyi itp. Należałoby się zgodzić, że prawem socyologiczném jest tylko to, co zbiorowy człowiek ustanowił, mianowicie, pewną jednostajność dostrzeżoną w typowych faktach i zjawiskach całego rodu ludzkiego, a prawa chemiczne i biologiczne zostawić umiejętnościom, do których one należą.

Należałoby tedy pamiętać, gdy poszukujemy praw socyologicznych, że one nie są tém samém co prawa przyrodnicze rządzące zjawiskami natury nieorganicznéj i organicznéj, lecz pewnemi mniéj więcéj stałemi stosunkami wśród faktów społecznych. Stosunki te wyrabiały się wśród rozmaitych grup etnicznych pod wpływem jednakowych potrzeb człowieka tak fizycznych jak i moralnych, oraz pod wpływem rozmaitego otoczenia, na które się składa grunt danego miejsca, jego fauna, flora i sąsiednie grupy ludzkie. Dzięki właśnie jednakowym potrzebom człowieka musiała się i w jego zwyczajach, obyczajach i urządzeniach przejawić pewna jednostajność. A zatém począwszy od potrzeb nieodzownych jak pokarm, aż do mniéj naglących, jak sztuka i życie państwowe, spotykamy na kuli ziemskiéj niejaką prawidłowość w rozwoju zjawisk społecznych. Dostrzeżono np. pewną kolejność w rozwoju narzędzi, któremi się człowiek posługiwał i nazwano te fazy wiekami: kamienia, bronzu i żelaza. Zauważono w rozwoju rodziny i pokrewieństwa pewną jednostajność i nazwano to okresami; matryarchii i patryarchii, a co do małżeństwa wśród gromad dzikich i barbarzyńskich, egzogamią i endogamią—daléj poligamią i monogamią. W rozwoju religii: okresy fetyszyzmu, politeizmu i monoteizmu. W rozwoju państwa: okresy despotyzmu, feudalizmu i ustawami opisanego monarchizmu.

Czy zaś taki był koniecznie rozwój zjawisk społecznych na całéj kuli ziemskiéj? Tego dotychczas nikt stwierdzić nie mógł, albowiem wszystkich grup etnicznych nie znamy; o przeszłości ich tym mniéj mamy wiadomych; te zaś uogólnienia, jakie socyologowie do niedawna tworzyli, opierały się powiększéj części na dziejach europejskich i ludów klasycznych: słowem, uogólnienia te opierały się na bardzo wązkiéj podstawie, a chociaż je nazywano prawami socyologicznemi, jednakże nowsze i gruntowniejsze badania etnograficzne przekonały, iż prawa owe ani powszechne nie były, ani się w téj kolei rozwijały, jak je sobie ten lub ów badacz wyobrażał. Tak więc to, o co socyologii najwięcéj chodzi, bez czego umiejętnością, chociażby nie tak ścisłą jak astronomia, być nie może, mianowicie pra-

wa socyologiczne, dotychczas nie zostały wykryte. Za dowód tego twierdzenia mogą posłużyć dzieła Comte'a, H. Spencer'a, Tylor'a Peschla, Bastiana, Schäffle'go, Lilienfelda itd. Poważny szereg pracowników wielkiéj nauki nie zdołał poszukiwanych praw socyologicznych sformułować; miałożby ich nie być? Miałżeby światem ludzkim rządzić przypadek, *sa majesté le Hasard*? Ale na takie przypuszczenie dotychczasowe rezultaty osiągnięte w innych naukach, nie pozwalają; badania nie ustaną, póki i pod tym względem człowiek się nie przekona jakie są te stałe stosunki wśród różnorodnych i niezliczonych zjawisk stanowiących życie ludzkości.

5. Chociaż socyologowie nie odkryli dotychczas praw społecznych, nie można twierdzić, żeby badania ich były bezowocne. Najprzód więc, dzięki wiadomościom zebranym przez etnografów, ustaliło się przekonanie, że ród ludzki stanowi pewne, *sui generis* zjawisko przyrodzone, które należy badać témi samemi metodami co i inne zjawiska przyrodzone. Daléj, ponieważ zjawisko to jest wielce złożone, więc należy je rozłożyć na typowe grupy zjawisk, badając każdą z nich osobno, a więc: byt materyalny, rodzinę i małżeństwo, własność i prawo, obyczaj i oświatę, sztukę, religią i państwo. Dopiero wydobyte na każdém polu z tych zjawisk typowych, stałe stosunki czyli prawa, mogą złożyć pewien system praw socyologicznych.

Przekonano się następnie o fakcie, którego się domyślali już starożytni pisarze zarówno jak i późniejsi, że początki rodu ludzkiego były bardzo ubogie, że właściwie starożytnymi byli nie Egipcyanie, Grecy lub Rzymianie, ale żyjący obecnie; że tém samém suma doświadczenia i wiedzy jest większa obecnie, niż była za Sezostrysów; a porównywając teraźniejszy stan niektórych przynajmniéj odłamów ludzkości ze stanem, w jakim się znajdowały przed wieki, uczeni dostrzegli widoczny postęp w kształtowaniu się stosunków ludzkich, postęp w zakresie sztuki, wiedzy, obyczaju. Z tego zawnioskowano, że ród ludzki ulega prawu rozwoju na równi ze wszystkiemi istotami składającemi wszechświat. Jest-to wprawdzie formuła bardzo ogólna, prawo naczelne, które jednakże stanowi nić przewodnią w oryentowaniu się pośród niezliczonego mnóstwa zjawisk i faktów tworzących dzieje człowieka na ziemi. O innych, tak zwanych prawach socyologicznych, nie można tego powiedzieć. Rozmaite okresy, cykle, powrotne peryody, wieki podobne do faz jakie przebywa jednostka od urodzenia do śmierci, słowem uogólnienia pośpieszne, analogie fałszywe lub naciągane wymyślone przez teozofów, poetów i filozofujących historyków, wszystkie te formuły tytułowane prawami ostać się nie mogły, chociażby dla téj jednéj przy-

czyny, iż na prawdę ani dotychczasowy wiek rodu ludzkiego, ani kres jego żywota nie są nam znane. Inaczéj mówiąc, praw socyologicznych dotychczas nie wykryto i rozumiemy dlaczego niektórzy uczeni o wykryciu ich zwątpili.

Jeżeli teraz zapytamy, co jest motorem, sprężyną tego postępowego rozwoju w świecie ludzkim, najbardziéj wysunięty naprzód odłam pisarzy odpowiada, że czynnik *ekonomiczny*. Zamiast objaśniać znaczenie tego czynnika przytoczymy słowa jednego z takich pisarzów: „Wszelki rozwój społeczeństwa ludzkiego ponad szczebel zwierzęcéj dzikości zaczyna się wtenczas, gdy praca rodziny zaczęła więcéj wytwarzać produktów, niż ich sama rodzina potrzebowała na swoje utrzymanie; wtenczas, gdy część pracy mogła być użyta już nie na samo wytwarzanie środków do życia, lecz na wydobycie środków produkcyi. Przewyżka produktów pracy ponad koszta utrzymania tejże pracy, utworzenie i pomnożenie z owéj przewyżki, społecznego funduszu rezerwowego, było i jest fundamentem wszelkiego społecznego, politycznego i umysłowego rozwoju. W dotychczasowéj historyi był ten fundusz własnością klasy uprzywilejowanéj i on to zapewnił jéj i władzę polityczną i umysłowe przodownictwo. Przyszłe zmiany w porządku społecznym uczynią ten rezerwowy fundusz produkcyi, tj. ogół materyałów surowych, narzędzi produkcyi i środków wyżywienia, na prawdę społecznym, przenosząc go z rozporządzenia owéj uprzywilejowanéj klasy do rąk całego społeczeństwa, jako dobro ogólne“ (Engels, *Herrn Eugen Dühring's Umwälzung der Wissenschaft*, 188. 2 wyd. 1886). Jaką to drogą nastąpi, że środki produkcyi zostaną przeniesione z rąk klasy uprzywilejowanéj do rąk całego społeczeństwa, nie będziemy zgadywali; to wszakże zdaje się być pewném, iż rzeczywiście czynnik ekonomiczny jest motorem rozwoju społecznego, i że posiadanie jego nadaje barwę każdéj epoce historycznéj.

Chociaż socyologowie ani rodu ludzkiego jeszcze dobrze nie poznali. ani praw jego rozwoju w główniejszych, typowych faktach nie wykryli, kuszą się przecież o proroctwa co do przyszłego stanu ludzkości. Oto tenże Engels tak prorokuje: „Gdy społeczeństwo zostanie panem wszystkich środków produkcyi, by ich prawidłowo używać, usunie też raz na zawsze dotychczasowe ujarzmienie człowieka przez własne jego środki produkcyi. Stary tryb produkcyi musi z gruntu być odmieniony, a przedewszystkiém musi zniknąć dawny podział pracy. Miejsce jego zastąpi taka organizacya produkcyi, w któréj nikt swojego działu pracy produkcyjnéj, będącéj przyrodzonym warunkiem egzystencyi ludzkiéj, nie będzie mógł zwalić na kogo innego; w organizacyi téj praca produkcyjna zamiast być

środkiem ujarzmienia, stanie się środkiem wyzwolenia ludzi, dając każdemu sposobność rozwinięcia wszystkich swoich zarówno cielesnych jak i duchowych uzdolnień we wszelkich kierunkach i stając się tym sposobem z ciężaru przyjemnością“ (ibid. 281).

Zapowiadane eldorado może na długo pozostanie nadzieją; trzeba wątpić, czy kiedykolwiek jakaś organizacya produkcyi odejmie pracy smak gorzki i uczyni ją rozkoszą człowieka (*aus einer Last, eine Lust wird*); ale byłoby wygraną rzeczywiście, gdyby nikt nie mógł swojego działu pracy zwalać na cudze barki.

Tylko znajomość dziejów człowieka, wypełnionych nieustającą walką klas społecznych z jednéj strony, a z drugiéj świadomość obecnego stanu grup społecznych i narodowych każą autorom szukać ucieczki przed ciężką rzeczywistością w krainę ideału, który gdyby się kiedyś ziścił, nastałoby szare, monotonne, koszarowe życie. Prawie w tym samym duchu co Engels, prorokuje Letourneau, obiecując sobie, że kiedyś będzie lepiéj, mianowicie, gdy armie przemysłowe zastąpią miejsce armii wojowniczych, gdy praca najemna zamieni się na wolną w stowarzyszeniach produkcyjnych, gdy się skróci dzień roboczy. „Przyszłość postawi przed społeczeństwami cywilizowanemi nieubłagany dylemmat: sprawiedliwość lub śmierć“ (*La sociologie*, 549).

K.





Jadwiga Tarłówna. (1)

Powieść historyczna święci u nas drugi już okres powszechnego zainteresowania. Dawniéj postępowała przed historyą i do badań zachęcała, dziś idzie za nią. Na tém niewątpliwie zyskała. Po pięknych szkicach historycznych dostaliśmy wielką powieść, ona się na nich oparła, z nich wzięła tło swe dziejowe.

W dawniejszych powieściach mieliśmy dekoracyą historyczną a ludzi szablonowych: szlachcic z czasów Jagiełły i Stanisława Augusta był tą samą postacią. Dzisiaj chodzi o ludzi, o ich zakres wyobrażeń i poglądów a mniéj o dekoracyą. Ale i dekoracya ważna, bo w niéj się człowiek maluje.

Znalazłem temat stosowny, jak mi się zdaje, do skreślenia takiéj powieści historycznéj. Nie piszę jednak powieści. Oddaję szkic istotnych zdarzeń historycznych, w które, sądzę, talent poety potrafiłby łatwo wpleść wątek powieści, uchwycić ludzi i społeczeństwo w najciekawszéj i najwspanialszéj epoce naszéj przeszłości.

Może téż szczegół nieznany z życia pisarza XVI wieku, pisarza wielce sympatycznego, doda interesu téj powiastce.

* * *

Rzecz dzieje się w chwili „najwyższéj potęgi indywidualnéj i materyalnéj narodu i kraju“ w latach 1572—5. Było to w trzy lata po unii lubelskiéj. Rzeczpospolita usiadła jak owa babińska na obrazie Matejki w sadzie, pod drzewami uginającemi się od owoców. Ostatni z męskiego „plemienia domu Jagiełłowego, który u nas

(1) Rzecz oparta na aktach grodzkich i ziemskich, znajdujących się w archiwum krajowém we Lwowie.

szczęśliwie blisko dwuset lat panował“, dogorywał powoli. Miały nastąpić niebawem owe zjazdy, na które „z trzaskiem“ jeździła szlachta ku opatrzeniu Rzeczypospolitéj. Wielka epopeja i straszliwy dramat szlacheckich rządów zaczyna się: epopeja, bo w wielkie czyny zdobna, dramat, bo mieści w zarodku złe, które kraj zgubi....

Dwie epoki stykały się blisko z sobą: epoka wielkiego postępu reformacyi i nie mniéj żarliwego powrotu do katolicyzmu. Zygmunta Augusta dzieli od Zygmunta III ledwie lat 15-ście. Statyści ustępowali drogi zelantom religijnym; zwolennicy silnego rządu propagatorom swobód bezwzględnych; egzekucyi — *pacta conventa*.... Wymierała jedna generacya, wstępowała druga zgoła odmienna. Obydwie stykały się w latach bezkrólewi. Rodziny Łaskich, Tomickich, Szydłowieckich zastępują zbogaceni na Rusi Sieniawscy, Zamojscy, Zborowscy.

Między nimi słynął dom Tarłów „poczciwemi sprawami pięknie zbramowany“. Toporczyki z rodu i herbu szli z Sandomierskiego i Lubelskiego, gdzie jedna gałąź ich pozostała, z powszechnym prądem na Ruś, a pisali się z Szczekarzowic. Wielu Tarłów wylicza Paprocki; chwali, że byli ludzie zacni i zasłużeni i każe szukać „inszych ich spraw u historyków narodu różnego.“ Główną siedzibą rodzinną Tarłów na Rusi była wielka wieś Czaple, rozrzucona wśród ogrodów i sadów, nad któremi panował obronny zamek, podmyty nurtami Strwiąża.

Mieszkał w nim w pierwszéj połowie XVI wieku Andrzéj Tarło, chorąży lwowski, który z dwóch żon dochował się „cnego“ potomstwa. Jan, najstarszy z synów jego, objął po ojcu Czaple z przysiołkami i urząd chorążego lwowskiego. Paweł wstąpił do stanu duchownego i doszedł w nim stopniami aż do arcybiskupstwa lwowskiego, na którém przez lat kilka zasiadał. Stanisław, wcześnie zgasły, posiadał miasteczko Chyrów, którém się późniéj podzielili bracia. Mikołaj wreszcie, chorąży przemyski, dla wielkiego rozumu i zapobiegliwości zwany z ruska *hława*, osiadł w Laszkach, które silnie przeciw inkursyom tatarskim obwarował, spędziwszy ku temu celowi cyganów i innych włóczęgów, a pociągnąwszy zdolnych rzemieślników z Bawaryi, skąd aż „czterysta ludzi na jego prożbę książę do Polski wypuścił.“

W Czaplach na zamku smutno było w chwili, gdy opowieść nasza się poczyna. Jan Tarło, chorąży lwowski, „wielkiéj cnoty i długiéj experyencyi człowiek“, powoływany przez sąsiadów do sądów polubownych, do dywizyi majątków, urzędujący często jako komisarz królewski—odumarł swojéj rodziny w pierwszéj połowie roku 1570. Przeszło lat dwadzieścia żył przykładnie z żoną swoją Reginą Mal-

czycką, która „obdarowała“ go trzema synami i dwiema córkami. Synowie Jan, Stanisław i Mikołaj dorastali dopiero; jedna z córek, Katarzyna, wydana była za Stanisława Daniłowicza z Żurowa, druga Jadwiga chowała się w domu.

Regina Tarłowa już za życia męża zastępowała go często w interesach rodzinnych. Była to, o ile z aktów sądowych, na których wiadomości te opieramy, powziąć można, kobieta energiczna i rządna. Nie umiała wprawdzie pisać, t. j. „malować liter“, jak się wyraża jedna z intercyz prawnych, i musiała sprowadzać „uproszone przyjacioły“, aby położyli jéj podpis, ale często stawała sama „oblicznie“ przed sądami grodzkiemi i ziemskiemi nie opuściła ani jednéj pretensyi, nie dała sobie wydrzéć ani kawałka ziemi. Z kapitułą lwowską prawowała się długie lata o stawisko zwane jeziorem w Malczycach, które dostała w posagu.

Oboje rodzice, jeszcze za życia ś. p. Jana Tarły, myśleli o opatrzeniu swych córek. Katarzyna, wychodząc za mąż, dostała w posagu 3000 złp. a nadto naczynia srebrne, perły i inne drogocenne rzeczy wartości tysiąca pięćset złp. A że druga ich dziewka była jeszcze młodziuchna, więc troskliwi rodzice „obawiając się by śmierć nie zaskoczyła ich niespodziewanie, a Jadwiga nie doznała z tego powodu jakiéj krzywdy“, zapewnili jéj takiż posag sądownie w roku 1567. Mieli sumę tę oni lub spadkobiercy ich wypłacić zaraz po zamążwyjściu Jadwigi na najbliższych rokach ziemskich we Lwowie lub gdyby takowe z przyczyny powodzi, napadu nieprzyjaciół lub powietrza, nie odbyły się—w niedzielę po świętym Wojciechu.“ Prócz tego zawarowała jéj matka na swoich posagowych dobrach sumę 2000 złp., które miały jéj być wypłacone na Zielone świątki roku 1576, jeśli do tego czasu wejdzie w śluby małżeńskie.

Wcześniéj niż się spodziewano zaczęli się zgłaszać konkurenci o rękę Jadwigi. Słynęła bowiem z pięknego lica szeroko w Polsce a nawet w pogranicznych Węgrzech, a i posag zapewniony stanowił „wab“ niemały. Nadobna bowiem, „pełna skromności i wdzięków“ była ta panna, jak się wyraża Jan Łasicki w historyi wtargnienia Polaków na Wołoszczyznę; a Paprocki to o niéj zapisał: „w stanie panieńskim była szczęścia takowego dla pięknych spraw i obyczajów, że panowie postronni z Węgier i Wołoch starali się o nią do stanu małżeńskiego.“

Sam król, najwyższy opiekun sierot, zainteresował się piękną Rusinką. Dał jéj za opiekunów „zacne senatory“, Jerzego Jazłowieckiego, ruskiego i Mikołaja Mieleckiego, owego sławnego wodza, podolskiego wojewodę i umyślił wydać za Bogdana, w r. 1569 na tron wołoski wyniesionego. Bogdan ten chował się na dworach

wielkich panów polskich na Rusi, gdzie téż poznał Tarłównę i zapłonął ku niéj żarliwym afektem. Wiązał się tedy z Polakami, a powszechnie mówiono, że od wypadku, bo tron wołoski był bardzo kruchy, chciał zakupić dobra na Rusi. Zygmuntowi Augustowi złożył zaraz u wstępu do panowania hołd uroczysty i przysięgę wierności, za co mu król pozwolił odwiedzać znakomitsze domy na Rusi. „Przymierze z Bogdanem w razie wojny z Turkami zapewniało Polsce pomoc Wołoszczyzny, która, leżąc pomiędzy Polską a Turcyą, była tarczą i mocnym murem, zdolnym zahamować prąd barbarzyńców.“

Tarłom uśmiechała się wysoka parantela.

Nie było w tém zresztą nic dziwnego. Swoję siostrę Marynę wydał już Bogdan za Kaspra Paniowskiego, „człeka szlachetnego rodu i pięknéj postaci“, starostę żydaczowskiego i dał jéj 10,000 w złocie, klejnotach i pysznych perłach.

Miał jeszcze drugą siostrę Trofanę, o którą starał się sławny z dziejów Krzysztof Zborowski, brat Piotra, wojewody krakowskiego. „Związek ten był po myśli Zborowskiego, gdyż mu zapewniał podobnie bogate wiano. Celem więc skojarzenia małżeństwa—opowiada Gorecki w opisie wojny Iwona— przybył do Bogdana na Wołoszczyznę z orszakiem licznym i świetnie przybranym. Lecz gdy Bogdan odmówił mu swéj siostry, Zborowski odszedł na Ruś, kędy miał obszerne dobra, z zamiarem pomszczenia się na Bogdanie, jak skoro zręczność posłuży.“

Odmowa ta sprowadziła fatalne następstwa. Gdy bowiem Bogdan jechał do pięknéj swéj narzeczonéj do Czapel, wybiegł niecierpliwy daleko od swego orszaku i samotrzeć na saniach przebywał Dniestr lodem pokryty, „spotkał pacholę Zborowskiego, które płacząc rozpowiadało, iż zgubiło listy, które mu pan powierzył. Poczém spiąwszy konia ostrogami wróciło do Zborowskiego opowiadając, iż widziało Bogdana bez żadnego orszaku. Zborowski tedy z kilku dworzany na bystrych rumakach wpadł na Bogdana, który od Secygnowskiego, rycerskiego młodzieńca pod ucho został raniony. Następnie Zborowski uprowadziwszy Bogdana, osadził go pod strażą, z któréj nie inaczéj miał go uwolnić, aż kiedy otrzyma wynagrodzenie za szkody i straty w Wołoszczyźnie poniesione.“

Właśnie wtedy był potrzebny Bogdan na Wołoszczyźnie. Z dawna walczyły tam dwa stronnictwa sobie wrogie: polskie i tureckie. Jedno wiązało się z nami, drugie chciało podlegać tylko sułtanowi. Owo drugie wzięło teraz górę. Zbliżanie się Bogdana do Polski, sojusz z królem, był im wielce nie w smak. To téż szukali, kogoby na miejsce Bogdana powołać. Wtedy nadarzył im się sam Iwon;

wydawał on się za nieprawego syna Stefana IX Tomży, który wydarł był w r. 1563 tron wołoski sprzymierzeńcowi Polaków Aleksandrowi Heraklidzie i panował dopóki nie został schwytany przez Jazłowieckiego i sromotnie ścięty „za okrucieństwa których na Polakach się dopuszczał“. Iwon bywał także na dworach polskich, w r. 1569 usługiwał jako pacholę Janowi Firlejowi wojewodzie lubelskiemu i marszałkowi koronnemu. Przyjął jednak późniéj obrzezanie i wiarę Mahometa, ujął sobie darami radę Dywanu, gdzie rzucił podejrzenie na Bogdana, że się chce całkowicie pozbyć zwierzchnictwa tureckiego, i otrzymał od niéj pomoc zbrojną. Na czele 20,000-éj armii, złożonéj z Turków, Greków i Serbów, zbliżał się do granic Wołoszczyzny w chwili, gdy właśnie jeszcze Bogdan lizał się z ran otrzymanych na Rusi a brat jego młodszy Piotr w zastępstwie prowadził rządy. Ostrzeżony przez jednego wiernego Wołoszyna, szybko umknął do Polski, zostawiając kraj i koronę Iwonowi.

Zawiadomiony o tém Bogdan „wypłacił Zborowskiemu 6,000 czerwonych złotych, obiecując z reszty długów uiścić się w pewnym oznaczonym czasie, w czém Paniowski dał zań porękę“ i żądał w moc przymierza od Augusta posiłków; objeżdżał dwory polskie i zbierał ochotników. Ale król, który zaniemógł właśnie i czuł zbliżający się koniec życia swego, nie chciał i nie mógł zrywać w téj chwili pokoju z Turcyą. Wysłał tedy tylko Jędrzeja Taranowskiego do Konstantynopola z prośbą o przywrócenie Bogdanowi hospodarstwa. Przymknął jednakże oko na werbowanie Bogdana na Rusi; zdaje się, że sam tajemnie zachęcał panów do wzięcia w wyprawie udziału. W końcu zebrało się 2,000 jazdy, która przebywszy Dniestr wybrała zgodnie naczelnym dowódzcą Mikołaja Mieleckiego; rycerska wyprawa płynęła ku granicom Wołoszczyzny...

A wyprawa to była iście rycerska, pełna nadzwyczajnych epizodów i awantur. Opisuje ją pięknie i szczegółowo Jan Łasicki.

Przekroczywszy granicę, uczyniono raz jeszcze popis rycerstwa; nie zbyt zdatnych do boju odesłano do domu, tak iż pozostało jeno 1.300 żołnierzy, liczba szczupła ale potężna męstwem. Powoli wysyłając czaty postępowali Polacy w głąb kraju nieprzyjacielskiego, z jednéj strony Prutu, gdy na drugiéj gromadziły się wielkie wojska Iwona. Mielecki widząc, że im nie podoła, zaczął się cofać, jakgdyby dążył ku Jasom, w istocie do Chocimia, który jeden pozostał wierny Bogdanowi, bo go Polak Dobrosołowski trzymał z małą załogą. W ślad za nimi biegł nieprzyjaciel, okrążając ich w wielkiem półkolu, które ciągle trzeba było przerywać. „Podczas takiéj rozprawy jeden z Turków wystąpił z szyku i obyczajem rycerskim wyzywał kogo z naszych na pojedyncze spotkanie. Wybiegł naprzeciw Turka

Stanisław Występ, mąż drobny ciałem lecz (jako bywa) wielki sercem i wnet prawie swym oszczepem przebił Turka". Nazajutrz, mówi dalej Łasicki, gdy nasi dążyli do Chocimia, znowu siły tureckie szły w ślad za nimi i znowu inny Turek, świetny żółtą bronią i żółtym lśniącym pancerzem, wyzywał na bój pojedynczy Stanisława Ciołka. Słysząc to wezwany przebiegł do wojewody z prośbą, aby mu było wolno wystąpić do boju w obronie swéj cześci. Nie pozwolił Mielecki; dla tego błagał go Ciołek, aby mógł posłać za siebie jednego z czeladzi swéj. Po uzyskanén pozwoleniu Paweł Chaurowski puścił się ku nieprzyjacielowi i zakipiał bój zobopólny. Paweł, młodzian krwi gorącéj i silnéj ręki, prędko dobywszy miecza ciął w czoło Turka a zanim ów dobył swe żelazo, Polak krzepko go ujął za barki." To wiedząc, biegą Turcy na pomoc swojemu, nasi Chaurowskiemu. „Rozegrzani bojem i zapałem, w gwarze trąb i kotłów postrzegłszy nareszcie, że się nadto od swoich oddalili, skupiają się w jedno i powracają do obozu.

I tak trwają harce daléj. Z jednéj strony słychać; *gaur*! *gaur*! *ocide*! *ocide*! z drugiéj: *bij*! *zabij*. Do upadającego jednego z Turków woła Młodecki: „Tak więc giń, mięsopustna maszkaro"; bowiem był ów Turek strojny w pióra strusie i skórę lamparcią, nakształt zapustnych maszkar. W końcu zdążają nasi z Bogdanem, któremu Mielecki zakazał mieszać się do spraw, pod Chocim. Starszyzna weszła do twierdzy, a insi okopali się zewnątrz.

* * *

Gdy Bogdan zdala od kochanki walczy, inny wzdycha do niéj młodzieniec.

W Zimnéj Wodzie pode Lwowem mieszkał w ruszným kącie głośny z wielu procesów podstoli lwowski, Joachim Sęp Szarzyński. Sępem zwał się a postępowaniem usprawiedliwiał tę nazwę. Zimna Woda była wówczas wielkim zaściankiem; wśród gęstych lasów stały oddzielnie domki bogatych mieszczan lwowskich lub zagrody szlacheckie, do których tuliły się chaty wieśniacze. Tam chował się dzieckiem Mikołaj, syn Joachima. Potém bywał w szkołach, zajechał aż na uniwersytet lipski, gdzie go w spisie uczniów znajdujemy. Zapewne zwiedził téż klasyczną ziemię włoską, dokąd wówczas wybiegała najchętniéj młódź polska po naukę.

Właśnie powrócił do kraju. Przywiózł z sobą nową formę dla poezyi naszéj, sonet, w który tyle gorącego uczucia umieli wlać Włosi (1). Niewiadomo gdzie spotkał Mikołaj Jadwigę. Domyślam się,

---

(1) Twierdzenie powyższe wobec istnienia sonetów w pismach Jana Kochanowskiego: „Do Franciszka", „Do Stanisława", nie może być brane dosłownie. (*Prz. Red.*)

że w domu Starzechòwskich, których był przyjacielem i domownikiem. Napisał piękny nagrobek Janowi Starzechowskiemu, wojewodzie podolskiemu; u Wojciecha Starzechowskiego, podkomorzego lwowskiego, pozostały po śmierci poety pisma jego. Z Starzechowskimi zaś spotykali się i wiele interesów miewali Tarłowie.

Pannie Jadwidze Tarłównéj kwoli napisał poeta taki wiersz:

Piorunem strasznym olbrzymy pobite,
Poważnych królów sprawy znamienite
Niech kto chce śpiewa: nam się lutnio mało
Pegazskich zdrojów wody pić dostało.
Bacha śpiewajmy cicho pijącego,
Przy niéj Cypridę, i wojny pustego
Spokojne dziecka, które zawżdy swoję
Na rozpalonéj skale ostrzy zbroję.
Powiedzmy ktemu żartowliwe zdrady
Leśnych satyrów, na śliczne Driady
Albo płacz śmieszny nieważnéj ciężkości,
Która przy trudnéj tuż chodzi miłości.
I was nadobne Nimfy wspominiemy
A zawsze ciebie naprzód przed innemi,
Którą Dniestr rybny, którą Wisła sobie
Biorą (lecz z krzywdą oba) ku ozdobie.
Długi na kresie, co krótkim Strwiąż płynie
Że cię wychował, prawdziwie tym słynie.
Pewien w téj mierze i Oceanowi
Sławy niestąpić tysiąc Nimf królowi.
Nie darmo hardy, jawnie to baczymy,
Jako ty kwitniesz dary ozdobnymi,
Zrównałaś stanem z wstydliwą Dianą,
Zrównałaś twarzą z Wenerą rożaną.
Mniejsza od ciebie Pallas w obyczaje
W każdéj twéj sprawie Charis się znać daje,
I zdumiewa się Helicon uczony
Gdy illijaną ręką bijesz w strony.
Ozdobo ziemie: szczęśliwy, szczęśliwy,
Komu cię Pan Bóg naznaczył życzliwy.
Komu cię Hymen słowy statecznymi
I pochodniami przyłączy wiecznymi.

Nadto jest jeszcze pieśń druga bezimiennie napisana, ale sądzę, że się także do Tarłównéj odnosi. Wzywa w niéj Szarzyński Wenerę, by zeszła nad Wisłę i spojrzała na „śliczne nasze plemie"; zobaczyłaby tam dziewicę, która bez „waszéj trojańskiéj niezgody odniosłaby klejnot piękności"

„Hesper jak jasna jest między gwiazdami
Tak twe wspaniałe, panno nad pannami
Są obyczaje z natury przyrodne
Ozdoby godne.

Jeśli jest cnota chwały godna wszędzie
Tedy ma lutnia ciebie sławić będzie,
I wiersz mój śpiewać, to jest tobie k'woli
Serce mnie boli..."

„Serce boli" bo przecież pobożne to tylko mogły być wzdychania naszego poety. Jakaż wielka przepaść między tronem wołoskim a zaściankiem biednego „rymarza"...

* * *

Ale i Bogdanowi nie lepiéj poszło. „Iwonowi coraz przybywało wojska a garstka Mieleckiego dla braku żywności (konie bowiem przez dni kilka nie miały innego pokarmu krom gałęzi i chróstów) poczęła przemyśliwać nad powrotem do ojczyzny. Wprawdzie zbliżał się Jazłowiecki, hetman koronny, na czele ośmiuset rycerstwa „ale go mądry Mielecki odwiódł od zamysłu, aby rozdrażniwszy barbarzyńców, swoim większych klęsk nie przyczyniać.

Lecz i powrót już nie był łatwym, bo całą krainę od Dniestru do Chocima zalegały tłumy zbrojne tureckie. Trzeba było traktować. Iwon dopiero na wezwanie Jazłowieckiego pozwolił załodze wrócić do ojczyzny. „Nasi po przebyciu Dniestru naprzód dziękowali Bogu—mówi ten sam Łasicki, potém wodzowi a wodzowie wzajemnie oświadczali dzięki rycerstwu za okazaną w wojnie karność i odwagę. Mówią pospolicie, dodaje, że Mielecki wymodlił u Boga ocalenie swoich, gdyż nieraz widziano jak po całych nocach się modlił."

Bogdan wracał także z wojskami polskiemi. Było to 15 kwietnia 1572 roku. Twierdzę zdawał znowu w ręce owemu Marcinowi Dobrosołowskiemu „do ćwierci lata." W „liście" oddania, który się zachował w aktach grodzkich, tak z rozpaczą pisał: A gdybyśmy my do tego czasu ratunku a pomocy nie dali a on by ten zamek nieprzyjacielowi puścił a z niego stąpił, tedy ten to pan Dobrosołowski nam w tém nic winien nie zostanie a sławie jego dobréj i poczciwości inszym wszystkim przy nim będącym namniéj szkodzić nie będzie, co się stało przy bytności ich mści panów Stanisława Daniłowicza chorążego lwowskiego [był to, jak wiemy, mąż Katarzyny Tarłównéj], Stanisława Ciołka, Balcera Leśniowskiego i inszych zacnych ludzi za wiadomością téż W-go pana Mikołaja Mieleckiego, wojewody podolskiego itd. na ten czas będącego."

Odtąd już grom po gromie uderza w biednego exwojewodę.

Za powrotem na Ruś umiera szwagier i obrońca spraw jego między szlachtą, Kasper Paniowski, zostawiając młodą wdowę

i siostrę jéj Trofanę na opiekę brata Malchera. Potwierdza tę opiekę Piotr, brat wojewodzianek w poniedziałek przed świętym Janem Chrzcicielem r. 1572 we Lwowie, a tegoż samego dnia porucza ze swéj strony pełnomocnictwo nad siostrami Bogdan przed sądem przemyskim Andrzejowi Wapowskiemu z Radochoniec, kasztelanowi przemyskiemu, Janowi Herburtowi z Fulsztyna, kasztelanowi sanockiemu i Mikołajowi Tarle, chorążemu przemyskiemu, a zarazem zdaje je łasce króla.

Widzimy z tego, że Bogdan do przemyskiéj ziemi powrócił, że daléj utrzymywał z Tarłami stosunki, bo Mikołaj Tarło był, jak wiadomo z poprzedniego, stryjem Jadwigi.

Potém doszła go wieść, że Dobrosołowski po kilkutygodniowéj obronie w 70 ludzi, za przyrzeczenie przez Iwona przysięgi królowi polskiemu, a za rozkazem Jazłowieckiego zdał twierdzę, „w któréj ani prośbami, ani groźbą nie mógł go nieprzyjaciel do uległości przywieść.“

A wkońcu—przeleciała kraj żałobna wieść o śmierci Zygmunta Augusta (7 lipca 1572), ostatniego obrońcy Bogdana, na którego pomoc mógł liczyć.

Dalsze losy jego są nam nieznane. „Ubieżał do Moskwy, podaje Gorecki, gdzie jak mówią zamieszkał; może też uskoczył na Niż, gdzie tacy zrozpaczeni znajdowali przytułek.“

Mądrzejszy brat jego Piotr poszedł odwdzięczyć się Iwonowi u Dywanu i szczuł Turków znowu na hospodara, który się poddał Polsce. Wkońcu przyszło do nowéj wojny, w któréj Iwon sromotnie zginął... ale te dzieje nie wchodzą już w zakres mego szkicu.

* * *

Jadwiga Tarłówna nie została wojewodziną wołoską. „Pan Bóg ją od tego obronił — mówi Paprocki — dopuściwszy różne nieszczęścia na onego pana.“

O ile na tém dobrze wyszła — nie wiemy. Nie została żoną awanturnika, ale los jéj dalszy nie jest zazdrości godzien. Młoda, nad podziw piękna, zapewne i poetyczna nieco, bo jak słyszeliśmy „bijała w struny“, a odmiennie od matki była literatką, bo pisać umiała; została czwartą już z rzędu żoną starego męża. Był nim Hieronim Sieniawski, kasztelan kamieniecki, halicki i kołomyjski starosta, bogaty pan na Brzeżanach i wielu miasteczkach i wioskach. Prawda, był to „wojownik wielki, pan zacny i wielkiego rodu“, „nie mniejszy w wojennym placu kawaler, przy którym zawsze się wiązała przyjazna fortuna, przy fortunie skromność, ze skromnością szczodrobliwość, którą sobie wszystkie zniewalał serca i umysły“, ale

cóż kiedy, wedle najpobłażliwszego rachunku, już pięćdziesiątki dobiegał....

Czytając intercyzę ślubną z r. 1575 nie można się prawie uchronić od przypuszczenia, że ją sobie po prostu kupił. Biorąc swój posag, zrzekała się Jadwiga wszystkich pretensyi do schedy Tarłów, a za to Hieronim Sieniawski wspaniałomyślnie (jak się akt sądowy wyraża) zapisywał najukochańszéj żonie sumę 14 tysięcy złp. na „przywianki.“

Jeszcze tego samego roku (1575) Sieniawski „przewidując niepewne wypadki, bo życie ludzkie — jak pisał — ułomne i kruche jest, a nic pewniejszego od śmierci“, ustanowił młodéj żonie w razie swego zejścia opiekunów, między którymi czytamy imiona Mikołaja Mieleckiego, Mikołaja Sieniawskiego, brata Hieronima, i Stanisława Daniłowicza. Był to zły prognostyk dla „młodéj pary.“

Królowała Jadwiga na zamku brzeżańskim, a że była „stateczna katoliczka“, pracowała nad tém aby „pozyskać męża Bogu.“ Hieronim daléj prowadził boje z Tatarami, którzy teraz znowu często harcowali na Rusi, gdzie (wedle ówczesnego wyrażenia) wybierali ludzi jak kury z kojca.

Urodził im się syn Adam.

W r. 1581 umarł Sieniawski, zostawiając młodą wdowę, która jednakże już nigdy za mąż nie wyszła.

* * *

A poeta?

Mało wiemy o jego życiu. Dorabiał się fortuny dzierżawami, ale podobno nie wiele zebrał. Usiadła na lutni jego jakaś posępność, którą tchną wszystkie prawie jego utwory. „I nie miłować ciężko i miłować nędzna pociecha“—wołał, a przecież „żądasz chciwie być miłowanym“, bo „miłość jest własny bieg życia naszego.“ A innym razem: „Cóż będę czynił w tak straszliwym boju.“

Wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie... Jakby przeznaczony od losu na rychłą śmierć, ilekroć odezwał się to o niéj, to o bezcelowości życia tego. Po co tu jestem? dokąd dążę? co jest celem życia mego? Znajdował na to odpowiedź w psalmach Dawida, „w którego trop lutnię swoją stroił“, znajdował ją w religii, któréj żarliwym był obrońcą.“ „Wiekuista mądrości! — wołał — Boże niezmierzony, który opaczystym obłokom poczyniłeś tory, niech i moja łódź raz stanie u brzegu, jeśli nie jest bezportne ludzkie żeglowanie.“

W roku 1581 żyć przestał.

Ludwik Finkel.





OSTATNIE ZMIANY W USTAWIE GMINNÉJ.

W dniu 3/15 czerwca 1886 r. zapadła uchwała rady państwa, wprowadzająca dwa uzupełnienia w przepisach naszego ustawodawstwa gminnego. Obie zmiany mają na względzie wójta gminy, a w szczególności jedna z nich uzupełnia prawo wyborcze bierne, druga zaś dotyczy stosunku wójta do zwierzchnich władz administracyjnych.

Na zasadzie art. 67 ukazu z d. 19 lutego (2 marca), 1864 r., obok innych warunków, kandydat na wójta obowiązany był posiadać prawem własności przynajmniéj sześć morgów gruntu. Poźniéj w skutek przekształcenia małych miast Królestwa na osady i wcielenia tych ostatnich do gmin, wymieniony cenzus uległ zniżeniu do trzech morgów a to w tych gminach, które utworzono z dawnych miasteczek. W téj mierze posiadał moc obowiązującą art. 67 post. kom. urz. z d. 6/18 lutego 1870 r. Wreszcie ukaz z d. 31 października 1879 r. rozciągnął przepis niniejszy do wszystkich gmin dwóch powiatów gubernii kieleckiéj, a mianowicie Miechowskiego i Pinczowskiego.

Nowe prawo przedewszystkiém sankcyonuje określoną przez art. 67 ukazu z r. 1864 przestrzeń dla wszystkich gmin tj. stanowi, iż tylko ci z pośród członków gmin do pełnienia obowiązków wójta powołani być mogą, którzy posiadają prawem własności przynajmniéj sześć morgów ziemi. Dodaje wszakże do tego zasadniczego warunku dwa doniosłe ograniczenia: 1° iż kandydat na wójta grunt swój posiadać musi najmniéj lat dwa i 2° iż w skład jego osady wchodzić muszą zabudowania i to takie, które na niéj przynajmniéj lat dwa istnieją. Pierwsza kwestya, jaka przy stosowaniu nowego prawa zachodzi, jest ta, czy znosi ono dwa wymienione przez nas

rozporządzenia prawodawcze z roku 1870 i 1879? Nam się zdaje, że nie. Rozpatrywana bowiem przez nas uchwała rady państwa brzmi tak: „W celu uzupełnienia i zmiany odpowiednich artykułów najwyższego ukazu z d. 19 lutego 1864 r. o urządzeniu gmin wiejskich „rada państwa uchwaliła itd " Widoczném jest zatém, iż prawodawca miał na myśli zmienić ukaz z r. 1864, nie zaś późniejsze rozporządzenia.

Zresztą punkt ciężkości nowego prawa spoczywa nie w określeniu *ilości* ziemi, bo w téj mierze powołany ukaz z r. 1864 obejmuje identyczny przepis, lecz w oznaczeniu minimum czasu, w ciągu którego ma trwać posiadanie ziemi, pod tym względem prawo z dnia 3/15 czerwca r. b. musi miéć najobszerniejsze zastosowanie i dla tego, zdaniem naszém, rozporządzenia tak z roku 1870, jak i z r. 1879 uzupełnione być muszą w ten sposób, że i nadal posiadanie trzech morgów wystarczy w powołanych wyżéj gminach do pełnienia obowiązków wójta, lecz trwać ono musi *przynajmniéj przez przeciąg czasu dwuletni.*

Przechodząc do treści samego prawa, przedewszystkiém nadmienić należy, iż warunek dwuletniego posiadania ziemi jest uzupełnieniem, które ustawom gminnym innych krajów europejskich znaném jest w daleko obszerniejszém znaczeniu. Gdy u nas, aby być wyborcą czynnym na wójta, nie potrzeba być wcale poprzednio, przez pewien czas, członkiem gminy, we Francyi podług art. 4 prawa z d. 14 kwietnia 1874 r. (1) wyborcą na radców municypalnych, którzy obierają mera, między innymi mogą być tylko ci, którzy mieszkają przynajmniéj przez rok jeden w gminie; w Galicyi w myśl art. 1 ordynacyi wyborczéj, z praw tych korzystać mogą członkowie gminy, opłacający przynajmniéj od roku podatek z realności, procederu lub dochodu. Nie myślimy w téj chwili zastanawiać się nad różnicami, zachodzącemi we Francyi i w Galicyi, a które warunkują się tém, że gminy owe obejmują wszystkich mieszkańców, nie zaś, jak u nas, tylko właścicieli ziemskich, lecz zwracamy uwagę na to, że w obu tych krajach już prawo czynne wyborcze wymaga *przynależytości* przez czas pewien do gminy. U nas dopiero teraz kandydat na wójta takiemu warunkowi odpowiedzieć musi. Że to jest warunek niezbędny, tego, zdaje się, dowodzić nie potrzeba.

Członkiem władz samorządu w zasadzie może być tylko ten, kto zdołał do pewnego stopnia zżyć się z potrzebami i warunkami danéj miejscowości. Stąd więc słusznem jest, że naczelnikiem gminy nie powinien być ten, kto świeżo do niéj przybył, kto mieszkańcom

(1) Vuatrin et Batbie: Lois administr. franç. Paris 1876, str. 262.

tejże jest obcym. Jeśli ustawa gminna u nas tylko właścicielom ziemi prawa członków gminy przyznaje, to rozumie się, warunek dwuletniego pobytu prawo skojarzyć musiało z posiadaniem gruntu w ciągu takiego czasu. Nowym, a poczęści nieznanym w innych ustawach warunkiem jest żądanie, iżby na gruncie kandydata na wójta znajdowały się zabudowania, i to także przynajmniej przez lat dwa. Nie znamy motywów prawodawczych, które wydaniu całego prawa towarzyszyły; nie omylimy się przecież, twierdząc, iż pobudką przepisu tego była, chęć zapobiegania symulacyjnym przepisywaniom własności. Łatwo się zdarzyć może, iż pretendent na wójta, z góry się co do samego posiadania zabezpieczy i na lat dwa przed datą wyboru grunt na siebie pozornie przepisać każe. Tylko więc istnienie budowli w ciągu takiego czasu dawać będzie gwarancyę, iż rzeczywiście i istotnie dany kandydat przez czas taki za właściciela gruntu się uważał. Jedna tylko jest tu do zrobienia uwaga; oto prawodawca nie oznaczył bliżéj, w jaki sposób grunt ma być zabudowany i co przez zabudowaną osadę rozumiéć należy.

Nie ulega wątpliwości, iż wprowadzona przez ostatnie prawo zmiana warunków wyboru biernego posiada pewną doniosłość i że może ona niejako przyczynić się do większéj niezależności wójta. Lecz w każdym razie, żadne przepisy nie podniosą stanowiska téj władzy, jeśli nie zostanie wprowadzonym, jako *conditio sine qua non*, pewien stopień wykształcenia. Skoro nieumiejący nawet czytać kandydaci, wójtami zostają, to o tém, aby wójt odpowiadał zamierzeniom ustawy gminnéj nawet mowy być nie może. Jest to anomalia, któréj żadna ustawa gminna nie zna, a właściwość ta naszego prawa nie jest tego rodzaju, aby ją zachować należało.

Druga z kolei zmiana, przez ostatnie prawo wprowadzona. ma na względzie, zachowanie pewnéj formalności przy wymierzaniu przez naczelnika powiatu kar dyscyplinarnych na wójta.

W myśl art. 90 ukazu z r. 1864, wójci gmin łącznie z sołtysami i pisarzami podlegają bezpośredniéj władzy naczelnika powiatu.

Do tego ostatniego winny być podawane skargi tak przez władze rządowe. jak i przez osoby prywatne.

Ze swéj strony naczelnik powiatu mocen jest wymierzać pewne kary na wójta, a mianowicie może go napomniéć, skazać na karę pieniężną do wysokości pięciu rubli, lub téż na areszt siedmiodniowy (art. 90).

Zapadłe w téj mierze decyzye naczelnika powiatu nie mogą być nigdzie zaskarżane i jedyną opieką, jaką prawo wójtowi zapewniało, było to, iż naczelnik powiatu co trzy miesiące miał obowiązek składania gubernatorowi raportu o wymierzonych przez siebie karach z krótkiém wyszczególnieniem przyczyn, które go do tego skłoniły.

Nowe prawo zwiększa nieco tę kontrolę nad czynnościami naczelnika powiatu; odtąd ten ostatni o każdém skazaniu wójta na areszt obowiązany jest bezzwłocznie zawiadomić gubernatora z szczegółowém wyjaśnieniem przyczyn, które go do wymierzenia takiéj kary zmusiły. O ile więc kara przez naczelnika powiatu stosowana, zasadza się na napomnieniu lub karze pieniężnéj, pozostaje w swéj mocy przepis dotychczasowy, zawarty w art. 90 ukazu.

Nie ma wątpliwości, iż dotychczasowa zależność wójta od naczelnika staje się powodem, iż klasy inteligentniejsze nie chcą sprawować tych obowiązków; w każdym razie, nowe prawo jest pod tym względem krokiem naprzód, a miejmy nadzieję, iż z czasem, na wzór ustaw gminnych europejskich, pozbawiać wolności wójta bez sądu nie będzie można.

Jest to niezbędnem dla nadania rzeczywistéj powagi i samoistności władzy wójta gminy.

Henryk Konic.





O NAJNOWSZYCH ZDOBYCZACH

PIEŚNI LUDOWYCH SERBSKICH.

Znając nienaśladowanéj piękności rapsody i pieśni narodowe Serbów, wydane po raz pierwszy przez *Wuka Karadżicza* i widząc przytém jak już nie tylko liczebnie uboższym, lecz i co do swéj wartości pośledniejszym przyczynkiem do nich, okazały się późniéj ogłoszone zbiory, samegoż Karadżicza z Hercegowiny, jego przyjaciela *Wuka Wrczewicza* z Czarnogóry, Kotaru i Dalmacyi, *Bogoljuba Petranowicza*, *Risticza* i *Krasicza* z Bośni i t. p. — zdawać się mogło, że nieśmiertelny „*Starina Wuk*“ jeżeli nie wszystkie wyczerpał, to z pewnością wyłowił co najpiękniejsze utwory poezyi ludowéj Serbów. Tymczasem, jak gdyby na potwierdzenie dawno znanego i stokrotnie powtarzanego zdania, że lud każdy posiada własne, nigdy niewyczerpane skarby twórczości ducha narodowego, przechowane w swoich podaniach, wierzeniach i utworach poetycznych,—w ostatnich latach dobrano się powtórnie do tych skarbów ludu serbskiego i zdobyto dla literatury powszechnéj część ich nie mniejszą i podobno nie mniéj cenną od tych, jakiemi ją poraz pierwszy obdarzył Karadżicz.

Zdobycz ta tém jest godniejszą uwagi, iż niespodzianie przybywa nam stamtąd, skądby na pozór jak najmniéj można jéj było oczekiwać, — a to mianowicie z Wiednia, od tamtejszego Towarzystwa Antropologicznego.

Istniejąc od lat 16-tu, Towarzystwo to uprawialo dotąd bardzo czynnie wszelkie inne przedmioty antropologiczne, przeważnie zabytki przedhistorycznych czasów, krajowe i obce; lecz najmniéj zajmowano się tam etnografią wogóle, słowiańską zaś jedynie przy sposobności rozpraw doraźnych, przedstawianych od czasu do czasu.

Dopiero w r. 1884 nadspodziewany i dość znaczny zasiłek pieniężny, otrzymany ze szczodrobliwości monarszéj, z zapomogi rządowéj i z hojnéj ofiarności prywatnéj, posłużył Towarzystwu do zarządzenia najpilniejszych badań naukowych według myśli własnéj, a w liczbie tych uchwalono zbadać Bośnię i Hercegowinę pod względem etnograficznym.

Do podjęcia téj ważnéj misyi znalazł się, szczęściem w gronie samego Towarzystwa, badacz równie umiejętny jak gruntowny i wielki miłośnik rzeczy ludowych południowéj Słowiańszczyzny, *dr. Frydr. Krauss*, znany zaszczytnie z kilku cennych prac, dotyczących twórczości ludowéj w téj dzielnicy Słowiańszczyzny, ogłoszonych w ostatnich latach (1).

Dla poleconych mu badań przebywał on na pierwszy raz, od lata 1884 r. aż do początku 1885 r., w północno-zachodniéj stronie Bośni, t. zw. *„dolni krajevi“*, między rzekami Sawą, Driną i Bosną, sięgając też za lewe porzecze téj ostatniéj. Zwiedziwszy około stu miejscowości w téj stronie, zamierza on posunąć swoje badania do południowéj części Bośni oraz do Hercegowiny. Dotychczasowe poszukiwania d-ra Kraussa obdarzyły go plonem niepospolicie cennym i bogatym, jak o tém wnosić można z jego sprawozdania tymczasowego, zamieszczonego w jednym z ostatnich zeszytów publikacyi Towarz. Antropolog. Wiedeńskiego (2). Ponieważ wiadomość o tych jego zdobyczach nie może być obojętną dla miłośników rzeczy słowiańskich, więc sprawozdanie d-ra Kraussa podajemy tutaj dokładnie w całéj niemal osnowie.

Ludność kraju, zbadanego dotąd przez siebie, znalazł d-r Krauss przeważnie słowiańską, z bardzo rzadkiemi zresztą i wcale nie znaczącemi wyjątkami. Na oko przedstawia mu się ona w czterech typach następujących: 1° *mahometańsko-słowiański*: twarz owalna, czapki płaskie, włosy jasne i gładkie, oczy błękitne. 2° Typ uderzająco *podobny do czeskiego*, a jeszcze bardziéj *do rusińskiego*: małe i niskie czoła, głębokie ciemne oczy, nos tępy i nieco zadarty, kości policzkowe mocno rozwinięte. Są to przytém ludzie niewielkiego wzrostu i mieszkają po większéj części wśród wyższych łańcuchów gór. Według domniemania d-ra Kraussa, są oni prawdopodobnie po-

---

(1) *Südslavische Pestsagen* (Mittheilungen der Anthrop. Gesell. in Wien. Bd. XIII, str. 156—168). — *Südslavische Hexensagen* (tamże. T. XIV, str. 13—48). — *Sagen und Märchen der Südslaven.* Leipzig 1883. — *Sitte und Brauch der Südslaven.* Wien 1885.

(2) Mittheilungen d. Anthrop. Gesell. in Wien Bd. XV. Hft. 1, str. 21—24.

tomkami najdawniejszych osadników słowiańskich w tym kraju. Wszyscy są, bez wyjątku niemal, katolikami i dziwnie przypominają górali słoweńskich, szczególnie w wymawianiu i intonacyi ostatnich zgłosek. 3° Trzecim typem jest znany powszechnie *hercegowińsko-albański*; nakoniec 4° *właściwy serbski*.

Pieśni bohaterskie przechowały się z zadziwiającą świeżością przeważnie między ludem należącym do pierwszych dwóch typów; chociaż i u tego ludu czasy twórczości poetycznéj już się podobno skończyły. Tak przynajmniéj wnosi dr. Krauss z tego, iż wyjątkowo tylko zdarzało mu się spotykać niekiedy z pieśniami opiewającemi zdarzenia z ostatnich lat 20 stu. Co się tyczy okupacyi austryackiéj, to według słusznéj uwagi naszego badacza, bardzo mało sprzyja muzie ludowéj i wcale nie usposabia jego wyobraźni do nowéj twórczości.

Do początku roku przeszłego udało się dr. Kraussowi spisać samych pieśni epicznych przeszło 25 tysięcy wierszy, a z tych połowę niemal od śpiewaków wyznania mahometańskiego, na których przed nim bodaj że nie zwracano uwagi. Dawniejsi zbieracze, którymi po największéj części byli księża, z umysłu może nie spisywali pieśni z ust mahometanów i skutkiem tego lekceważenia pomijali najbogatsze źródła, służące do poznania twórczości poetyckiej własnego narodu. Tymczasem, przeciwnie, dr. Krauss podaje to jako fakt niezaprzeczony, iż pieśni Słowian wyznania mahometańskiego są daleko bogatsze treścią i doskonalsze pod względem formy, niż pieśni ich współbraci chrześciańskich. Przyczynę tego tłómaczy on sobie łatwo tą okolicznością, że właśnie mahometanie-Bośniacy, jako panujący w kraju i występujący czynnie w jego niefortunnych kolejach, stawali się prawdziwymi bohaterami pieśni ludowych; lecz nie owi pospolici hajducy, którzy w swych walkach pokryjomych nie mieli pola do tak rozgłośnéj sławy.

Zbierając pieśni bohaterskie, opowiada dr. Krauss, poszczęściło mu się natrafić na skarb tak cenny, że dla niego samego warto już byłoby przedsięwziąć podróż umyślną. Spisał on mianowicie cały cykl z dziewięciu pieśni epicznych, obejmujący 4910 wierszy, t. j. tylko o 367 wierszy mniéj, niż zawierają dziewięć najdłuższych pieśni *„junackich najstarszych“* w zbiorze Karadżicza, a między któremi najdłuższa (N. 89: „Ożenienie się Maksyma Crnojewicza“) składa się z 1226 wierszy.

Treścią tych pieśni są wyprawy wojenne Bulubasza Muja z Udbiny. Pierwszych 8 pieśni pochodzi od pieśniarza z Wyszegradu (pijevo višegradlija), zmarłego przed 25 laty w Bielinie, w bardzo podeszłym wieku. O przeszłości tego mistrza bardzo nie wiele, nię-

stety, opowiedzieć umieli p. Kraussowi dwaj gęślarze, którzy mu te rapsody śpiewali. Ostatnią, t. j 9-tą pieśń tego cyklu spisał on od pewnego Serba chrześcianina.

„Cały ten epos — powiada dr. Krauss — jest unikatem w południowo-słowiańskiéj literaturze ludowéj. Na równi z pieśniami homerycznemi należy on do literatury powszechnéj całego świata. Niema w nim ani jednego wiersza zbytecznego, żadnych powtarzań się, żadnych frazesów. Bohaterami jego są: *Mujo*, dzieciak *Omar*, sokół *Halil*, 130-letni, lecz zawsze dzielny *Czejwanaga*, powiadający o sobie:

Choclaż mi lata włos zbieliły na brodzie,
Miło mi jeszcze na piękną duszę spoglądać —

daléj błazen *Tale*, walczący olbrzymią maczugą. Wszyscy oni są-to męże nieustraszonéj waleczności, ważą się na czyny wielkie, których téż dokonywują; nie rozprawiają oni o bohaterstwie, lecz dają dowody jego we własnych czynach. Pieśni te są jeszcze z tego względu cenne, że w nich poraz pierwszy słyszymy o wyprawach morskich Słowian-mahometanów na Adryatyk, o ich bojach w Afryce, na Malcie i we Włoszech.“

Jak wielką musi być obfitość pieśni ludowych u Bośniaków, daje się to poznać stąd, iż same pieśni, słyszane przez siebie, oblicza dr. Krauss na 120 tysięcy wierszy; w téj liczbie zaś mieszczą się same tylko pieśni nieznane w druku i z treści swojéj mające pewną wartość; waryanty zaś pieśni znanych spisywał on tylko wyjątkowo i wyłącznie takie, które prawdziwie zasługują na uwagę.

Oprócz wyżéj wymienionych pieśni bohaterskich, bardzo liczne są pieśni mitologicznéj treści; najdłuższą z nich, a zarazem ze wszystkich znanych dotąd pieśni serbskich, jest: „*O junaku Ilji Smilanowiczu*“ (N. 10: „junak bio Smiljaniću Iljo“), składająca się z 1230 wierszy. „Z pomiędzy tychże — powiada dr. Krauss — pieśń: *Vila bogom pobratila Marka* (321 wier.) jest pierwszorzędnym klejnotem. W niéj królewicz Marko występuje jako bohater słoneczny (Sonnenheros). Ubiega się on o rękę córy Konstantyna, cesarza z Słońcogrodu („od prisoja grada“). Dotknięta przez niego Wila z Staligrodu („od čelik gradu“), poprzysiągłszy mu zemstę, czyha nań w drodze, gdy powracał po ślubie, zabija mu strzałami cały orszak weselny, porywa zaślubioną i więzi ją w Staligrodzie. Marko odszukuje Wilę w jéj siedzibie i zmusza ją do posłuszeństwa. Wila przywołuje do życia orszak weselny, na jéj rozkaz węże kryją się po szczelinach skalnych, sprzymierzone z nią kaczki dzikie z jeziora znikają na dnie tegoż, jezioro oczyszcza się, moc Wili została skruszoną, a zima zagnaną do Staligrodu, góry i doliny budzą się ze snu do nowego życia wśród świeżości i wesela. — Jest-to pieśń wiosenna!“

W zbiorze pieśni, zdobytych przez d-ra Kraussa, o samych już wilach mieszczą się nader rzadkie materyały mitologiczne. „Pieśni te, wprost z wierzeń ludowych stworzone, odznaczają się też właściwą utworom ludowym prostotą i nieskażoną czystością, całkiém różną od owych sztucznych produkcyi mitologicznych, z jakiemi występowali niektórzy uczeni i nieuczeni południowo-słowiańscy. Godném też jest uwagi, że w pieśniach ludowych tego rodzaju nigdzie mowy niema o wiedźmach (*vještice*) lub olbrzymach (*divi*). Podania albowiem o wiedźmach, jak to starałem się udowodnić przed rokiem, dostały się tu z zachodu i to w czasach stosunkowo nowszych. Wierzenia zaś o olbrzymach przyszły do południowéj Słowiańszczyzny ze strony przeciwnéj, t. j. od ludów azyatyckich."

Wielkie wstrząśnienia i wypadki historyczne wieku dzisiejszego wywarły, jak wspomnieliśmy, bardzo słabe wrażenie na umysł i wyobraźnią ludu bośniackiego, jeżeli sądzić o tém z ich pieśni. Dr. Krauss albowiem podaje, iż z pieśni tych, historycznych niejako, zapisał on tylko jedną— „*o Kralu Bonapartu*" (346 w.), pełną szczegółów zmyślonych, oraz drugą, jeszcze dziwaczniéj ukutą pieśń „*o oswobodzeniu Serbii przez Kara-Georgije*" (457 w.). Natomiast dość wiernemi w opowiadaniu są pieśni: *o Husseinie-Kapetanie* i o fałszerzu banknotów *carze Saviczu-Jowanie* (209 w.).

Według sprawozdania d-ra Kraussa o jego zdobyczach w Bośni, mieszczą się tam prześliczne pieśni, dające nam poraz pierwszy wyobrażenie żywe o bycie rodzinnym i głębokim nastroju duchowym Słowian-mahometanów. Śpiewają się one zwykle na sposób *stambulski* lub *starobośniacki* — jeden jak drugi wcale nie urozmaicone; albowiem ten ostatni np. ma wszystkiego trzy odmiany w melodyi, powtarzające się naprzemian. Nie są to pieśni w ścisłém znaczeniu, lecz raczéj recytatywy miarowe, wykonywane podniesionym głosem przy akompaniamencie jakiegobądź instrumentu, na wzór zwyczajnych pieśni gęślarskich, w których melodya jest rzeczą podrzędną, a tekst sam i treść jego są przedmiotem głównym. Stąd też istnieje u Bośniaków wielkie ubóstwo pod względem swojskich, dawnych melodyi.

Oprócz pieśni, wspomina d-r Krauss o zebranych przez siebie innego rodzaju utworach ludowych z Bośni; takiemi są np. tak zwane „*zazdravice*", t. j. przemowy toastowe przy ucztach i apostrofy do Boga. Pomiędzy temi ostatniemi jest jedna czarnogórska, politycznéj treści, wielce ciekawa. Są tam daléj dyalogi humorystyczne w surowym stylu ludowym, nieco zagadek, przysłowia, kilkanaście gadek, wiadomości o zwyczajach prawnych i t. p. Pomiędzy temi ostatniemi jest opisane t. zw. przybrane *ojcowstwo z ulicy*, zwyczaj zupełnie dotąd nieznany, a istniejący wyłącznie u Słowian-mahometanów.

Nakoniec, w dodatku do owych materyałów, przez siebie zebranych, otrzymał dr. Krauss nader cenne i dość bogate, jak się zdaje, przyczynki od wielu innych osób. Między niemi najciekawsze muszą być rozmaite pieśni obrzędowe, weselne wraz z opisem samych obrzędów, czary miłosne i inne, liczny zbiór spisanych podań i gadek ludowych, oraz kilkanaście rękopismów, zawierających bądź dawniejsze zbiory pieśni i innych rzeczy ludowych, spisane przed 18—40 laty, bądź dokumenta do historyi znakomitszych rodów bośniackich, pisane po turecku lub arabsku; a nawet dostały mu się dwa grube tomy spisanych podań tureckich i arabskich.

Oto jest krótki, lecz dość wiele zapowiadający przegląd pierwszego plonu, zebranego przez d-ra Kraussa na polu literatury ludowéj Serbów, polu oddawna już sławném z wielkiego bogactwa i nieporównanéj piękności utworów poetyckich.

Jak zaś umiejętnie i zabiegliwie postępował on sobie przy zbieraniu tych rzeczy, o tém świadczy najlepiéj następujące jego objaśnienie: „Spisując opowieści lub pieśni, kazałem je sobie najprzód opowiedzieć lub odśpiewać w całości, a potém dyktować do pisania. Tym sposobem otrzymywałem je odwzorowane bez najmniejszego podrobienia i z całą barwą dykcyi ludowéj, z czego niemałą korzyść odniesie również i gramatyka tego języka. Stenografia w téj potrzebie okazała mi się całkiem nieprzydatną; gdyż chwyta ona sam tylko szkielet dykcyi, a traci wszelkie jéj subtelności, które téż ja starałem się przejąć daleko pewniéj za pomocą pisma, pomimo jego niedogodności."

Gdzie mianowicie i kiedy mają być drukiem ogłoszone te nowe i tyle obiecujące zbiory? o tém jeszcze wiadomości nie mamy. Że tego z jak najżywszém upragnieniem wyglądać będzie każdy miłośnik i badacz rzeczy słowiańskich, o tém wątpić nie można. Przytém wszakże musimy wyrazić tu jedno życzenie, ażeby te cenne pieśni wydane były nie inaczéj, jak w oryginale i z dołączeniem jak najhojniejszém komentarzy wszelkiego rodzaju. Tych bowiem za skąpo jest, niestety, w Karadżiczowym zbiorze pieśni serbskich; to zaś nie mało utrudnia, a nawet niekiedy niemożebném czyni, należyte ich dozrozumienie nam, nie znającym zbliska języka tureckiego, ani domowego i rycerskiego życia Osmanów i Serbów, którego szczegóły tak często występują w tych pieśniach.

Dr. I. Kopernicki.



ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Podstawy Teoryi Poznania w Systemie Logiki Dedukcyjnéj i Indukcyjnéj I. S. Milla przez Aleksandra Raciborskiego. Lwów, 1886 r.

Autor powyższego dzieła, docent filozofii w uniwersytecie lwowskim, nie jest nowicyuszem w swym zawodzie. Przed kilkoma laty wydał on dzieło o Spinozie, które p. H. Struve powitał radośnie, jako pracę, zapowiadającą, że w jej autorze pozyskuje nasze piśmiennictwo dzielnego bojownika w obronie zasad zdrowych i zgodnych z tradycyą filozoficzną. Jakie to są te zdrowe zasady? Znając stanowisko warszawskiego profesora, nie trudno odgadnąć. Są niemi prawdy, na których opiera się eklektyzm najnowszéj formacyi, znany pod nazwą idealnego realizmu.

Pochwały p. Struvego były dobrze zasłużone. P. Raciborski odrazu wystąpił, jako gorliwy szermierz, uznający główne swe zadanie w zwalczaniu materyalizmu i pozytywizmu. Przystępując do pracy nad Spinozą, miał on wyłącznie to jedno na celu, ażeby wydobywszy na jaw zasadnicze pojęcia jego nauki, wykazać, że wszystkie one odnajdują się w dzisiejszym materyalizmie, który je tylko przerabia po swojemu i konsekwencye ich doprowadzą do ostatecznych wyników. Upatrując w nauce Spinozy zasady materyalizmu, zajmuje się nią o tyle tylko, o ile ta daje mu możność zaatakować materyalizm u samego źródła—i dowieść w końcu, że „nie jest on czém inném, jak bezduszną karykaturą zasadniczych myśli Spinozy, który pośród fanatycznych wyznawców jego słabszych stron wznosi się, jako olbrzym wśród pigmejczyków.“

Tendencyjność w pracy o Spinozie jest dość jawna. Blednieje ona atoli w porównaniu z tą, jaką się przebija w dziele, poświęconém rozbiorowi logiki Milla. Tu doprowadzona jest ona do takiéj jaskrawości, że nadaje temu rozbiorowi charakter raczéj aktu oskarże-

nia, niż krytyki filozoficznéj, któréj pierwszym obowiązkiem bezstronność.

Jaka jest myśl przewodnia dzieła, pokazuje się już z samego godła, umieszczonego na tytułowéj kartce. Są to wyrazy, wzięte z krytyki Stanleya Jevonsa, który po śmierci Milla uderzył na całą jego filozofią z namiętnością, nie bardzo licującą z powagą filozofa. Krytyka Jevonsa, przyjęta z entuzyazmem przez spirytualistów niemieckich, dochodzi do téj konkluzyi, że „umysł Milla był na wskróś nielogiczny, że sofisterya głównych pism jego jest tak zawikłana, że wyśledzenie pochodu jego mylników wymaga wielkiego natężenia umysłu.“ I te to właśnie słowa użyte są przez p. Raciborskiego za dewizę do jego dzieła.

Że p. Raciborskiemu rzeczywiście o nic więcéj nie chodziło, jak o udowodnienie, że umysł Milla był wskróś nielogiczny, dowodzi tego cała treść jego dzieła, w którém bardzo wiele mówi się o logicznych niekonsekwencyach, o sprzecznościach, sofisteryi i o potwornych mniemaniach Milla; z którego dowiadujemy się o wszystkich zarzutach, jakie kiedykolwick robiono logice Milla, ale nie spotykamy się choćby z najmniejszą wzmianką o tem, co Mill dokonał w zakresie logiki i co mu nauka pod tym względem zawdzięcza. Jakoż przyznać potrzeba, że p. Raciborski wywiązał się ze swego zadania. Kto nie miał sposobności czytać samego Milla, ten z odczytania książki p. Raciborskiego wynosi przekonanie, że logika Milla jest sztuczną tkaniną sofisteryi. Jedno tylko pozostanie dla niego zagadką: jakim sposobem mógł Mill zapewnić sobie taką przewagę w rozwoju najnowszéj filozofii, że nie tylko zwolennicy kierunku doświadczalnego, ale tacy nawet spirytualiści, jak Paul Janet, uznawali go za potężnego myśliciela i odzywali się o nim z uwielbieniem? Zagadka ta atoli łatwo daje się rozwiązać. Przedstawiciele doświadczalnego kierunku chwalą Milla, gdyż należy on do tego samego, co i oni, obozu: Paul Janet zaś i inni mu podobni chwalą go dla tego, że nie czytali krytyki Stanleya Jevonsa.

W każdym razie, jeżeli pierwsza część założenia, wypowiedzianego w dewizie książki p. Raciborskiego, udowodniona jest w sposób, przynoszący zaszczyt jego dowcipowi i biegłości w dyalektyce, to część druga, ostrzegająca, że wyśledzenie pochodu mylników Milla wymaga wielkiego natężenia umysłu, bynajmniéj nie jest dowiedzioną. Nie przeczę, że trud to nie mały zebrać z różnych źródeł zarzuty, wymierzone przeciw Millowi, umotywować je należycie i ułożyć je w pewną całość, nie zdaje mi się jednak, żeby robota tego rodzaju wymagała wielkiego natężenia umysłu. W dziele p. Raciborskiego nie znajdujemy ani jednego oryginalnego zarzutu, takiego na-

turalnie, któryby zasługiwał na głębszą uwagę. Wszystko jest tylko powtórzeniem tego, co dawno już było wypowiedzianem. Wprawdzie autor niejednokrotnie uprzedza, że ze zdaniem jego o danym przedmiocie zgadza się taki np. Ulrici lub ktoś inny: ostrzeżenia tego przecież nie można brać za coś innego, jak za figurę retoryczną, gdyż każdy z owych zgadzających się z naszym autorem filozofów pisał wcześniéj od niego.

Bądź co bądź, nie można znowu odmówić dziełu p. Raciborskiego pewnéj oryginalności. Stanowi ją właściwa mu metoda, którą możnaby nazwać teologiczną, gdyż jak dotąd posługiwano się nią wyłącznie tylko w kwestyach religijnych. Autor nie zwalcza twierdzeń Milla za pomocą rozumowania, któreby wykrywało, zasady, na jakich filozofia Milla się opiera—i wykazywało następnie błędność tych zasad i ich wyników. Obrał on drogę krótszą i pewniéj wiodącą do celu. Twierdzeniom Milla, będącym logiczném następstwem jego stanowiska nominalistycznego, przeciwstawia twierdzenia swe własne, a na dowód ich słuszności przytacza cały szereg cytat niemieckich, francuskich, angielskich, wypowiadających myśl, którą już sam autor wygłosił. Ponieważ autor i powoływani przez niego filozofowie należą do wyznawców konceptualizmu—rzecz więc naturalna, że poglądy Milla muszą być uznane za błędne, sprzeczne i potworne. Są zaś takiemi nie dla tego, żeby konceptualizm miał racyą, a nominalizm jéj nie miał, gdyż autor nie tylko nie zajmuje się udowodnieniem słuszności swych zapatrywań, lecz nawet nie wspomina o zasadniczéj różnicy, jaka zachodzi między stanowiskiem Milla, a jego własném; ale dla tego, że za takie uznają je Jevons, Ulrici, Cohen i inni mistrze dzisiejszego eklektyzmu, którego zasady są dla autora dogmatem, nie potrzebującym dowodu. Nie chcę przez to powiedziéć, żeby p. Raciborski nie starał się umotywować swych twierdzeń. I owszem, motywuje je starannie, nawet z pewnym zbytkiem erudycyi i dyalektyki. Cala ta jednak erudycya, świadcząca bardzo dobrze o wszechstronności autora i o obszerném jego oczytaniu, nie wiele się przyczynia do rozjaśnienia spornych punktów; dyalektyczna zaś szermierka, polegając na czysto słownych odróżnieniach, a czasem na prostém nieporozumieniu, gubi się w drobiazgach i zatraca wątek myśli, która tylko z całości daje się wyciągnąć.

Iść krok w krok za autorem i wdawać się we wszystkie szczegóły, rozstrząsać wszystkie zarzuty przeciwko Millowi i sprawdzać ich trafność—byłoby zadaniem, wymagającém osobnéj książki, téj niemal objętości, co dzieło rozbierane. Dla tego téż ograniczam się w swéj ocenie do rzeczy najważniejszych, poprzestając na rozbiorze

tych tylko zarzutów, które dotyczą istoty poglądów Milla i całéj jego filozofii.

Nadany przez autora tytuł nie odpowiada treści dzieła. Z tytułu możnaby wnosić, że zadaniem autora było dokładne przedstawienie zasad Milla, rozbiór ich dobrych i złych stron; gdy tymczasem zajmuje się on wyłącznie tylko błędami jego, podaje o tyleż stronną, o ile i jednostronną krytykę zapatrywań angielskiego filozofa, z któremi się nie zgadza. W stronności zachodzi tak daleko, że we wstępie przytaczając głosy różnych filozofów o Millu, pomija te, które przemawiają na korzyść jego. Cytując np. zdania Brochard'a, wymierzone przeciwko Millowi, milczy o tem, że tenże sam Brochard oddaje mu pochwały, które stokroć przewyższają wszystkie zarzuty. Samo ugrupowanie tych przytoczeń jest charakterystyczne. Autor sam rzadko przemawia, ale posługuje się uznanymi, przez siebie powagami. Otóż we wstępie do dzieła, chcąc zapoznać czytelnika z osobistością Milla, jako filozofa, wyprowadza na scenę po kolei cały zastęp filozofów, którzy wygłaszają swe o nim przekonania. Szereg ten idzie tym porządkiem, że każdy następny filozof obniża o jedną nutę przyznawane Millowi zasługi, ale za to podwyższa jego błędy, aż w końcu przychodzi na St. Jevonsa, który powiada: „Nie chcę dłużéj spokojnie znosić téj wadliwéj logiki (Milla) i nielepszéj filozofii, istnéj zmory... Filozofia Milla jest sofistyczną... usiłuje ona pogodzić fałszywą empirystyczną filozofią ze sprzeciwiającemi się jéj prawdami... Umysł Milla był na wskróś nielogiczny“ itd... Ustęp ten zaopatrzył p. Raciborski w następującą uwagę: „Filipika taka robi wrażenie komiczne po przeczytaniu poprzednio przytoczonych pochwał, a surowość téj prawdziwie zoilowskiéj krytyki mogłaby się wydać przesadną: przestaje ona jednak zadziwiać, kiedy po przeczytaniu jéj dalszego ciągu spotykamy się z najgruntowniejszym może rozbiorem logiki Milla.“

Jakkolwiek na nas powyższe zestawienie pochwał i nagan bynajmniej nie robi wrażenia komicznego, nie jest ono przecież pozbawionem pewnego efektu. Z tém wszystkiém efekt ten nie osiąga pożądanego celu. Budzi on zdumienie, które mimowolnie nasuwa pytanie: dla czego P. Janet, który jest również znakomitym dyalektykiem, jak i Jevons, odzywa się o Millu, jako „o umyśle silnym i głębokim, światłym i śmiałym, jako o znakomitym pisarzu, którego najświetniejsze przymioty zapewniają mu jedno z pierwszych miejsc między myślicielami europejskimi“; gdy tymczasem Jevons ogłasza, że „umysł Milla był nawskróś nielogiczny... że jego fałszywa filozofia jest istną zmorą“?.. Odpowiedź na to pytanie nastręcza się sama przez się. P. Janet należy do tych umysłów, które swych sądów

o rzeczy nie zacieśniają sekciarskiemi uprzedzeniami; Jevons zaś kierował się w sądach namiętnością i ulegał zniecierpliwieniu, jakie w nim wywołała ta okoliczność, że „w ciągu ostatnich 14 lat, *zmuszony* tradycyonalnemi wymaganiami wszechnicy londyńskiéj, używał dzieł Milla po części przynajmniéj, jako podstawy swych odczytów.“ St. Jevons dostarcza nam swym przykładem dowodu na stwierdzenie znanego faktu, że im dłużéj kto znosił jarzmo cudzych myśli, z tém większą przeciw nim występuje nienawiścią, gdy się z nich wyzwolił. Na usprawiedliwienie przecież Jevonsa możnaby przytoczyć to, że „z 10 lat pracy minęło, zanim zaczął on wykrywać główne braki dzieł Milla.“ Nareszcie muszę tu zauważyć, że godziło się autorowi, który tak skrupulatnie wylicza wszystkie zarzuty, jakie kiedykolwiek robiono Millowi, który krytykę Jevonsa wziął sobie za wzór, odczytać to, co na tę krytykę odpowiedział Crom-Rebertston, profesor filozofii na uniwersytecie londyńskim.

Na tém kończę przedwstępne uwagi i przechodzę do szczegółów—do rozpatrzenia się w główniejszych zarzutach, jakie autor robi logice Milla.

Przytaczając zapatrywania Milla na zadanie logiki, powiada autor: „Jak się wkrótce przekonamy, nie trzyma się Mill swém określeniem wytkniętych granic. Badania i rozbiory jego wchodzą w zakres teoryi poznania; porusza téż często obok przedmiotów, należących do właściwéj logiki, rozmaite zagadnienia z psychologii; zapuszcza się nawet w dziedzinę metafizyki, ciągłe zaś zapewnienia, że unikać zamierza przedewszystkiém dociekań metafizycznych i że je z zakresu swéj logiki stanowczo wyklucza, robią nareszcie wrażenie komiczne.“ Że ta strona logiki Milla robi na autorze wrażenie komiczne, temu przeczyć nie chcemy. Chodzi tu tylko o to, czy autor rzeczywiście jest tego przekonania, że wiedza ludzka daje się podzielić w sposób jakiś mechaniczny na działy tak odrębne, żeby zagadnienia jednego nie wkraczały w treść innych, żeby do uzasadnienia tych zagadnień nie potrzeba było chociażby przygodnie odwoływać się do zasad, zawartych w innych działach? Powszechnie zapatrują się na wiedzę ludzką, jako na organiczną całość, któréj części ściśle łączą się z sobą i warunkują. Jeżeli zaś dla ułatwienia naszych badań dzielimy ją na pewne gałęzi, to nie dla tego, żebyśmy mieli zamykać się w nich szczelnie, żebyśmy mieli wzbraniać sobie wszelkich wycieczek do gałęzi sąsiednich, jeśli tego wymaga ścisłość i dokładność wyjaśnienia badanego przedmiotu. Mill w swéj Logice nie zajmuje się ani teoryą poznania, ani psychologią, ani metafizyką; ale pisząc o zagadnieniach logicznych, które stara się rozwiązać w sposób odmienny, niż to dotąd robiono, musiał i powinien był odwoływać się

do zasad, leżących wprawdzie zą obrębem logiki, lecz jéj nieobcych, gdyż w nich właśnie upatrywał dostateczny powód do przeprowadzenia zmian w dotychczasowém zapatrywaniu na zadania logiki. Jakoż to właśnie, co p. Raciborski poczytuje Millowi za winę, Brochard uważa za jednę z największych jego zasług. W swéj krytyce, opartéj na tych samych co i p. Raciborskiego założeniach, powiada Brochard co następuje: „Dwie rzeczy przedewszystkiém w pracy Milla zdają mi się zasługiwać na zupełną pochwałę, zapewniać mu zaszczytne miejsce w historyi logiki. Jedną z nich jest wprowadzenie do logiki swéj psychologii subtelnéj i przenikliwéj i wyjaśnienie przez to mnóstwa zagadnień najważniejszych téj nauki. Psychologia bowiem jest węzłem, łączącym logikę z rzeczywistością.“ To samo da się powiedziéć i o innych gałęziach wiedzy, pokrewnych logice. Drugą, według Brocharda, zasługą Milla jest to, że on pierwszy, a przynajmniéj więcéj niż kto inny, zbliżył logikę do rzeczywistości, sprowadził ją z nieba na ziemię. Tę zasługę zawdzięcza on tylko temu, że nie wyrywał logiki z organicznéj całości, do któréj ona należy, nie odcinał skalpelem anatoma więzów, które ją łączą z teoryą poznania, psychologią i metafizyką.

Ażeby czytelnik łatwiéj mógł sobie zdać sprawę tak z powyższego, jak i z następnych zarzutów, z jakiemi spotkamy się poniżéj, uważam za niezbędne podać tu dokładną charakterystykę reformy, jaką Mill przeprowadził w dotychczasowém pojmowaniu logiki.

Logika do ostatnich czasów przetrwała w téj formie, jaką jéj ostatecznie nadali scholastycy. Była to sztuczna tkanina subtelności, mająca na celu wyjaśnienie warunków, pod jakiemi myśl ludzka może być uważana za prawdziwą. Prawdziwość jéj polegała na zgodności z sobą. Czegoś więcéj nie wymagano wcale od myślenia. Logika tym sposobem była nauką o sylogizmie, którego formy miały być normą myślenia a dotyczące tych form przepisy jedynym probierzem jéj prawdziwości. Zaopatrywano ją wprawdzie w pewne dodatki; te atoli nie stanowiły jéj istotnéj części. W ten sposób logikę określono, jako naukę o formalnych prawach myślenia. Jaką drogą te prawa powstały? Czy zgadzają się one z prawami świata rzeczywistego? Były to pytania, nad któremi nie zastanawiano się bardzo. Uważano je za prawa przyrodzone duszy ludzkiéj i stawiano je po nad prawami świata przedmiotowego. Częściowa reforma, jaką zaprowadzono pod wpływem nauki Kanta, nie zmieniła jéj istoty. Wysunęła ona tylko naprzód wymaganie, ażeby myślenie, zgodne z sobą, zgadzało się nadto z faktami doświadczenia, ale o tyle, o ile te fakty nie przeczą wrodzonym formom myślenia. Zgodność myślenia z sobą była zawsze ostateczną rękojmią jego prawdziwości.

Reforma Kantowska, usiłująca pogodzić racyonalizm dogmatyczny z filozofiią doświadczalną, nie mogła się zatrzymać na tym punkcie. Jej charakter, że tak powiem dośrodkowy, uważający formy myślenia *à priori* za naczelne źródło ludzkiego poznania, nie mógł zadowolić wyznawców kierunku, który same te formy *à priori* wyprowadzał z doświadczenia. Poszło ztąd lekceważenie caléj logiki, która lubo dzielnym była środkiem w dyskusyach scholastycznych, w badaniu prawdy przedmiotowéj okazała się całkiem bezużyteczną. Uczeni wszelkich zawodów posługiwali się indukcyą, którą poraz pierwszy sformułował lord Bacon. Przekonano się atoli niebawem, że dedukcya w dociekaniu prawdy odgrywa rolę nie mniejszą, jak i indukcya, nie umiano tylko zdać sobie sprawy z tego, jaki między niemi zachodzi stosunek, która z nich jest czynnością umysłu pierwotną, a która pochodną i w jakich wypadkach należy używać jednéj lub drugiéj. Rozjaśnienie tych wątpliwości, wykazanie właściwéj natury dedukcyi i indukcyi, oraz ich znaczenia w dochodzeniu prawdy — stanowią właśnie główne zadanie, którego się podjął Mill w swéj Logice.

Logika Milla, jako pierwsza próba zupełnego zreformowania logiki, nie mogła odgraniczyć się od pokrewnych sobie gałęzi wiedzy w téj mierze, jak tego dziś od niéj wymagaćby można. Dla usprawiedliwienia wszystkich zmian, jakie zaprowadzała w dotychczasowém zapatrywaniu na dotyczące ją zagadnienia, musiała ona z konieczności zapożyczać się u psychologii i metafizyki, gdyż potrzeba było te zmiany oprzéć na podstawach pewnych, wyprowadzić je z zasad, prawd, które tylko w psychologii i metafizyce znajdują swe udowodnienie. Z tém wszystkiém nie ma w niéj zaciekań ani ontologicznych, ani teleologicznych. Cała jéj metafizyka polega na przygodnym poruszeniu zagadnień, dotyczących natury myślenia, praw przyrody i t. p. Zagadnienia te łączą się jaknajściśléj z rozbieranym przedmiotem i służą ku jego wyjaśnieniu.

Istotę przeprowadzonéj przez Milla reformy stanowi zasada, że prawa myślenia nie są czém inném, jak prawami świata przedmiotowego. Jakkolwiek zasada ta nie jest przeprowadzona ściśle w dziele Milla i napotykają się w niém z tego powodu liczne sprzeczności; nie mniéj przecież występuje ona wyraźnie, jako główna premisa, z któréj dają się wywnioskować wszystkie poglądy Milla. Podług niego, myślenie nie jest czynnością, wykonywającą swe działanie na pojęciach podług praw, które w niém samém zawierają się, lecz podług praw, rządzących światem przedmiotowym. Czynność myślenia polega na odróżnianiu i upodobnianiu pojęć, o ile takowe odpowiadają różnicom i podobieństwom rzeczywistym, o ile takowe odkry-

wamy drogą doświadczenia w przedmiotach, które owe pojęcia oznaczają. Słowem, tak w sądzeniu, jak i w rozumowaniu odwołujemy się zawsze do przedmiotów rzeczywistych, których pojęcia i słowa są tylko znakami symbolicznemi. Jedyném prawem, które leży w podstawie wszelkich czynności myślenia, jest kojarzenie; lecz to w gruncie rzeczy nie jest czém innem, jak przystosowaniem się myślenia do porządku świata przedmiotowego.

Powyższa zasada, mniéj lub więcéj wyraźnie wypowiedziana przez Milla, jest osią całéj jego logiki. Podług niéj oceniając zamierzoną przez Milla reformę logiki, musimy przyznać, że dokonał on przewrotu, który możnaby porównać z tym, jaki w swoim czasie spowodował w literaturze romantyzm, kruszący na miazgę konwencyonalne przepisy fałszywego klasycyzmu. Jak klasycyzm posługiwał się sztucznemi formami mowy, jakich zwykli śmiertelnicy nie używali; tak samo scholastycy formy myślenia sztuczne, obmyślone w celu dyalektycznéj szermierki, podawali za normę ludzkiego myślenia. Romantyzm zastąpił retoryczną deklamacyą, nie przemawiającą do uczuć, prostotą i szczerością, Mill na miejscu logiki oderwanéj, nie mającéj żadnego stosunku z rzeczywistością, postawił logikę, która *będąc nauką o działaniach rozumu, służących do ocenienia dowodu*, stała się podstawą badań we wszelkich gałęziach wiedzy.

Że dokonana przez Milla reforma logiki jest rzeczywistą, pomimo wszelkich braków, jakie w niéj dadzą się wykryć, dowodzi tego fakt, że zaprowadzone przez niego zmiany w zapatrywaniu się na zagadnienia logiki zostały przyjęte, jeżeli nie wszystkie, to w każdym razie główne, nawet przez tych, którzy z odmiennego wychodzą stanowiska filozoficznego i są nawet wobec Milla nieprzyjaźnie usposobieni. Jaskrawy tego przykład dostarcza nam St. Jevons, ten sam, który nazywa Milla umysłem nawskróś nielogicznym, a którego dzieło „The principles of science“ jest uświęceniem reformy, jaką Mill przeprowadził w pojmowaniu zadań logiki.

Po tem krótkiém zboczeniu wracam do przedmiotu.

P. Raciborski w dziele swém rozbiera drobiazgowo nie tyle zasadnicze poglądy Milla na zagadnienia, stanowiące podstawy teoryi poznania, ile pojedyńcze jego zdania i wyrażenia, wyrwane z całości, w oderwaniu od tego, co je poprzedza i co za niemi następuje. Jest to właściwy naszemu autorowi sposób wykrywania i wyrozumiewania myśli angielskiego filozofa—sposób, który dostarcza autorowi na zawołanie tyle sprzeczności i niekonsekwencyi logicznych, ile mu narazie potrzeba.

Pierwszy rozdział zatytułowany: *Znaczenie kategoryi u Milla*, ma za zadanie dostarczyć materyału dowodowego na potwierdzenie, że

chociaż Mill nieustannie zapewnia, że usuwa ze swéj logiki metafizykę, zajmuje się nią przecież ciągle i przeprowadza w niéj swe zapatrywania, które mają na celu pogodzić jego czysto empirystyczne wywody z poglądami metafizycznemi, wręcz im przeciwnemi. Polemika p. Raciborskiego, prowadzona dość zręcznie i niepozbawiona pewnego dowcipu, wymierzona jest głównie przeciwko trzeciemu rozdziałowi logiki Milla, noszącemu zagłówek: *Of the things denoted by names* Sam już tytuł powinien był wskazać autorowi o co w tym rozdziale chodziło Millowi.

Rozdział ten zostaje w ścisłym związku z poprzedzającym go i poświęconym rozbiorowi wyrazów. Jakoż tylko razem wzięte i w związku z sobą dają się one należycie wyrozumiéć. P. Raciborski tymczasem pomija to, co Mill mówi o wyrazach i przystępuje wprost do jego zapatrywań na podział rzeczy i do tego, co o samych tych rzeczach powiada. Ponieważ Mill rozpoczyna ów rozdział od krytyki kategoryi Arystotelesa i następnie na ich miejscu ustanawia swój własny podział rzeczy, — stąd wniosek, że i w tém, co mówi o samych rzeczach, stara się on przeprowadzić swe własne na nie zapatrywania. Że w rozdziale tym pełno jest metafizycznych wywodów, nie da się zaprzeczyć; jest ich jednakże tylko tyle, ile tego przedmiot wymaga. Jużciż, że mówiąc o substancyi, o materyi, o duchu i t. d., niepodobna obejść właściwego stanowiska, z którego muszą one być rozważane. Żeby zaś zamiarem Milla było ustanawiać swe własne na nie poglądy i w ten sposób osadzać logikę na gruncie czysto metafizycznym — tego autor ani dowiódł, ani mógł dowieść.

Mill, wychodząc z założenia, że wyrazy są nazwą rzeczy, nie zaś naszych pojęć o nich, że w swych sądach i rozumowaniach odnosimy się zawsze do rzeczy, nie do pojęć, uważał za niezbędne poprzedzić naukę o sądach i rozumowaniach krótkim przeglądem rzeczy, podać ich podział, jaki mu się zdawał najwłaściwszy i rozważyć główniejsze różnice, jakie zachodzą w ich pojmowaniu. Załącza on pewne od siebie uwagi, nie robi tego atoli w celu przeprowadzenia wyłącznéj, sobie tylko właściwéj teoryi metafizycznéj, ale dla tego, żeby sprzeczne pojmowania wyjaśnić i pogodzić je o tyle, o ile tego zadanie logiki wymaga. Odsyłając czytelnika po ostateczne rozstrzygnięcie spornych kwestyi do swego dzieła o Hamiltonie, powiada on wyraźnie, że dla logiki obojętném jest, czy to lub inne zajmiemy stanowisko metafizyczne w swych zapatrywaniach na rzeczy; dodaje przytém jednak, że ponieważ logika musi opierać się na zwykłych formach języka, powinna ona przeto unikać wszystkiego, co się tym formom sprzeciwia— i wystarczy dla niéj pospolite rzeczy pojmowanie, jak ono się ustaliło za pośrednictwem mowy.

Cała więc polemika p. Raciborskiego przeciwko Millowi, obracająca się około zarzutu, że Mill sprowadza logikę na niewłaściwe jéj pole dociekań metafizycznych, jest prostem nieporozumieniem. Cała dyalektyczna szermierka autora przekonywa chyba o tém tylko, że kto pragnie wyrozumiéć myśl czyją, powinien jéj szukać w całości rozwiniętego wątku, nie zaś w oderwanych jego szczegółach, w pojedyńczych zdaniach i wyrażeniach, które mają znaczenie tylko we właściwém sobie miejscu.

Do jakich wyników doprowadza tego rodzaju metoda, pokazuje nam właśnie przykład autora który z niezachwianą pewnością twierdzi, że Mill przyjmuje istnienie materyi i ducha, jako dwóch odrębnych substancyi. Tym sposobem Mill, który uznaje siebie wyraźnie za zwolennika idealizmu Berkleyowskiego, uchodzi w przekonaniu autora za dualistę. Pomyłka to dość komiczna.

W dwóch następnych rozdziałach zwalcza autor zapatrywania Milla na naturę naszego poznania. Jak wiadomo, Mill utrzymuje, że jedyném źródłem naszego poznania jest doświadczenie indywidualne, że wrażenia zmysłowe są materyałem, z którego urabiają się wszystkie nasze wyobrażenia i pojęcia, że te ostatnie, będąc tylko uogólnieniem wyobrażeń, niczém się od nich co do swojéj istoty nie różnią. Zasadniczém prawem umysłu, objaśniającém wszystkie jego czynności, jest podług Milla kojarzenie. P. Raciborski zgadzając się z Millem na wyprowadzenie wyobrażeń z wrażeń zmysłowych, uderza całą siłą w jego zapatrywanie na pojęcia. Pojęcia, utrzymuje on, są wytworem ducha, który wprawdzie potrzebuje wrażeniowego materyału, ale ten materyał przerabia podług praw, stanowiących jego naturę. Wyobrażenie jest umysłowém przedstawieniem rzeczy, gdy tymczasem pojęcie rzeczy nie przedstawia, treść jego nie da się wyobrazić, ale tylko pojąć. Wyobrażenia łączą się z sobą za pomocą kojarzenia, pojęcia zaś na podstawie praw logicznych, będących natury apriorycznéj.

Przeciwstawiając zapatrywaniom Milla swe własne, p. Raciborski nie uważa za potrzebne dowodzić ich słuszności. Na poparcie ich powiada tylko, że „dotąd ogół logików uważał pojęcie, jako wymagalnik niezbędny do działań logicznych.“ Argument ten ma taką samę wartość, jak chłopskie: „tak ludzie powiadają.“ Zresztą Mill nie wyklucza ze swéj logiki pojęć, tylko inne im nadaje znaczenie, niż jak im przyznawał „dotąd ogół logików.“ Podług niego, pojęcie nie jest czém inném, jak uogólnioném wyobrażeniem.

P. Raciborski utrzymuje, że jakkolwiek *duch* ludzki wytwarza sobie pojęcia na podstawie wyobrażeń i bez nich nie mogłyby one powstać, z tém wszystkiém wyobrażenia nie przyczyniają się wcale

do rozjaśnienia pojęć, przeciwnie zaciemniają je nawet. Zrozumienie tego zdania wymaga, zdaje mi się, „większego natężenia umysłu, niż wyśledzenie pochodu mylników Milla.“

Na obronę swéj tezy odwołuje się autor do takich powag, jak Kartezyusz, Leibnic, Kant itd. Nie przeczę, że są to umysły, z których zdaniem każdy filozof musi się liczyć, sądzę jednak, że na ich słowo przysięgać nie powinien. Odwoływanie się do powag, jako ostateczny argument, dobrém jest w teologii, ale nie w filozofii, która nie może opierać się na wierze w czyjąś nieomylność.

Całe rozumowanie autora, skierowane przeciwko Millowi z powodu jego zapatrywania na naturę pojęcia, prowadzone drobiazgowo, nader uczenie i z pewną pedanteryą, jest tylko rozwinięciem zarzutu, który wypowiedział Taine i któremu p. Raciborski nadaje pierwszorzędne znaczenie. Taine w dziełku: *Le positivisme anglais*, utrzymuje, że „zdolność odrywania zostawiona w logice Milla na drugim planie, zaledwie wzmiankowana, zaćmiona jest innemi władzami umysłu.“ P. Raciborski, przytaczając powyższy ustęp, dodaje od siebie: „Konsekwentnie i ściśle przeprowadzona sensualistyczno-empirystyczna teorya poznania *pomija* właściwą duchowi ludzkiemu zdolność odrywania, czyli tworzenia pojęć“. W tym dodatku daléj on idzie, niż sam Taine, który nie powiada, że Mill pomija, tylko że zostawia na drugim planie zdolność odrywania.

Chcąc zdać sobie sprawę z zarzutu Taine'a i z załączonego doń dodatku autora, musimy zapytać się, co rozumieją oni przez zdolność odrywania. „Abstrakcya, powiada Taine, polega na rozkładaniu zjawisk złożonych na proste, na ich składowe pierwiastki.“ Kto obeznany jest z nauką logiki, ten łatwo się przekona, że Taine bierze za jedno analizę logiczną i abstrakcyą. Czy można na seryo utrzymywać, że Mill w swéj logice zostawia analizę na drugim planie, albo jak chce p. Raciborski, że teorya poznania sensualistyczno-empirystyczna pomija ją całkowicie? Co się zaś tyczy abstrakcyi, pojmowanéj we właściwém tego słowa rozumieniu, to ani Mill, ani w ogóle filozofia doświadczalna jéj nie pomija, jakkolwiek nie nadaje jéj tego znaczenia, co Taine. Mill taką daje odpowiedź na zarzut Taine'a: „Nie jestem pewny, czy dobrze pojąłem myśl Taine'a, muszę jednak wyznać, że nie rozumiem, jakim sposobem pojęcie abstrakcyjne, wydobyte czynnością naszego umysłu z doświadczenia, może coś więcéj mówić o fakcie przedmiotowym świata nad to, co o nim doświadczenie podaje; jakim sposobem, przez samo tłómaczenie danych doświadczenia za pomocą formuły ogólnéj, można znieść ograniczenia, stanowiące cechę doświadczenia.“ Jakkolwiek Mill podług naszego autora jest nawskróś nielogicznym, okazał on w powyższéj

uwadze więcéj logiki, niż Taine w swym zarzucie, a p. Raciborski w popieraniu tego zarzutu.

Autor, pragnąc ostatecznie rozstrzygnąć sporną kwestyą, przytacza następujące zdanie Kartezyusza: „Wyobrażając, zwraca się dusza ku ciału swemu i ogląda w niém coś, co odpowiada wyobrażeniu, które za pośrednictwem zmysłów otrzymuje; przy pojmowaniu zwraca się niejako dusza sama ku sobie i ogląda jedno z zawartych w niéj wyobrażeń.“ Zdanie to może być przekonywające dla tego, kto wyobraża sobie duszę, jak więźnia, zamkniętego w celi, na któréj ścianie odbijają się w promieniach słońca przedmioty, przesuwające się przed jéj okienkiem; ale nie dla tego, kto takie wyobrażenie uważa za dziecinne. Żeby bardziéj jeszcze uwydatnić różnicę, jaka zachodzi między wyobrażeniem a pojmowaniem, ucieka się autor do przykładu, jakiego mu również Kartezyusz dostarcza: „Myśląc o trójkącie, powiada on, nie tylko poznaję, że jest on postacią ograniczoną trzema liniami, ale zarazem widzę te trzy linie tak, jak gdyby były obecne przed wzrokiem mego ducha; myśląc zaś o tysiącboku, poznaję wprawdzie, że jest on figurą złożoną z tysiąca boków, nie mogę jednakże tych tysiąca boków obrazowo sobie przedstawić. Przykład ten, tak samo jak powyższa cytata z Kartezyusza, rzeczy wcale nie dowodzi. Mill nie zaprzecza, że co innego jest wyobrażenie właściwe, a co innego wyobrażenie ogólne, czyli pojęcie; przeczy on tylko, żeby jedno i drugie mogły mieć różny początek. Podług niego, umysł w każdéj czynności jest jeden i ten sam, bez względu, czy ta czynność jest prostą, jak w postrzeganiu, czy złożoną, jak w pojmowaniu; podług p. Raciborskiego przeciwnie, umysł jest niejako przepolowiony; jedna jego połowa, niższa, zajmuje się urabianiem wyobrażeń na podstawie wrażeń zmysłowych, druga, wyższa, tworzy pojęcia z pierwiastków nadzmysłowych i z wyobrażeń. Nie wdaję się w krytykę tego zapatrywania, zwracam tylko uwagę, że jest ono niezręczną przeróbką teoryi Kanta, uwieńczoną owym dodatkiem, że jakkolwiek wyobrażenia konieczne są dla wytworzenia pojęć, nie tylko nie przyczyniają się do ich wyjaśnienia, ale je zaciemniają jeszcze.

Co się tyczy powyższego przykładu, to zaznacza on tylko, że zdolność wyobrażenia jest tak samo ograniczona, jak i zdolność postrzegania. Trójkąt, czworobok łatwo mogę sobie wyobrazić dla tego, że w postrzeganiu dane są odrazu wszystkie ich składowe i wzajemny tych składowych stosunek; nie mogę zaś wyobrazić sobie tysiącboków dla tego, że w samém postrzeganiu ani jego składowe, ani stosunek tych składowych nie są dane odrazu. Pojęcie zaś tysiącboku nic innego nie oznacza, jak umysłowe przedstawienie, czyli

wyobrażenie czynności, za pomocą której mogę w każdéj chwili, na podstawie znanego skreślenia, wykreślić figurę, mającą tysiąc boków. Potrzeba do tego tylko wiedzieć, co znaczy tysiąc, co znaczy bok i tysiącbok—a o tém pouczają mię odnośne określenia.

W dalszym ciągu rozumowania zwalcza autor zapatrywania Milla na matematykę i jéj pewniki--zwalcza za pomocą argumentów i cytat, jakich obficie dostarczają Kant i jego najnowsi uczniowie. Tu dopiero zbiera p. Raciborski obfite wawrzyny zwycięstwa! Mniéj obeznany z rzeczą czytelnik, słysząc nieustanny głos tryumfu, mógłby powziąć głębokie współczucie dla biednego filozofa angielskiego, którego nasz filozof tak bezlitośnie masakruje. Na szczęście, jeżeli kto zasługuje na współczucie, to bynajmniéj nie Mill. Kto chce obalić dąb niebotyczny, ten musi podważyć go z korzenia. Obrywanie go zaś z liści, listek po listku, na nic się nie przyda. Bez wątpienia, że krytyka może wykryć w dziełach Milla nie jedno, co zasługuje na wytknięcie, jako niezgodne z wymaganiami ścisłości naukowéj, nieodpowiadające obecnemu stanowisku wiedzy — nie uwłóczy to przecież jego powadze i nie zachwieje go na stanowisku, jakie mu nauka wyznaczyła. Zdaniem Milla, pewniki nauk matematycznych nie posiadają przywileju, którego by nie należało przyznać pewnikom innych nauk. Mniemana ich konieczność bynajmniéj nie jest większą od téj, jaką się odznaczają wszystkie uogólnienia indukcyjne. Za dowód téj konieczności nie można uważać faktu, że nic przeciwnego tym pewnikom nie da się pomyśléć. Historya bowiem uczy, że to, co w pewnéj epoce uchodziło za pewnik, w następnéj poczytywaném było za błąd, i odwrotnie, co w przeszłości trudném było do pojęcia, obecnie jest postulatem naukowych badań. P. Raciborski na to odpowiada: nauki matematyczne biorą swój początek nie z doświadczenia, ale z czystego rozumu. W przyrodzie nie masz ani punktów bez rozciągłości, ani linii bez szerokości, płaszczyzn bez głębokości, ani doskonałych trójkątów, kół itd.—a zatém wszystkie dane matematyczne nie są wyobrażeniami rzeczy, ale pojęciami, które pochodzą z rozumu. Tym samym sposobem możnaby dojść do wniosku, że botanika i zoologia zawdzięczają swój byt nie doświadczeniu, ale czystemu rozumowi, ponieważ dane ich, jakiemi są gatunki i rodzaje, nie są wyobrażeniami rzeczy, ale pojęciami, takich bowiem rzeczy, jak gatunki i rodzaje, nie ma w przyrodzie. Są w niéj tylko osobniki, mniéj lub więcéj do siebie podobne.

Za dowód, że matematyka jest nauką czysto rozumową, podaje autor fakt, że twierdzeń matematycznych nie można sprawdzić doświadczalnie. Zgadza się z tém i Mill, utrzymuje jednakże, że można je sprawdzić za pomocą doświadczenia umysłowego przez „wytwo-

rzenie umysłowych obrazów wszelkich możliwych połączeń linii i kątów, które podobne są do rzeczywistości tak samo, jak te, które moglibyśmy wykonać na papierze.“ Twierdzenie to Milla poddaje autor drobiazgowemu, czysto słownemu rozbiorowi, i wykazawszy w niém więcéj sprzeczności i nielogiczności, niż ile samych wyrazów w niém się znajduje, konkluduje, że prawdy matematyczne nie potrzebują żadnego sprawdzenia, gdyż ich prawdziwość jest tak jasną, że wystarcza sam pogląd rozumowy, ażeby się o tém przekonać. Czém jest ów pogląd rozumowy? Na to nie znajdujemy w dziele p. Raciborskiego dokładnéj odpowiedzi.

Dowiódłszy w ten sposób swego założenia, uważa autor za dowiedzione również twierdzenie, że konieczność nauk matematycznych jest rzeczywistą. Przeciwne temu mniemanie Milla zbija za pomocą właściwéj sobie metody—wykazując w odnośnym ustępie logiki Milla wszelkie możliwe błędy logiczne i językowe. Nie pominięto tu żadnego opuszczenia, żadnéj dwuznaczności; każdy wyraz zbyteczny lub niedomówiony skrzętnie zapisany, najmniejszy przeskok we wnioskowaniu wykazany. Egzegetyka ta nużąca i naciągana, przepełniona cytatami i zboczeniami wszelkiego rodzaju, kończy się zapewnieniem, że w całém rozumowaniu Milla, odnoszącém się do matematyki, jest tyle sofisteryi, że należy je uważać za „rozpaczliwe rzucenie się na matematykę, którą on uważał za twierdzę szkoły intuicyjnéj.“

Rozprawiając się z Millem o jego zapatrywania na matematykę, zdawało się, że autor wypowiedział wszystko, co było do powiedzenia i co dało się wtłoczyć w ramy dyskusyi. Była tam mowa o pojęciach czasu, przestrzeni i nieskończoności, potrącono o fizyologią zmysłów itd. Tego wszystkiego za mało było dla autora i drugi tom swego dzieła zaczyna od rozdziału, w którym zastanawia się nad znaczeniem pojęcia przestrzeni w stosunku do praw matematyki. Bardzo szeroko i uczenie rozpisuje się tu o geometryi urojonéj, szczegółowo rozbiera teoryą wrażeń zmysłowych, krytykuje usiłowania filozofii doświadczalnéj wytłómaczenia pojęcia przestrzeni za pomocą danych doświadczenia, zwalcza teoryą idealistyczną i tą drogą krętą dochodzi do wniosku, że pojęcie przestrzeni jest natury apriorycznéj, że zgadza się ono z rzeczywistością w ogólnych tylko i główniejszych zarysach. Nie wchodzę w bliższy rozbiór nader złożonego i misternego aparatu dowodzeń autora. Wszystkie argumenty, jakiemi się on tu posługuje, znane są skądinąd—i o niczém nowém nie dowiadujemy się. Zastanowię się tylko nad jednym. Powiada autor że pojęcie przestrzeni nie pochodzi z doświadczenia, ponieważ w danych jego, jakiemi są wrażenia i ich skojarzenie, nie masz nic prze-

strzennego. Pozwalam sobie zapytać autora, czy nasze wyobrażenia o kolorach, dźwiękach, smakach itd. również uważa za pojęcia rozumowe, aprioryczne? Boć przecie w ruchach cząsteczkowych przyrządu nerwowego, stanowiących podstawę naszych czuć zmysłowych, nie ma nic zgoła, coby było kolorem, dźwiękiem, smakiem itd.

Dotąd musieliśmy poprzestawać na gołosłownem zapewnieniu autora, że umysł, czyli, jak autor chce, duch posiada pewne prawa aprioryczne, mocą których wytwarza pojęcia, ustanawia pewniki rozumowe i moralne i wysnuwa z siebie cały wątek takich nauk, jak matematyka i metafizyka. Jakie to są te prawa? Dotąd o tém nam nie mówiono, teraz dopiero dowiadujemy się, że są to prawa logiczne, znane powszechnie pod nazwą praw: tożsamości, sprzeczności i wykluczonego trzeciego przypadku. Jakie mają znaczenie te prawa, może się o tém każdy dowiedziéć z pierwszéj lepszéj logiki. Co się tyczy Milla, nie przyznaje on im tego znaczenia, jakie im stara logika nadawała. Nie uważa ich za prawa myślenia aprioryczne, ale za pewniki, pochodzące z doświadczenia, będące uogólnieniem wewnętrznych i zewnętrznych postrzeżeń. Gniewa to niepomału p. Raciborskiego, który nie lubi, żeby odstępowano w czémkolwiek od tego, co dotąd za prawdę bezwzględną uważano—i krzyżową sztuką obala całe rozumowanie Milla. Dostaje się przy tém i Spencerowi, na którego Mill powołuje się, a o którym autor odzywa się ironicznie, że przybrał go sobie Mill za druha. Obu im udziela on lekcyą o tém, co znaczy pojęcie wykluczające przeciwne, a co pojęcie wprost przeciwne.

Powiadają, że koniec wieńczy dzieło; otóż końcowy rozdział dzieła p. Raciborskiego jest rzeczywiście uwieńczeniem jego.

W rozdziale tym, noszącym tytuł: Zapatrywania Milla na pojęcie przyczynowości,—spotykamy się z takim zarzutem: „Mill nie odróżnia pojęć przyczynowości i przyczyny od pojęcia prawa przyczynowości; prawo przyczynowości, które nazywa także prawem ogólnéj przyczynowości, utożsamia z jednostajnością biegu przyrody“... „Zatarcie tych różnic jest główną podstawą wykrętnych i bałamutnych rozumowań Milla.“ Już to p. Raciborski jest mistrzem w słownych odróżnieniach! Zdaje mi się jednak, iż te właśnie odróżnienia, które on uważa za ścisłość filozoficzną, stają się dlań powodem dziwnych tłómaczeń myśli filozofa angielskiego.

Że nasz autor nie rozumie Milla, zaraz się przekonamy. Mill powiada: „Umiejętność badania prawdy za pomocą oczywistości jest szczęściem niezawisła od rozlicznych sporów, niepokojących umiejętność o ostatecznym ustroju ducha ludzkiego, nie jest ona też

w potrzebie posuwania rozbioru zjawisk duchowych do téj ostatecznéj granicy, co jedynie zaspokoić może metafizyka.“ Słowa te oburzają p. Raciborskiego, który téż patetycznie woła: „Jest-to jeden z najpotworniejszych ustępów Logiki! A więc nauka o badaniu prawdy nie potrzebuje rozpoznawać właściwości ducha ludzkiego! Wzdrygnie się na to każdy filozof, począwszy od Arystotelesa“ i t. d. „Razi to tém bardziéj, że na początku dzieła bardzo stanowczo, jakkolwiek zbyt może pochopnie podzielił substancye na duchy i ciała.“ Otóż właśnie cały komizm patosu leży w tém, że przeprowadzony przez Milla podział rzeczy względnie do wyrazów, do utartych form językowych, uważa on za wyznanie jego wiary. Mill był idealistą, dla niego świat zewnętrzny był tylko „możliwością wrażeń“, t. j. pewnemi warunkami ostatecznego ustroju ducha ludzkiego, znajdującemi się w nim, nie zaś po za nim. Mill utrzymując, że badanie zjawisk duchowych nie potrzebuje posuwania rozbioru ich do ostatecznéj granicy, rozumie przez to, że tak psychologia jak i logika mogą się obejść bez zaciekań metafizycznych, zajmujących się odgadywaniem ostatecznego ustroju ducha, ponieważ o tém nic zgoła wiedzieć nie możemy, o czém najlepiéj przekonywa nas ontologia. Brak należytego zrozumienia tego, co Mill rozumie przez zasadnicze prawa ducha, ujawnia się w całém dziele autora, a szczególniéj tam, gdzie zapytuje ironicznie: o jakich to innych prawach ducha Mill powiada, kiedy wyraźnie utrzymuje, że jedyném jego prawem jest kojarzenie wyobrażeń.

Nie małą także rolę odgrywa w polemice autora przekręcanie zdań Milla. Spotykamy to w całém dziele p. Racib., ale nigdzie tak wyraźnie, jak tu nie występuje. I tak np. Mill powiada: „W przyrodzie istnieje pewna liczba stałych przyczyn... Istniały one wraz ze skutkami, które wytwarzać było ich właściwością.. Nie możemy jednakże zdać sprawy z pochodzenia samychże stałych przyczyn... Dlaczego właśnie te a nie inne czynniki przyrodnicze istniały początkowo, albo dlaczego są one zmieszane w *takich* właśnie *stosunkach*... nie możemy na to dpowiedzieć.“ Autor swe uwagi nad tym ustępem zaczyna od słów: „Jeżeliby owo twierdzenie, że pierwotne przyczyny są *bezładnie* rozrzucone“ i t. d. Czy Mill utrzymuje, że pierwotne przyczyny są bezładnie rozrzucone? Mill przecież wyraźnie powiada, że nie wiemy, dlaczego czynniki przyrodnicze zmieszane są w takim właśnie stosunku. P. Raciborski, który uczy Milla i Spencera co znaczą pojęcia przeciwne, musi przecież wiedzieć, że gdzie panuje jakiś stosunek, tam o bezładności mowy być nie może.

Nie jest-to, jak powiadam, ani pierwsza, ani ostatnia próbka przekręcania myśli Milla. Następująca jest bardzo charakterystyczna.

Mill powiada: „Każdy sąd, dostarczający rzeczywistego pouczenia, orzeka coś o jakiémś zdarzeniu, zależy od praw przyrody, nie zaś od naszéj klasyfikacyi. Orzeka on, że pewien przedmiot *posiada* pewien *przymiot* lub nie posiada go... ponieważ taka jest treść wszystkich sądów, przeto teorya sylogizmu. która nie uznaje takiéj treści sądów, nie może być prawdziwą.“ Na to odpowiada autor: „Stosownie do tego, co Mill tu powiedział, rzeczywistego pouczenia nie zawierałby sąd następujący: „Wszystkim zapadłym wekslom przysługuje przymusowe ściągnięcie sum, które są na nich wyrażone, bez poprzedniego dochodzenia, czy sumy te słusznie się należą żądającemu wypłaty.“ Sąd ten bowiem nie tyczy się zdarzenia, zależnego od praw przyrody. A więc podług p. Raciborskiego zależy ono od praw nadprzyrodzonych? Czy p. Raciborskiemu nie wiadomo, że prawa przyrodzone używają się w przeciwstawieniu do tego, co jest nadprzyrodzoném, niedostępném poznaniu ludzkiemu?

Za dalekoby to mnie zaprowadziło, gdybym chciał rozpatrywać się w całym przebiegu argumentacyi autora. Zresztą nie na wieleby to się przydało. Nie znajdujemy w nim bowiem nic nowego. Są tam zarzuty stare, oddawna znane i również oddawna należycie odparte. Autor wiedzieć był o tém powinien. A może nie chciał wiedzieć, zważywszy, że za wiele by miał kłopotu w rozprawianiu się z tém, co zostało wyrzeczoném na obronę nauki Milla o indukcyi. Bądź-co-bądź p. Raciborski całą tę naukę obala, ogłaszając *urbi et orbi*, że oparta jest na takich sofizmatach, jak *ignoratio elenchi*, *petitio principii* i t. d. Na poparcie zaś swego wyroku cytuje ustęp z Jevonsa: „Mill oparł indukcyą na prawie przyczynowości, mimo to jednak utrzymywał stanowczo, że prawo przyczynowości poznajemy przez indukcyą. Co właściwie rozumiał przez to prawo przyczynowości — niepodobna orzec.“

Na tém kończę sprawozdanie o dziele p. Raciborskiego. Autor zadał sobie wiele pracy, ażeby zebrać wszystkie dowody przeciwko Millowi, ale za mało, ażeby je należycie ocenić, a jeszcze mniéj, ażeby poznać gruntownie całą naukę Milla. Czytając dzieło p. Raciborskiego, nie można się oprzéć przypuszczeniu, że zna on Milla z tych tylko ustępów logiki, które cytuje; co się zaś tyczy dalszych jéj części, zarówno jak i innych dzieł Milla, to do nich ani zajrzał. Cała polemika jego opiera się na dwóch urojeniach: że Mill jest dualistą, co jest własną kombinacyą autora, i że w swéj logice pomija abstrakcyą, ową władzę ducha, która tworzy pojęcia, co znowu wziął od Taine'a. Z tych dwóch punktów zapatrując się na twierdzenia Milla, nie trudno wyszukać w nich przy dobréj chęci tyle sprzeczności i sofisteryi, ile się tylko żywnie podoba.

Władysław Kozłowski.

= **Dr. Bolesław Ulanowski** wzbogacił w ostatnich czasach literaturę prawa polskiego dwoma nowemi, cennemi wydawnictwami, p. t. *Wybór zapisek sądowych kaliskich z lat 1409—1416* i *Materyały do historyi prawa i heraldyki polskiéj*, obie wydane jako osobne odbitki z Archiwum komisyi historycznéj Akademii Umiejętności, tom IV. Wydawnictwo zapisek kaliskich podaje nam po raz pierwszy obszerniejszą wiązankę zabytków praktyki sądowéj wielkopolskiéj, która w dotychczasowych publikacyach zapisek sądowych polskich w zupełności niemal była pominiętą. Materyał ten poda zatém ciekawe daty do wyświecenia właściwości prawa polskiego, tak jak się ono kształtowało w praktyce sądowéj wielkopolskiéj. Wydawca mógł niestety korzystać z stosunkowo bardzo szczupłego materyału rękopiśmiennego, z jednéj tylko księgi sądowéj, a raczéj kilkunastu jéj luźnych zwitków, które po uporządkowaniu złożyły się w osobną księgę nadto księga ta nie jest oryginalną; jest ona kopią księgi pierwotnéj, sporządzoną współcześnie. Dr. Ulanowski nie przedrukował jéj w całości; wybrał tylko zapiski ciekawsze, pomijając mniéj ważne, z tych ostatnich ogłasza tylko te, które uzupełniając sprawę w zapiskach ważniejszych poruszoną, przyczyniają się do bliższego jéj rozjaśnienia. Roty przysiąg po polsku sformułowane i zapiski herbowe zostały jednak uwzględnione w całości. Księga ta, jak w ogóle księgi sądowe wielkopolskie, zawiera szereg ciekawych statutów wiecowych, z jakimi bardzo tylko wyjątkowo spotykamy się w księgach sądowych małopolskich. Na uwagę zasługuje tu także dokładne wyliczanie osób sprawujących sądy umieszczane w nagłówkach roczków, w którym to względzie księgi małopolskie są znacznie małomówniejsze. Wydawnictwo Materyałów do historyi prawa i heraldyki polskiéj jest niejako dalszym ciągiem ogłoszonych przed kilku laty „Inscriptiones clenodiales" tegoż wydawcy, a różni się od nich znowu tém, że uwzględnia przedewszystkiém materyał dostarczony przez księgi sądowe wielkopolskie. Prócz dwóch ksiąg wiślickich, księgi bełskiéj i ksiąg miejskich krakowskich, które pochodzą z Małopolski, daléj prócz ksiąg Metryki koronnéj z wieku XV, wszystek inny materyał zaczerpnięty został z ksiąg wielkopolskich. Zużytkował tedy wydawca przedewszystkiém sześć ksiąg poznańskich ziemskich, dwie grodzkie, pięć ksiąg gnieźnieńskich ziemskich, czternaście ksiąg kościańskich ziemskich, ośm ksiąg pyzdrskich ziemskich, dwie księgi nakielskie ziemskie, jednę księgę piotrkowską ziemską. Ciekawego materyału dostarczyło nadto pięć ksiąg kapitulnych poznańskich. Z ksiąg tych powybierał wydawca wszystkie zapiski nie tylko ściśle herbowe, ale wogóle te wszystkie, które mają jakikolwiek związek z kwestyą nagany i oczyszczenia szlachectwa. W ten spo-

sób wydawnictwo to uzupełnia częściowo publikacyą p. Potkańskiego. który w poszukiwaniach swych ograniczył się ściśle do zapisek wymieniających herby. Pod względem ilości zapisek herbowych są księgi sądowe wielkopolskie o wiele uboższe niż małopolskie; wydawcy nie udało się odszukać żadnéj zapiski herbowéj z datą późniejszą roku 1438; tém większéj za to wagi nabierają akta kapituły poznańskiéj, w których ilość ich jest wcale znaczna, a nadto są one o wiele obszerniejsze i dokładniejsze niż w aktach innych kapituł polskich. Zapiski z ksiąg sądowych pochodzą wyłącznie tylko z wieków średnich, i to, jak wspomnieliśmy, sięgają tylko do r. 1438; zapiski z aktów kapitulnych rozpoczynają się natomiast od r. 1500, a pojawiają się tam odtąd dopiero skutkiem ustawy z r. 1496, w myśl któréj dostęp do godności kapitulnych zastrzeżonym został tylko dla szlachty. Wywołało to konieczność wywodów szlachectwa przed kapitułą we wszystkich razach w których zachodziły wątpliwości co do stanu kandydata. Z tych aktów kapitulnych podaje wydawca zapiski aż do roku 1601. W dodatku do publikacyi mamy nadto zamieszczoną jeszcze jednę zapiskę herbową wyjętą z księgi brzeskiéj i kilka dokumentów przedrukowanych z Paprockiego Herbów rycerstwa polskiego tudzież „Zdrcadla slawneho Margrabstwy Morawskeho.“ W końcu podany mamy alfabetyczny wykaz herbów w zbiorze tym wymienionych.

= **Historyczno-archeologiczne Towarzystwo szląskie** przesłało na r. b. członkom swoim; *a*) spory rocznik (372 stron) z 15-stu pracami, a mianowicie: 1) „Szląsk w latach 1625 i 1627,“ przez dr. Juliusza Krebsa; 2) „Przyczynki do historyi szląskich poczt od r. 1625 do 1740 na podstawie źrodłowego materyału z król. archiwum w Wrocławiu,“ przez Rob. Schücka; 3) „Szląsk za panowania Rudolfa II, od r. 1574—1609“, przez K. Grünhagena; 4) „*Polityka króla Otokara II, w obec Szląska i Polski*, a mianowicie w ostatnich latach panowania jego,“ przez T. Löschkego; 5) Kościelne redukcye (Kirchliche Ruductionen) w księstwach lignicko-brzesko-wcłowkiém po śmierci księcia Jerzego Wilhelma,“ przez dr. Soffnera, dziekana w Otaszynie; 6) „Heinz Dompnig, starosta wrocławski † 1491,“ przez Hermana Margrafa; 7) „Niektóre szczegóły ze stosunków garnizonowych w Opolu od Fryderyka II króla pruskiego aż do końca wojen oswobodzenia“ (aż do 1815 r.), przez prof. dr. Wahnera; 8) „Opole w czasie drugiéj wojny szląskiéj (1744—1745),“ przez prof. dr. Wahnera; 9) „Jan Büttner, sędzia królewski w Bolesławiu,“ przez dr. E. Wernicke'go; 10) „Starożytny poemat łaciński na ścięcie (w Nysie) księcia opolskiego Mikołaja (1497),“ przez dr. K. Dziatzko; 11) „Pförtnerowie średzcy (Środa szląska, Neumarkt) i ich

zapiski" (kronikarskie od r. 1527—1558), przez król. archiwaryusza dr. Pfotenhauera; 12) „Pierwsze leże zimowe Wallensteinczyków w Szląsku", przez dr. Juliusza Krebsa; 13) „Źródłowe przyczynki do historyi wojny 30-letniéj", p. Grünhagena i Jul. Krebsa; 14) „Archiwalne rozmaitości" (tyczące się herbu miasta szląskiego Środy i pewnego oleśnickiego rękopisu podrzędnéj doniosłości) przez Wernickego i Grünhagena; 15) „Uwagi, uzupełnienia i sprostowania do nowszych pism z dziedziny historyi szląskiéj", przez Wernickego i dr. Dziatzko, tyczą się rzeczy małéj stosunkowo wagi, a wcale nie potrącają o rzeczy polskie. Nadto wydało wzwyż wspomniane Towarzystwo i rozesłało członkom swoim: *b*) „*Regesten zur schlesischen Geschichte.*" Są to chronologicznie uporządkowane zapiski źródłowo-kronikarskie od r. 1292—1300, przez Grünhagena i *c*) rozesłało członkom historyą dwóch wiejskich osad w powiecie średzkim położonych, Górnego i Dolnego Mośna (Mois), przez J. Jungnitza, kustosza biblioteki tumskiéj w Wrocławiu. Dzieło to (str. 2/4) wyszło z muficencyi księcia-biskupa wrocławskiego, dr. Herzoga. *J.*

= **D-r Wojciech Kętrzyński. Das Culmer Land und die Südgrenze von Pomesanien.** (Królewiec 1886).—Pod tym tytułem wyszła w osobnéj odbitce z „Altpreussische Monatsschrift" krótka ale ciekawa rozprawka rzucająca pewne światło na pierwotne stosunki terytoryalne w Polsce. Autor przeprowadził już poprzednio (w pracy swéj „O ludności polskiéj w Prusiech krzyżackich") dowód, że ziemia chełmińska w chwili przybycia Zakonu miała ludność czysto-polską. Zachodzi jednak pytanie, czy poprzednio jeszcze ziemia chełmińska nie należała do Prus. Autorowi udało się odkryć w bibliotece kapitulnéj w Płocku ważną zapiskę, zawierającą spis miejscowości, którémi biskupstwo płockie uposażoném zostało w chwili założenia go przez Władysława Hermana. Zapiska ta, nosząca tytuł: „Iste sunt castellanie ecclesie Plocensis cum villis pertinentibus ad easdem", jest według domysłu jego współczesną uposażeniu samemu, pochodzi zatém z drugiéj połowy wieku XI. W pierwotnéj formie nie znaną była dotąd wcale; treść jéj przeszła jednak do sfałszowanego w drugiéj połowie wieku XIII dokumentu, rzekomo przez Konrada mazowieckiego w r. 1203 wystawionego (Kod. dypl. księstwa Mazowieckiego str. 337), tu jednak tekst pierwotny został skażony interpolacyami, a nadto dokument, zniszczony zębem czasu, nie dał się w całości odczytać. Restytuując pierwotny tekst zapiski o uposażeniu biskupstwa płockiego według odkrycia uczynionego w kapitule płockiéj, rozbiera autor szczegółowo ustęp, dotyczący poruszonéj sprawy: „Rusck castrum et cum castoribus super Druancam et supra ipsum Ruz, Dzetino et cum lacu et cum appendentibus villis in Pomesania."

Nazwy miejscowości w ustępie tym zawarte tłómaczy on w ten sposób: Rusck = Ruziec, nad rzeczką tegoż samego nazwiska, niedaleko ujścia jéj do Drwęcy; Dzetin = Dzelin = Działyń, na południu stamtąd leżący. W wieku XI był tedy Ruziec książęcym grodem, siedzibą kasztelanii; jeżeli zaś miejscowości należące do kasztelanii rucieckiéj oznaczono jako lężące w Pomezanii, to nie jest to oczywiście ani Pomezania Zakonu, ani też kraj z tamtéj strony Ossy położony, oba bowiem leżą zanadto daleko od Rużca. Wspomniane wsi musiały tedy leżéć w najbliższém otoczeniu Rużca na prawym brzegu Drwęcy, a więc w t. z. późniéj ziemi chełmińskiéj. W wieku XI sięgała tedy Pomezania aż do Drwęcy, zajętą jednak była w południowéj swéj cześci przez Polaków, tak, że książę polski mógł już posiadłościami w téj stronie wyposażać biskupstwo płockie. Osobna ziemia chełmińska nie istniała jeszcze wtedy. Prawdopodobnie dopiero, kiedy kasztelania ruziecka przeszła w posiadanie biskupstwa płockiego, przeniesiono siedzibę Kasztelanii do Chełmna, a stąd dopiero wytworzyła się nazwa ziemi chełmińskiéj dla całego obwodu między Wisłą, Ossą i Drwęcą.

= **Błędy nasze w mowie i piśmie,** *ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincyonalizmy, zebrał Aleksander Walicki. Wydanie trzecie powiększone.* (Kraków i Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1886, str. XXVI, 453, XIV). — Z maleńkiéj broszury urosła ta praca miłośnika czystości i poprawności języka w poważną rozmiarami książkę, któréj potrzebę wykazuje trzecie z kolei jéj wydanie. P. Walicki miał cel podwójny: wytknąć niepolskie, niewłaściwe lub błędne wyrazy i wyrażenia rozpowszechnione mniéj albo więcéj w mowie potocznéj, czy też w utworach pisarzy zarówno podrzędnych jak i najznakomitszych; powtóre — spisać prowincyonalizmy litewskie Naturalnie nie zamierzał wyczerpać przedmiotu, ani też opierać zdań swoich na głębokich wywodach naukowych; lecz pragnął sprostować to, co go raziło najbardziéj, z czém się najczęściéj spotykał, a w ocenie, co jest błędem a co dobrą polszczyzną kierował się najczęściéj poczuciem, że tak lub inaczéj być powinno; traktował zaś przedmiot do rozpatrzenia obrany „namiętnie“ już-to z powodu swego usposobienia, już też dlatego, ażeby książka jego przemówiła do jaknajwiększego koła czytelników, którzy lubią rzecz suchą z natury widziéć ubarwioną jakimś zręcznie obmyślanym zwrotem. Autor celu dopiął; z książki jego skorzystało wielu i korzystać będzie na przyszłość jeszcze większa liczba ludzi. Trzecie jéj wydanie jest znacznie powiększone zwłaszcza co do wyrazów i wyrażeń cudzoziemskich. Układ abecadłowy pozwala każdemu bez trudu i zachodu sprawdzić, czy wyraz lub wyrażenie, o którém ma

wątpliwość, jest poprawne czy nie; jest zatém ze wszech miar praktyczny. Nie wszystko wprawdzie, co p. Walicki uważa za poprawne lub błędne. może być uznane za takie powszechnie; jest on mianowicie zanadto względnym dla prowincyonalizmów, a za mało ma wyrozumiałości dla wyrażeń, które mu się cudziemskiemi wydają; w każdym jednak razie ponieważ większość jego uwag należy uznać za trafną, książkę więc jego polecić można czytelnikom i życzyć, aby miał ich jaknajwięcéj.

— **K. Brodziński. Wiesław, sielanka.** *Wstęp krytyczny i życiorys autora opracował Maryan Gawalewicz. Illustrował Juliusz Kossak.* (Warsz. Nakł. M. Orgelbranda. 1886, str. XXI, 26). — Drugie to już illustrowane wydanie najcelniejszego utworu poetyckiego Kazimierza z Królówki (pierwsze wyszło w Petersburgu 1857 z drzeworytami rysunku A. hr. Fredry, Juliusza Kossaka i L. Straszyńskiego). Mamy tu najprzód drzeworyt pomnika znajdującego się w kościele pp. Wizytek w Warszawie, a następnie cztery duże rysunki Kossaka przedstawiające: wyprawienie Wiesława po kupno koni, scenę weselną, powrót zakochanego do domu. scenę pożaru wsi i przybycie Haliny do wioski rodzinnéj: prócz tego każda z pięciu pieśni ma na początku i końcu prześlicznie zrobioną i wykonaną winietkę, przypominającą jakiś szczegół „sielanki krakowskiéj“ O dużych rysunkach Kossaka można powiedzieć, iż mniéj są szczęśliwe w rysunku fizyognomii, które w dwu miejscach fatalnie zeszpecił drzeworytnik, aniżeli w ugrupowaniu; ale w każdym razie zaliczyć się mogą do udatnie odtwarzających poetyckie malowidło poety; możeby tylko nie zawadziło im więcéj delikatności rysów, ażeby ilustracye pomysłów poety zgodniejsze były ze sposobem traktowania świata wiejskiego przez śpiewaka „Wiesława.“ Wstęp o tym śpiewaku skreślony przez p. Maryana Gawalewicza jest bardzo ładny i czyta się z przyjemnością. Oprócz powtórzenia rzeczy znanych, autor wypowiedział także i nowe. Wiedziano wprawdzie i przedtém o wpływie Wincentego Reklewskiego. poety-legionisty, na Brodzińskiego, ale znaczenie tego wpływu ogólnikami zbywano. P. Gawalewicz nie tylko zajrzał do „Pieni wiejskich“ (r. 1811) Reklewskiego, ale je uważnie odczytał i znalazł tam sielankę „Krakowiaki“, która ma wielką analogię z późniejszym „Wiesławem.“ Poeta przedstawia tu „już bez wszelkiego idealizowania, z prawdą rzeczywistości scenę wiejskiéj ochoty i zalotów Stasia do czarnobrewéj Kasi“: scena ta przypomina „kubek w kubek“ podobną scenę godów weselnych w „Wiesławie“. Słusznie to podobieństwo ocenia p. G. mówiąc: „Nie potrzebował jéj (téj sceny) Brodziński brać od Reklewskiego, bo mógł ją, jak ten, tak samo wziąć wprost z natury, ale w sielance

przyjaciela zobaczył poraz pierwszy, jak ten temat w poezyi zużytkowany wygląda i jak ta natura w ramach sztuki się przedstawia, a to go zachęcić musiało do podobnéj próby na szersze rozmiary. I wtedy przyszła mu zapewne ochota napisać Wiesława, kiedy zobaczył już, *jak się to robi*; a że poprzednikowi swemu zawdzięczał tę naukę, może starczyć za dowód, iż z niego zapożyczył nie tylko imię dla swego bohatera. ale i wybrał imiona Haliny i Broniki, najczęściéj jakoś w sielankach Reklewskiego jakby ze szczególniejszém umiłowaniem powtarzane. Zwłaszcza téż Wiesław jest jakimś ulubieńcem autora *Krakowiaków*. pasowanym przez niego na sielankowego bohatera może dlatego, że brzmi już trochę z swojska, a jest jeszcze dosyć wyszukaném nazwaniem i nie trąci pospolitością, tak unikaną przez wszystkich sielankopisarzy naśladujących Gessnera." Zresztą artykuł p. Gawalewicza o śpiewaku Wiesława wypłynął, jak sam autor zaznacza, z chęci zaklęcia cienia Brodzińskiego „słowami miłości raczéj niż krytyki"; a ponieważ taki był zamiar, nie można autorowi robić zarzutu. iż nie postąpił inaczéj; owszem, należy mu się wdzięczność, że się zajął zestawieniem Pieni Reklewskiego z utworem Kazimierza z Królówki. Dlatego téż wspomnimy już tylko nawiasowo, że przeciwstawienie Brodzińskiego klasykom warszawskim jest powtórzeniem szablonowych poglądów z podręczników i że słowa, które przytacza z „Rysu dziejów literatury polskiéj Zdanowicza-Sowińskiego" są-to właściwie słowa W. A. Maciejowskiego, wypowiedziane w „Piśmiennictwie polskiém" (t. II, str. 832).

== **Adam Bełcikowski. Ze studyów nad literaturą polską.** (Warszawa 1886, str. XXXII życiorys i ocena działalności p. Bełcikowskiego przez Piotra Chmielowskiego, i 604 samych studyów). — Pióro p. Bełcikowskiego znane jest czytelnikom *Ateneum* i to zarówno w zakresie dramaturgii („Bolesław Śmiały") jak i krytyki literackiéj („Pierwszy sceniczny pisarz polski"); nie potrzebujemy więc tutaj rozszerzać się nad jego talentem twórczym, ani też nad zdolnością krytyczną i pisarską i możemy wprost powiedzieć o zawartości zbioru, który ukazał się w 25-tą rocznicę pracy piśmienniczéj autora. Zarysy literackie zawarte w tym zbiorze są rezultatem 20-letniéj działalności (1865—1885) na niwie historyi literatury. Od czasu, gdy p. Bełcikowski powziął myśl starania się o katedrę dziejów piśmiennictwa polskiego w b. Szkole Głównéj aż do dziś dnia, obok tworzenia dramatów, komedyi i powieści, nie ustawał on nigdy w studyach nad literaturą ojczystą. Przystępował do nich jako badacz przedmiotowy, bez żadnych z góry powziętych tendencyi, ze szczerą chęcią wynalezienia prawdy, z umysłem trzeźwym i ściśle rachującym się z faktami. Ponieważ w Szkole Głównéj wykładał dzieje literatury

polskiéj XVII stulecia, rzeczą więc było naturalną, iż największe w zbiorze jego studyów miejsce zajęły prace nad pisarzami, mianowicie poetami tego wieku. Obok tych zarysów, wśród których monograficzną szczegółowością odznacza się rzecz o Wacławie Potockim, stoją studya poezyi naszéj z wieku bieżącego, gdzie znów wybitnieje piękna rozprawa o Balladynie. Na trzeciém miejscu co do liczby studyów, ale nie co do ich wartości, umieścić wypada zarysy odnoszące się do pisarzów wieku XVIII; tu zwracamy szczególniéj uwagę na studya o Drużbackiéj, Bohomolcu i Karpińskim. Najmniéj dał nam poznać p. B. swoje studya nad XVI stuleciem gdyż w zbiorze obecnym znajdujemy tylko rozprawę o Reju i szkic o Kochanowskim. Poglądy ogólne p. B-go na całe okresy („Notaty o literaturze i oświacie XVII wieku“, „Dwie epoki naszego pseudoklasycyzmu“, „O narodowym charakterze i zasługach literatury z czasów Stanisława Augusta“, „Główne prądy poezyi polskiéj w XIX wieku“, „Charaktery kobiece w poezyi polskiéj“) nie są wyczerpujące, ale zawsze prawie trafne; autor wolał wydać się mniéj głębokim, mniéj filozoficznym badaczem, aniżeli prawić ogólniki, które dyletantom mogłyby się wielce podobać, ale które wobec ścisłéj analizy by się nie ostały. Studya p. Bełcikowskiego powstały, jak wiemy, w przeciągu lat dwudziestu; w tym czasie kilka szczegółów nowych odkryto o tych pisarzach, którym rozprawy swe autor poświęcił; badania co do niektórych innych pogłębiły się; tu i owdzie zatém fakta przytaczane przez p. B-go lub jego o nich zdania muszą być sprostowane; wogóle jednak biorąc, książkę jego można śmiało polecić wszystkim, co pragną bliżéj się zapoznać z losami piśmiennictwa naszego w formie prostéj, przystępnéj i to od człowieka, który ceniąc nadewszystko prawdę, żadnym jéj nie poświęca względom.

= **Jana Kochanowskiego Dzieła wszystkie.** *Wydanie pomnikowe. Tom trzeci w Warszawie. 1884* (str. VIII. 421, 3 karty nlb. i podobizna Dryady). — Z datą roku jubileuszowego wyszedł przed kilku tygodniami tom kończący zbiór utworów Kochanowskiego w wydaniu pomnikowém. Ponieważ tom ten zawiera same pisma łacińskie, a więc może zainteresować nietylko krajowców ale i cudzoziemców, p. Józef Przyborowski, który do druku go przygotował, napisał przedmowę łacińską, przedstawiającą zwięźle znaczenie Jana z Czarnolasu jako poety, piszącego po polsku i po łacinie, a następnie podawszy najdawniejszy życiorys Kochanowskiego z r. 1612, porobił sprostowania faktyczne w języku łacińskim. Podobnież i objaśnienia (dość skąpe) do pism łacińskich Kochanowskiego podane są w języku Rzymian. W paru miejscach wydawca szczęśliwie tekst sprostował. Pisma następują w takim porządku: 1. Elegie, 2. Dwo-

rzanki, 3. Pieśni liryczne, 4. Pieśń zwycięska (epinicion), 5. Pieśń weselna (epithalamion), 6. Wiersze różne (jako to: do Andrzeja Patrycego, Nagrobek Doraliki, Francuzowi krakającemu odpowiedź, Dryas Zamechska, Pan Zameski, Orfeusz Sarmacki. Wkońcu pomieszczone zostało wydanie przekładu Cycerona z dzieł Aratusa, przekładu poprawionego i dopełnionego przez Jana Kochanowskiego. Do wszystkich pism łacińskich Kochanowskiego (z wyjątkiem naturalnie Aratusa) dodano tłómaczenie polskie, dokonane przez p. Teofila Krasnosielskiego.—Tom ten w połączeniu z dwoma poprzedniemi bardzo ułatwia studya nad pismami poety czarnoleskiego; a tom IV-ty zawrze dokładny życiorys oraz studya nad językiem i wierszem Kochanowskiego. Wszystkim miłośnikom rzeczy ojczystych gorąco polecamy to wydawnictwo.

= **Wspomnienia z życia Maryi z ks. Czartoryskich ks. Wirtemberskiéj,** *przez Sewerynę Duchińską* (Warsz. 1886, str. 187). Książeczka ta składa się z dwu części: od str. 1—109 i od 110—187. Pierwsza część została obrobioną na podstawie listów, jakie autorka otrzymała od ks. Władysława Czartoryskiego. Gdy ją wydrukowano w „Kronice Rodzinnéj," posiadacze nieznanych dotąd listów ks. Wirtemberskiéj zaczęli już to w całości, już to w wyciągach nadsyłać je do redakcyi, która je drukowała w miarę jak nadchodziły; stanowią one zatém surowy materyał. z których historyk i krytyk dopiero wydobędzie to, co jest cenném dla biografii autorki „Malwiny."





KRONIKA MIESIĘCZNA

Potop krzywd. — Kronikarska jednostajność. — Komisya kolonizacyjna. — Skutki usiłowań ratunkowych. — Polacy, ofiarujący ziemię ks. Bismarkowi. — Niepodobieństwo! — Dla czego Niemcy sprzedają majątki? — Westchnienia Warszawy. — Teatr Mały i ogródki, jako rozsadniki zepsucia. — Wpływ fars i operetek. — Świątynie rozpusty. — Dziecko, śpiewające Gasparone. — Bohater Skierniewicki i opinia publiczna. — Dobra próba Teatru Małego. Najpoważniejsze i najbardziéj sensacyjne wystąpienie teatru poznańskiego. — Nieco o naturalizmie i zadaniu sztuk pięknych. — Apostrofa do p. Śnieżko-Zapolskiéj. — Bohaterowie klaki i ofiary sykania. — Nowe pisma. — Cud i prasa konserwatywna. — Zabawy dziecinne.

Nie ma niemal dnia, któryby nie przyniósł wieści o nowych krzywdach, wyrządzanych żywiołowi polskiemu przez władze pruskie.

Nie dziwcie się czytelnicy, że każda prawie kronika nasza zaczyna się zawsze z jednego tonu i od tegoż samego przedmiotu. Każdy człowiek wraca wciąż do tego, co go pali najbardziéj. Sprawy poznańskie są tak ważne i doniosłe dla całego bytu naszego, dla całéj naszéj przyszłości, że nie chcemy, aby nikt ani na chwilę nie zapomniał o nich; gdyż myśl nasza i usiłowania tak wytrwale i nieustannie skierowane być winny ku obronie, jak napastnik nieustannie pracuje nad zagładą. Jak na stopienie dyamentu, tak na zgładzenie narodu nie został wynaleziony środek; naród przetrwać może najstraszniejsze wysiłki prześladowań i doczekać chwil sprzyjających odrodzeniu, ale w takim tylko razie, jeżeli na każdym kroku oczy jego skierowane będą w jeden punkt, jeżeli wśród poziomych kłopotów codziennego życia nie przestanie on ani na chwilę myśléć i spełniać obowiązków dla kraju, dla przyszłości.

Krzywdy, o których mówić zacząłem, obejmują coraz to szerszą sferę zjawisk; rozpływają się na wszystkie strony, jak woda na bibule. Dzienniki wciąż nas zawiadamiają, o niekorzystnych zmianach w składzie osobistym duchowieństwa, o ostatecznem usuwaniu pierwiastku polskiego ze szkoły, o wysyłaniu nad Ren czy Ejderę żołnierzy — poznańczyków, zmienianiu granic obwodów administracyjnych dla dogodniejszego ugrupowania ludności, przeznaczonéj na pastwę germanizmu. Ale po nad wszystkiém góruje naturalnie

dążenie do jaknajliczniejszego wszczepiania niemców do kraju przez kolonizacyą. Sprawozdanie Centralnego Kolniczego Stowarzyszenia za rok 1885 daje nam przybliżoną miarę jak szybko posuwać się będą do celu zamiary ks. kanclerza. 45 dóbr i folwarków zostało w tym roku sprzedanych przez subhastacyą, 19 zaś—z wolnéj ręki. W posiadaniu Polaków zostało już tylko 649 majątków większych, zawierających razem 654,143 hektarów gruntu, Niemcy zaś mają już 1,010 majątków a 723,899 hektarów.

Pomimo zjazdów dyplomatycznych, pomimo wciąż i coraz groźniéj chmurzącego się horyzontu stosunków międzypaństwowych, w Berlinie ani na chwilę nie zapominają o wykonywaniu starych i tworzeniu nowych planów ku naszéj zagubie. Komisya kolonizacyjna została już utworzoną. Na czele jéj, jako prezes i vice-prezes, stanęli dwaj naczelnicy : nadprezydent księstwa poznańskiego i prezydent rejencyi bydgoskiéj ; urzędnicy ministeryum dóbr państwa i finansów, oraz paru miejscowych obywateli niemców—stanowią resztę komisyi.

Wobec tego znowu wskrzeszoną została myśl zasłonięcia się przed naciskiem jakąś instytucyą ratunkową. Posiadacze ziemscy w Poznańskiém odbywają zjazdy, radząc jaka forma najskuteczniejszą byłaby do obrony. Należy mieć nadzieję, że tym razem projekty dojdą do skutku. Pierwszy wybuch uczuć, podpalonych świeżemi wrażeniami, spłonął w powietrzu, zostawiając po sobie jedynie gorycz zawodu. Ludzie, którzy powracają po niejakim czasie do zamiarów już zaniedbanych, zwykle robią to z namysłem i z mocnem postanowieniem doprowadzenia dzieła do skutku, wolni są od gorączki, która zrazu zapala i łudzi, a późniéj wtrąca w niemoc. To téż może poznańczycy coś uradzą i zrobią. Wszelako ani my tutaj, ani oni tam nie powinniśmy dać się uwodzić nadziei, iż osiągną się wielkie rzeczy przez założenie towarzystwa, lub banku. Ponieważ dotąd nietylko ostateczny projekt nie został ułożony, ale nawet wyraźniéj nie zarysowały się plany pierwotnych pomysłów, nie możemy więc niczego ani omawiać, ani przesądzać. Z góry jednak da się powiedzieć, że występując do walki z taką potęgą, jak rząd cesarstwa niemieckiego, na wygraną liczyć nie podobna. Wszelka instytucya słabszą będzie niż skarb państwa, w zasadach więc już swoich liczyć musi na dobrą wolę, na patryotyzm obywateli, tymczasem zwykle prawa ekonomiczne żelazną koniecznością podporządkowują sobie wszelkie inne względy. Zapewne podobne racye usłyszą projektodawcy z ust niejednego z zaproszonych do współudziału. Naszém jednak zdaniem, tego rodzaju obawy nie powinny wstrzymać od doprowadzania zamiarów do skutku. W podobném położeniu całą

sztuką życia jest przetrwanie do czasów lepszych, ucisk coś strawi, wyrwie zapewne z organizmu wiele sił żywotnych, to nieuniknione; należy dążyć, aby ich najwięcéj ocalało. Pomimo całéj słabości instytucyi prywatnéj— w najlepszym razie tolerowanéj tylko, potrafi ona tu i owdzie ochronić od uszczerbku interesy narodu. Już i to znaczy niemało, ale najważniejszą i wielką korzyścią w każdym razie będzie utworzenie ogniska oporu; moralne siły społeczne dźwignąć się mogą przez to bardzo. Byłoby faktem okropnym, poniżającym dla spółczesnych, a gorzkiém jeszcze dla wnuków i prawnuków naszych, gdybyśmy poddali się gwałtom nie sprobowawszy nawet obrony, gdybyśmy biernością zupełnie bezsilnéj ofiary odpowiedzieli na usiłowania zagłady.

Zakupna na cele kolonizacyjne trwają. Świeżo nabyła komisya za 300,000 marek majątek Lubowo, w powiecie gnieźnieńskim, obejmujący 479 hektarów. Rozprawy w izbach prawodawczych i dziennikach o losach własności ziemskiéj w Poznańskiém i Prusach musiały jakąś gorączką zarazić tamtejszych posiadaczy. Widocznie majątki własne palą im ręce, trawi żądza złożenia swych folwarków za dobre pieniądze na ołtarzu kolonizacyjnych nadziei rządu. Podobno komisya wprzód nim ostatecznie ustanowioną została, już zarzuconą była podaniami, prośbami, propozycyami niecierpliwych amatorów sprzedaży. Gazety zapewniają, że pewna część zaofiarowań pochodzi od właścicieli-polaków. Powtarzamy to, cośmy powiedzieli zeszłego miesiąca: *nie wierzymy*. Wieść równie potworna wtedy dopiero powinna być powtarzaną i szerzoną, gdy z niéj zniknie ostatni cień wątpliwości. Prawodawca grecki nie dał kary na ojcobójstwo, bo nie chciał, aby głośno zostało zrobione przypuszczenie nawet, że zbrodnia taka stać się może wśród rodu ludzkiego. Opinia nasza znajduje się w tém samém położeniu. Źle świadczy o społeczeństwie, że pogłoski podobne zrodzić się mogły i znaleść posłuch. Jeżeli to tylko podejrzenia mniéj lub więcéj uzasadnione, to powinny być odtrącone ze wstrętem, pogardą i oburzeniem. Mocno nas dziwi, że pisma polskie nie zrobiły tego, lecz szerzyły wieść, jeszcze niepewną, popularyzując niejako rzecz samą, uznając za możliwe to, co nie powinno postać ani w myślach, ani w sercu, jako najwyższa niemożliwość. Wiadomość tę za pewną uważać można tylko wtedy, gdy znane i sprawdzone są wszystkie szczegóły faktu, a w takim razie występkiem, wprost występkiem przeciwko uczuciom i interesom narodu jest ukrywanie nazwisk. Ogłoszenie ich może przynieść korzyść natychmiastową: powstrzymać kogoś, pokazując złym lub lekkomyślnym przez powszechne oburzenie całą ohydę ich występku. Niech nazwiska, splamione obojętnością, sa-

molubstwem w chwili, kiedy groza utraty bytu, wściekłość wroga, podniecić by powinny uczucia narodu całego, przejdą do potomności z piętnem wzgardy, niech jak pomniki hańby stoją przed szeregiem pokoleń!

Ciekawém, a niezupełnie zrozumiałém jest, dla czego Niemcy sprzedawać chcą dawniéj wydartą nam ziemię. Czy pośpiech w uprzedzaniu życzeń rządu źródło swe ma w patryotyzmie, czy w chęciach zrobienia dobrego interesu na germanizacyjnych pożądliwościach ks. Bismarcka? Pierwsze przypuszczenie nie ma za sobą pozorów prawdy. Każda majętność niemiecka w poznańskiém była niby twierdzą zdobytą na ziemi nieprzyjacielskiéj, rząd to tak uważał i ze znacznym nakładem nieraz forytował nabywanie dóbr ziemskich od Polaków. Germanizacya kraju zrobiła postępy, obywatele Niemcy świadomie służyli i służą niemieckości i tronowi, nie można więc przypuszczać, żeby własność niemiecka miała być z woli ministra przerabianą na inne kopyto. Tyle zabiegów, tyle wrawy, tyle walk niezupełnie łatwych, 100 milionów nareszcie marek nie było chyba poświęconych na kupowanie ziemi od Niemców dla Niemców. Może więc jakiś jeden i drugi kulturtreger uniósł się w tym razie patryotyzmem, ale ogólna przyczyna usiłowań pozbycia się majątków musi być inna. Czyżby nie zupełnie dobrze się działo im w polskim kraju, czyż by pionierkę germańską trzeba było okupywać stratami materyalnemi, lub kontentowaniem się zyskami szczupłymi? Gdyby tak było! Może by w takim razie i koloniści ks. Bismarka tylko przez czas krótki uważali się za obsypanych dobrodziejstwami i szli daléj utartym torem do Ameryki, lub zaczęli wydeptywać nowy szlak do Kamerunu.

Kiedy się w Poznańskiém szykują do obrony, my, w Warszawie wzdychamy. Nie mówię tego w zamiarze robienia wyrzutu, bo doprawdy nie wiem czy wyrzut w tym razie byłby słusznym. Wzdychamy czasami głęboko, czasami cichutko, czasem bardzo gorzko, a niekiedy, niezmiernie rzadko, nieco weseléj, jak gdyby z wyrazem słabéj nadziei: zależy to od tego, czy myślimy o niemieckiéj kolonizacyi, czy o jutrze rodzin własnych, czy też o zajściach bulgarskich. Wzdychanie nie jest bardzo pożądaną czynnością, ale budzi poszanowanie jako poważny stan duszy, skłopotanéj i myślącéj. Pragnąłbym nawet, aby stało się ono zaraźliwem i przeszło do dwu głośno przemawiających organów naszego życia, do prasy i do teatru, które nieraz humorem i wesołym zacięciem stanowią kontrast z tłem otoczenia. O prasie teraz zamilczę, gdyż raz już byłem karcony za wyrażenie podobnego żądania: może będę pobłażliwiéj sądzony za zdanie o teatrze.

Nie dla przekonywania kogokolwiek, bo o tém wszyscy wiedzą, lecz jedynie dla zaznaczenia punktu wyjścia, zacząć muszę od tego, że teatr nie może być uważany jedynie za środek zabawy i uciech. Jako instytucya społeczna, zasilana pieniężnie z funduszów publicznych, ma ona za zadanie podnoszenie i uszlachetnianie uczuć; celem jéj jest kult piękna i dobra. Stołeczny nasz Teatr Mały i niektóre prowincyonalne w ogródkach postanowiły sobie robić coś biegunowo przeciwnego. Farsa francuska, wabiąca cynicznym dowcipem, kosmopolityczna operetka, z urokiem rozpustnéj kokoty, wywierają ze sceny na ogół równie dobroczynny wpływ, jak alkohol lub narkotyki na organizm jednostek. Repertuary tych teatrzyków podobne są do treści „Kolców" i „Muchy". Jak tu, tak i tam dowcip, pomysłowość, satyra autorów nie mogą przekroczyć granic skandalu, nie mogą się obyć bez schlebiania i rozdmuchiwania cynizmu, przenikającego w wielkich miastach poglądy na życie. Tam nie można napotkać numeru, ażeby ołówek artystów, niewstydzących się podpisać nazwiska, nie uznał za konieczne budować prenumeratorów i czytelników widokiem elegancko upończoszkowanych nóżek, lub obnażonych piersi, tutaj znowu muzyka jest bluźnierstwem przeciwko świętemu wpływowi na duszę ludzką szlachetnych melodyj. Podobno jestto wszystko satyra, mająca wyżreć z umysłów i serc naszych brudne pożądliwości. Może tak myślą autorzy i artyści, ogół jednak widzów i czytelników wchłania w siebie podniecające wrażenia, zapominając zupełnie o sensie moralnym. Co krok spotykamy drwiny nad oszukiwanym „niedołęgą" i aplauz dla „naciągacza." Zręczny filut otoczony jest sympatyą aktorów i widzów. Poczynając od Ewy, ulegającéj pokusom węża, nie było na świecie tylu żon niewiernych, ile ich stworzyła komedya i farsa. Co sobie za cel kładą autorzy—trudno zgadnąć, ale to pewna, że nasza publiczność zawsze stoi po stronie uwodzicieli. Zapewne, zasługuje na smaganie satyry starzec, który do gasnących resztek dni swoich przykuł młodość nieszczęśliwéj piękności, ale jednocześnie nie należy dawać zgóry rozgrzeszenia kobiecie, także nieco winnéj, za wszystkie wybryki wiarołomstwa, nie należy tolerować rozpusty uwodzicieli. Może mieć śmieszne strony klasztorna surowość w wychowaniu córek, ale przecież nie należy traktować pobłażliwym śmiechem rujnujących podstawy społeczne wybryków kwi, zbłąkanéj wyobraźni i najszkodliwszego może próżniactwa. Proszę na próbę zajść do „Belle-vue," lub gdziekolwiek na przedstawienie pierwszéj lepszéj operetki i przekonać się, jakim uznaniem otaczają widzowie, każdy dwuznaczny ruch aktorki, jaką uciechę sprawia każdy tłusty koncept; prawdziwa burza oklasków akompaniuje zawsze tryumfalnemu hymnowi zręcz-

néj zdrady, wyśpiewanemu w formie kupletu. Atmosfera rozpusty, jak wyziewy szynkowniane, przenika na wskroś każdego, kto się w nią zanurzył, to też miazmaty zepsucia bardzo łatwo przenoszone bywają do wnętrza rodzin i tam się plenią nieraz potwornie. Widziałem maleńką dziewczynkę, jak, nierozumiejąc, powtarzała z „Gasparone:“ „Ty, panie mężu, pod drzwiami stój, u żonki bawi przyjaciel twój,“ czy coś podobnego; matka i całe otoczenie było zachwycone. Działo się to nie w budce stroża, ani w warsztacie szewckim.

Ze względu na interes społeczny rozpusta nie ma prawa do większéj tolerancyi, aniżeli inne przestępstwo—kradzież, lub oszustwo. Jest może nawet szkodliwszą, bo rujnując rodzinę, uderza w samą podstawę urządzeń ludzkich. Tymczasem na punkcie tym w pojęciach większości, ogromnéj większości panuje wielki zamęt. Ten sam człowiek, któremu by wspomnienie bezwiednego nawet oszustwa wypiekło rumieniec wstydu na twarzy, z zupełnym spokojem sumienia przyzna się do wykroczenia przeciwko szóstemu przykazaniu. Opowiadania prawdziwych i niebywałych zwycięstw, tryumfów kawalerskich, podniecają wyobraźnię, pobudzają ambicyę i bez najmniejszéj kwestyi przyczyniają się do występków, popełnianych później. Cały świat zadrżał z oburzenia, gdy rok czy półtora temu gazeta angielska wyciągnęła na światło dzienne nocne rozpusty lupanarów Londynu. Niejeden ze szczerze oburzonych nie zwrócił uwagi, że sam nieustannie przyczynia się do wytwarzania atmosfery, ktora pozwala lęgnąć się podobnym bezeceństwom, zapomniał może, że sam wczoraj brał udział w wybrykach, które stopniem wyuzdania jedynie różniły się od opisanych. Wszędzie obyczaje towarzyskie tolerują nietylko teatr z operetką, ale nawet instytucye, których jedynym celem jest rozpusta. Jaśnieją otwarcie światłem w karnawale sale Doliny Szwajcarskiéj, a przecie wszyscy wiemy, że tam ułatwia się upadek. Rewizya gabinetów przy restauracyach któréj kolwiek nocy była by bardzo pouczającą. Odbywające się w nich orgie upadlają mężczyzn, a co ważniejsza demoralizują całą klasę kobiet, z których wiele zostaje poźniéj żonami biedaków i przynosi z sobą do rodziny zaczerpnięty w pohulankach z inteligencyą cynizm, gust i potrzebę rozpusty i zbytku. Naturalnie społeczeństwo musi mieć ścieki, które zabezpieczają całość organizmu od gnijących odpadków, ale zdrowie społeczne wymaga, aby ogół przejęty był właściwemi pojęciami, aby zgnilizna przejmowała wstrętem, aby rozpusta nie wydobywała się na wierzch, wabiąc i wciągając w swoje odmęty coraz liczniejsze ofiary, co raz szersze koła.

Świeżo zdarzył się u nas wypadek, który poruszył gwałtownie moralne uczucia ogółu. Mówię o zajściu w Skierniewicach. Prasa

energicznie zażądała wymiaru sprawiedliwości, łączymy się z tém głosem *najzupełniéj*; puszczenie bezkarnie takiego postępku wywarło by bez kwestyi wpływ ujemny. Zwróćmy jednak uwagę, że zło się nie wykorzeni przez ukaranie jednostki; że podobne, choć mniéj głośne wypadki zdarzać się muszą, dopóki społeczeństwo nie zacznie traktować uwodzicieli i cudzołóżców na równi ze złodziejami. Smutny bohater katastrofy skierniewickiéj był bez najmniejszéj kwestyi pchnięty do swego czynu przez tolerancką opinią otoczenia, która była by może admirowała czyn jego, gdyby nie czysto wypadkowe wyskoczenie z okna i połamanie nóg.

Wracając do punktu, z którego wyszedłem, dodać wszakże muszę, że pewna część prasy z macoszą surowością traktowała Teatr Mały właśnie za jego zbyt wesoły repertuar. Wszystkie zaś pisma, bez wyjątku zdaje się, bardzo wzorowo spełniły swój obowiązek po wystawieniu sztuki „Nad Przepaścią,“ przerobionéj z niemieckiego przez p. Śliwińskiego i przystosowanéj do naszych stosunków. Autor przeciwstawił tam życie w skromnéj mierności, oparte na uczciwéj pracy, hańbiącemu bogactwu, wiodącemu do występku i upodlenia. Sztuka jest przesiąknięta naiwnością melodramatu i, pomimo iż akcya toczy się wartko, dowcipnie nawet czasami, wyższych zalet dramatu nie posiada. Prasa pomimo to jednak podniosła jak najsłuszniéj „Nad przepaścią,“ wskazując jednogłośnie, iż reżyserya teatru powinna wziąć ją sobie za wzór i tą drogą kroczyć daléj. Dotychczasowa publiczność byłaby zapewne bardzo niezadowoloną, dla niéj „szopka“ bez kankana jest czemś kompromitującém wiek XIX, za to drobno mieszczańskie warstwy może by zagustowały w teatrze, znajdując w nim odpowiednią i zdrową rozrywkę. „Nad przepaścią“ miało widocznie powodzenie, gdyż wielokrotnie już figurowało i dotąd nieprzestaje figurować na afiszu.

Najpoważniejszą nowością teatralną w bieżącym sezonie ogródkowym był pięcioaktowy dramat, ułożony na spółkę przez znanych literatów z postępowego stronnictwa, pp. Kotarbińskiego i Wołowskiego, p. t. „Nie wypada“. Sztuka tak prędko zniknęła z afiszów, żeśmy nie zdążyli jéj oglądać, dla tego z żalem poprzestać musimy na zanotowaniu jedynie faktu. Najwięcéj znowu sensacyi sprawiło wystawienie w Alhambrze [gdzie również grano „Niewypada“] przez teatr poznański niesłychanie długiéj przeróbki na dramat głośnéj powieści pani Śnieżko-Zapolskiéj, „Małaszka.“ Zmiany dokonała sama autorka, tytuł pozostał niezmienionym. Ponieważ wiele mówiono o naturalizmie i o drażliwych ustępach w utworach p. Z., więc też wsze stany naszego miasteczka, rozsmakowane w operetkach, obiecywały sobie uciech co nie miara. Teatrzyk i ogródek na

pierwszém przedstawieniu, a podobno i na dalszych, były zapchane widzami. Nadzieje amatorów skandaliku zawiedzione zostały, chociaż sztuka do budujących wcale nie należy. Nie dla tego, żeby podsycała jakieś brudne instynkty, ale przez cały wieczór trzyma widza w atmosferze strasznego upadku moralnego. Wszyscy ludzie rządzą się tam samymi niskimi instynktami, wszystkie czyny rodzą się z egoizmu. Pani Zapolska nie jest odosobnioném zjawiskiem, ma ona liczny zastęp kolegów zarówno w naszéj, jak i w europejskiéj literaturze. Autorowie ci sądzą, że można być poetą, patrząc na świat chłodném okiem zewnętrznego i objektywnego widza. P. Z. posiada bezwątpienia talent i może nawet duży talent, ma on jednak dotąd tylko siłę daru naturalnego. Nie został on widocznie uszlachetniony przez studya na lepszych wzorach, nie został ujęty w karby przez podporządkowanie go pod ogólne uczucia i dążenia społeczne. Wielka szkoda, mało tak mamy sił i te jeszcze błądzą po bezdrożach! Utwory piękna wtedy jedynie nabierają wyższéj i trwałéj wartości, wtedy jedynie spełniają swoje zadanie, wywierają wpływ dobry, uszlachetniają ludzi, dodają sił do oparcia się pokusom, gdy twórcę ich łączy z niemi zarówno jak z otoczeniem serdeczny węzeł miłości. Ukochanie ludzi wkłada dopiero, czy w dramat, czy w malowidło ten czar tajemniczy, który przykuwa serca, każe nam czuć, pragnąć, cierpiéć i cieszyć się razem z autorem i jego bohaterami; tworzy to ciepło, które roznieca wzniosłe uczucia; kieruje wyobraźnię ku dobru i pięknu i rodzi żądzę doskonalenia się. Chorobliwe upodobanie w malowaniu wyłącznie patologicznych zjawisk, fotografowanie lub fantazyjne stwarzanie odpadków, które brudnym szlakiem ciągną się za pracującą i żyjącą zdrowemi uczuciami ludzkością, może wabić i wabi tylko rozpustników o zepsutéj wyobraźni i rozdrażnionych nerwach. Tak samo jak alkohol, morfina lub opium wabią tych, z których już przedtém wyssały zdrowe popędy, a wlały natomiast zabijającą gorączkę trawiących wrażeń. Gdyby przyszłe nasze wodociągi roznosiły po mieście napój, zaczerpnięty z miejsc, zanieczyszczonych przez ścieki uliczne i odpływy fabryk, nazwalibyśmy budowniczych trucicielami; wcale nie mniéj szkodliwą jest działalność artystów, którzy naszą duchową atmosferę nasycają wyziewami śmietnisk życia. Nie chcę wszystkiego tego, com powiedział, stosować do pani Zapolskiéj; winy jéj autorskie, okupuje w części jedno uczucie, któremu kilkakrotnie dała wyraz: jestto głęboka, szczera, serdeczna, gotowa do ofiar miłość macierzyńska. Ta struna odzywa się i w „Małaszce,“ i wydaje jedyny sympatyczny, chwytający za serce ton w całéj sztuce.

Ile razy wziąłem do ręki powiastki p. Z. wytrącała mi je zawsze przykra, dusząca ich woń i jakaś niesforna wybujałość w pomyśle i w wykonaniu, pomimo to żywe odczucie krzywdy i udział literacki, jaki brałem w niemiłych dla niéj zajściach, nie mogły nie pozostawić po sobie pewnego zainteresowania się losami jéj, jako autorki. Pragnął bym téż bardzo, aby „Kaśka Karyatyda“ była ostatnią powieścią. któréj głośno czytać nie można.

Niech się autorka nie łudzi co do wartości swéj sztuki ilością przedstawień i widzów: wabią ich efekty pospolite, jakie w poważnym dramacie znaleść się nie powinny były. Nawet w utworach Szekspira (ostatnich, nap. w Burzy) potępione one zostały przez najgorliwszych wielbicieli mistrza. Szkoda by było talentu pani Zapolskiéj, gdyby, zachęcony powodzeniem, miał kroczyć daléj tym samym szlakiem.

Nie wiem, czyście słyszeli czytelnicy, że jakaś garstka bohaterskiéj młodzieży oklaskami manifestowała swój zapał, usłyszawszy wyrok w sprawie Zapolska-Świętochowski. Co wtedy było powodem radości i uznania—niewiadomo. Trudno przypuścić, ażeby miało nim być poniewieranie przez pięć godzin nazwiska kobiety. Widocznie uczucia, poruszone wtedy, nie wygasły dotąd, gdyż na przedstawieniu Małaszki kilku walecznych musiał aż stójkowy prowadzić do cyrkułu za zbyt gorliwe sykanie. Chciałbym uwierzyć, że to był objaw obrażonych uczuć moralnych, ale w takim razie wybuchnął by on zapewne w odpowiedniém miejscu; tymczasem najgłośniéj dał się słyszéć w najpiękniejszéj, jedynie może wzniosłéj scenie. Matka na kolanach przed kolebką umierającego dziecka wzywa u nieba ratunku, który nie nadchodzi, zrozpaczona woła bez pamięci: „Nie ma Boga!“ Co tu było do wysykiwania?

W bliskim czasie peryodyczna literatura nasza powiększona zostanie czterema aż pismami nowemi. P. Erlich wydawać będzie „Tellusa,“ organ, poświęcony wyłącznie gorzelnictwu i piwowarstwu. Chętnie powitamy nowego towarzysza, jeżeli zadanie swoje spełniać będzie należycie; nic bardziéj pożądanego jak pisma specyalne, któreby omawiały gruntownie to, co dziś się traktuje po literacku. P. Gruszecki, redaktor „Wędrowca,“ otrzymał koncesyą na „Wisłę,“ mającą znowu zajmować się samą tylko etnografią. I to pożądany przybytek, bo tworzy nowe ognisko dla prac naukowych, które dotąd z trudnością przytułek znaleść mogły. Dwa pozostałe pisma będą tygodnikami treści ogólnéj; jeden z nich „Głos“ ma być redagowanym przez autorów „Nie wypada“, pp. Kotarbińskiego i Wołowskiego; drugi „Rozwój“ podobno jest własnością p. Czajewskiego. Według kursujących pogłosek wystąpią one w barwach postępowych

Trudne do uwierzenia; wieść o cudzie częstochowskim, o uzdrowieniu sparaliżowanéj na nogi łaską sił naprzyrodzonych została tak podaną naszéj publiczności przez zachowawcze organy, jak gdyby w kwestyi téj żadna wątpliwość zrodzić się nie mogła. Nie tylko że uczymy czytelników naszych mało, ale jeszcze przy nadarzonéj sposobności mącimy im w głowach. Gdy się o tém pomyśli, ogarnia jakiś smutek i żal. Przed wiekiem podobnie bierne uchylenie głowy przed faktem cudu dałoby się wytłómaczyć. Ale dziś... Gdy tlen, wodór, azot znane były jedynie w stanie lotnym, można było rozróżniać pary od gazów, chociaż nauka domyślała się, że podział taki nie odpowiada istotnym własnościom ciał; ale gdy pierwsze krople tych pierwiastków osiadły w naczyniach Picteta, bezzasadnie przyjętego podziału nikt już przyjmować nie powinien.

Zupełnie tak samo ma się rzecz z uzdrawianiem przez cuda. Oddawna wielu ludzi było przekonanych, podejrzywało, wierzyło, że wypadki nadzwyczajnych uzdrowień były wynikiem sił zupełnie przyrodzonych, ale nieznanych. Wnioski te wypływały z ogólnych pojęć o świecie, nie zaś z bezpośrednich badań nad danym przedmiotem. Obecnie właśnie nauka wkroczyła w tę niepodbitą jeszcze dziedzinę. Tajemnica spada z cudownych dotąd wypadków, widzimy, jak je dokonywa najśmiertelniejszy człowiek, tłómaczy najnaturalniéj cały przebieg zjawiska, uczy innych powtarzać je. Teoryi, któraby wszystko ostatecznie wytłómaczyła, nie ma jeszcze, ale są już fakty, które pod względem ziemskiego początku cudów nie pozwalają żywić najmniejszéj wątpliwości. Wobec tego, nie wypada doprawdy podawać dziś ogółowi opisu cudu uzdrowienia, nie wspomniawszy nic o dawniejszych i nowszych usiłowaniach naukowego wyjaśnienia faktów, które, zagadkowo wyglądając, zyskiwały miano cudów. Grzech ten popełniają w dodatku pisma, mówiące często z zapałem o pracach Ochorowicza nad hypnotyzmem. Nie można dziś już uważać ziemi za nieruchomą, nie można zjawisk w naturze tłómaczyć przez wtrącanie się woli naprzyrodzonéj.

Troskliwość o młode pokolenia może służyć za miarę rozwoju cywilizacyjnego i zdrowia społeczeństw. Im naród lepiéj rozumie dobro swoje, tém bardziéj dba o wychowanie dzieci. W Szwajcaryi nie tylko szkoły są głównemi instytucyami w państwie, ale na każdym kroku, na ulicy, w ogrodzie, wszędzie widzieć można czujną opiekę każdego przechodnia, każdego obywatela. Myśmy pod tym względem pozostali bardzo daleko w tyle. O dzieciach mało się myśli, jeszcze mniéj naturalnie robi się dla nich. Nie umiemy ocenić ani podtrzymać dobréj szkoły, nie chcemy wtrącić się do zabawy lub bójki, zaniedbanych przez mamy i niańki dzieciaków w alejach

ogrodu Saskiego. Ze wszech miar zasługują na podniesienie i poparcie starania p. J. M. Kamińskiego nad urządzaniem zabaw dziecinnych w Ogrodzie Zoologicznym. Wspólne gry, bieganie, gimnastyka i t. d. (wątpimy czy tańce należą do téj kategoryi) pod umiejętnym kierownictwem i czujnem okiem starszych mogą wpłynąć zbawiennie nietylko na rozwój sił fizycznych, ale także na moralną stronę. Już od kilku tygodni zabawy takie odbywają się i ściągają dużo dzieci, czy zaś prowadzenie jest dobre i miejsce odpowiednio wybrane—orzec powinni bezstronni i kompetentni. Niektóre pisma powstały początkowo na inowacyą, przytoczono dużo pedagogicznych i hygienicznych racyj, ale późniéj okazało się, że chodziło jedynie o to, iż urządzeniem zajmowała się czas jakiś... żydówka!

Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Jan Lam**, znakomity humorysta, pisarz należący do najprzedniejszych wśród współczesnych, pochodził z rodziny niemieckiéj, która w początkach stulecia bieżącego przeniosła się do Austryi. Ojciec jego, Konrad, wychował się już w Galicyi i wraz z całém młodszém rodzeństwem przejął się uczuciami narodu, wśród którego wyrósł i mieszkał. Ożeniwszy się r. 1837 z Joanną Ziołecką, tém silniéj zżył się z naszém społeczeństwem. Z małżeństwa tego urodził się Jan Lam 16 stycznia 1838 r. Do gimnazyum uczęszczał w Buczaczu i Stanisławowie; nauki średnie ukończył w r. 1855; poczém udał się na uniwersytet lwowski, oddając się najprzód studyom prawa, a potém filozofii. Studya te musiał kilkakrotnie przerywać, już z powodu służby wojskowéj, już-to z powodu przyjmowania obowiązków nauczyciela prywatnego, ażeby módz się utrzymać i uczyć daléj. W maju 1859 odbył w wojsku austryackiém całą wojnę włoską. Działalność literacką rozpoczął w r. 1862; często przyjeżdżając wtedy ze wsi do Lwowa, dał pohop do wydawania pism humorystycznych ulotnych: „Kometa“, „Bąk“, „Krzykacz“, „Kometa II“; nadto wspólnie z kolegami nabył od drukarza, Poremby, koncesyę na pismo „Kuźnia“, i przez czas jakiś należał do składu jego redakcyi. Niebawem potém objął na krótko redakcyę „Dziennika literackiego“, którego założyciel i długoletni redaktor, Jan Dobrzański, zająwszy się świeżo przez siebie założoną „Gazetą narodową,“ nie mógł należycie obsłużyć. Następnie przebywał w Galicyi wschodniéj. Wtedy w maju bawiąc we Lwowie napisał powieść: „Pan komisarz wojenny“, oraz wiersz na śmierć Mieczysława Romanowskiego. Dnia 18-go marca 1864 został uwięziony w Krzowie i oddany pod sąd w Złoczowie. Skazany na jednoroczne więzienie,

w marcu 1865 został ułaskawiony. Od dnia uwolnienia rozpoczęła się wędrówka Lama po kraju, gdyż żadna gmina nie chciała się do niego przyznać. Ojciec jego był wówczas komisarzem w Podkamieniu i miał wiele nieprzyjemności z powodu, że trzej synowie jego wzięli udział w wypadkach. Nakoniec pozwolono Janowi przebywać w Wiktorówce u Ignacego Jasińskiego, z którego córką Maryą ożenił się, a uzyskawszy amnestyą, przeniósł się we wrześniu 1866 do Lwowa, gdzie w „Gazecie Narodowéj“ zaczął pisywać artykuły treści bieżącéj i recenzye teatralne, a od r. 1868 sławne swoje „Kroniki lwowskie.“ Tu także pomieścił dwie powieści swoje: „Panna Emilia“ i „Koroniarz w Galicyi“ (r. 1869). W październiku r. 1869 założył „Dziennik Polski“, do którego pomimo licznych zmian redakcyi pisywał tygodniowe fejletony aż do końca życia. Tu również drukował powieść „Głowy do pozłoty“ i różne humoreski. Od roku 1875 w „Tygodniu“ pomieszczał swoje pogadanki oraz powieść „Idealiści“. Ostatnią jego większą powieścią były „Dziwne Karyery“ z r. 1881. Od maja 1883 pisywał zrazu tygodniowo, potém dwa razy na miesiąc fejletony do Gazety Lwowskiéj p. n. „Z kraju i ze świata.“ Wreszcie i w „Gazecie Polskiéj“, wychodzącéj w Warszawie, były jego „Listy z podkarpackiéj ziemi.“ Cierpiał już oddawna, ale choroba wzmogła się szczególniéj od r. 1883 i pomimo starań lekarskich nie dała się usunąć. Doczekawszy się wydania zbiorowego pism swoich w 5-ciu tomach, Jan Lam zmarł we Lwowie 3 sierpnia. Pozostawił po sobie wdowę, jednę sierotę i pamięć niepospolitego talentu.

† **Hieronim Napoleon Bońkowski,** kapitan wojsk polskich z roku 1831, doktór praw, tłómacz przysięgły przy trybunałach w Paryżu, tłómacz „Starożytności Słowiańskich“ Szafarzyka (1840, 2 tomy. Poznań), autor kilku broszur okolicznych, urodzony w Bońkach, w powiecie płońskim gub. płockiéj, po długiéj a ciężkiéj chorobie umarł w Krakowie dnia 8 sierpnia.

† **Jan Chorąży,** inżynier, zakończył życie w miesiącu lipcu, w Warszawie, licząc lat 44. Czasopisma techniczne pomieszczały wiele rozpraw, jego piórem skreślonych.

— **Jakób Elzenberg,** niegdy sekretarz komitetu synagogi warszawskiéj przy ulicy Daniłowiczowskiéj, literat i pedagog, umarł w wieku lat 66. Był jednym z pierwszych pionierów, którzy na polu wychowawczém pracowali nad usunięciem separatyzmu, w jakim ludność żydowska naszego kraju żyła przez całe wieki. Praca zmarłego pod tym względem miała wielką doniosłość i przyniosła trwałe owoce. Byłoby pożądaném, aby który z bliższych świadków skreślił szczegółowo obraz téj pracy i przypomniał ją pamięci młodszych pokoleń.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Lipca i Sierpnia 1886 r.

---

1. **Wskazówki do zbierania właściwości ludowych**. napisał *Roman Zawiliński*. Kraków, 1886, 8-o, str. 16.
2. O wydawnictwie **Liber diligentiarum** krakowskiego fakultetu filozoficznego z lat 1487—1563. Przez *D-ra Władysława Wisłockiego* (odbitka z VI tomu Pamięt. Wydz. filolog. i filoz.-histor. Akad. Umiej.. Kraków, 1886, wielkie 4-o. str. 20.
3. **Zbiór praw i przepisów Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiém.** Tom Czwarty. Część druga. (Rok 1886). Warsz., 1886, 8 o, str. V i 222.
4. **Konserwatorstwo dla zabytków archeologicznych.** Studyum ze stanowiska dziejów kultury i nauki porównawczéj prawa napisał *D-r Włodzimierz Demetrykiewicz*. Krak. 1886, str. 74.
5. **Gołuchów,** przez *Maryana Sokołowskiego*. Krak., 1886. 8-o, str. 35.
6. **Kilka uwag o rysunku.** Napisał *Jan Rotter*. Krak., 1886 8-o, str. 40.
7. *D-r. Władysław Ostrożyński.* **Prawo wyższéj konieczności.** Studyum z prawa karnego. Lwów, 1886, 8-o, str. IX i 172.
8. **Porównawcze badania nad rytmem i rytmami.** Część I. Teoryja o pochodzeniu i rozwoju rytmiczności przez *D-ra Maksymiliana Kawczyńskiego*, docenta języka i literatury niemieckiéj na Uniwersytecie we Lwowie (odbitka z VI tomu Pamięt. wydz. filol. i filoz.-histor. Akad Umiej.). Krak. 1886, 4-o, str. 45.
9. **Z okien wagonu.** Wrażenia z podróży po Skandynawii. Z notatek przepisał *Kazimierz Ostaszewski Barański*. Lwów, nakł. księg. J. L. Pordesa, 1886. 8-o, str. 193.
10. **Oddział Warszawski** Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, Sekcya II. Sprawozdania meteorologiczne za miesiąc Maj 1886 r. Warszawa, 1886. 4-o, str. 15.
11. **Studya bibliograficzne nad literaturą litewską.** I. Wiadomość o biblii litewskiéj drukowanéj w Londynie 1663 roku i o wrzekomym jéj tłómaczu Samuelu Bogusławie Chylińskim, podał *Maurycy Stankiewicz*. Krak. 1886, 8-o, str. 23.
12. *Prof. Dr. Gustaw Jaeger.* **Wełniarstwo.** (Odzież prawidłowa jako ochrona zdrowia). przełożył *Julian Steinhaus*. Warsz , 1886, skład główny w księg. A. Gruszeckiego, 8-o. str. 297 i II.
13. *Korczak.* **Baśń.** Część pierwsza. Krak., nakł. aut.. 1886, 8-o, str 112.
14. **Jan Giskra z Brandysu.** Rys biograficzny z XV wieku przez *Saturnina Kwiatkowskiego*. Lwów. nakł. autora. 1886, 8-o, str. 55.
15. **Geneza trybunału koronnego.** Studyum z dziejów sądownictwa polskiego XVI wieku napisał *Dr. Oswald Balzer*. Warszawa, 1886, 8-o. str. 347+IV.
16. **Akta grodzkie i ziemskie** z czasów rzeczypospolitéj polskiéj z archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie. w skutek fundacyi ś. p. Aleksandra br. Stadnickiego wydane staraniem galicyjskiego wydziału krajowego (wyd. *D-r. Xawery Liske*) tom XI. Lwów, 1886, 4-o, str. XXV i 567.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Августа 1886 г.